

CHARAKTERYSTYKA NARODÓW.

Jest w nas skłonność do obserwowania wybitniejszych znamion indywidualnych lub zbiorowych i tworzenia stąd uogólnień, mogących charakteryzować jednostki, stany, klasy i całe społeczeństwa. Skłonność tę widzimy u starożytnych i spółczesnych pisarzów; każdy z nich ma swoich portrecistów. Charakterystyki takie i wartość ich zależą od ilości obserwowanych znamion wybitniejszych czy to indywidualnych, czy zbiorowych, i od bystrości oraz doświadczenia samego obserwatora. Jeżeli te warunki zeszły się w charakterystyce, nie stanowi ona jeszcze prawdy bezwzględnéj; ale jako przybliżone ku prawdzie uogólnienie, może nam poniekąd odkryć charakter indywidualny lub zbiorowy. Porównywając następnie te portrety różnych czasów, możemy wnioskować, o ile taż sama osoba w ciągu swojego życia uległa zmianie dodatniéj lub ujemnéj, o ile pewne społeczeństwo zmieniło się na lepsze lub gorsze w ciągu wieków.

Zapewne nie w celu utworzenia psychologii narodów, o któréj dawniejsi pisarze nie myśleli, ile raczéj folgując satyrycznéj i moralizatorskiéj żyłce jak niemniéj antypatyi plemiennéj i międzynarodowéj, literatura starożytna i nowożytna mieszczą sporo takich charakterystyk plemion, prowincyi, ziem, narodów, nawet miast pojedyńczych. Gdybyśmy mieli pewność, że te uogólnienia były czynione na podstawie mnóstwa dobrze obserwowanych znamion wspólnych większym lub mniejszym zbiorowiskom ludzkim, byłby to materyał bardzo przydatny dla psychologa, etnografa i socyologa. Pewności téj wszakże nie mamy; satyryczna i luźna forma tych postrzeżeń, przechowanych u dawnych obcych i naszych pisarzów, odejmują im wartość naukową. Nie są to obiektywne, spokojne postrzeżenia lub poszukiwanie przyczyn pewnych znamiennych rysów; lecz namiętne inwektywy przeciw nienawistnemu dla piszącego społeczeństwu. Znając tedy kruchy materyał, z którego urobiono charakterystyki narodów, nie wielką przy-

wiązujemy do nich wagę; niemniéj jest rzeczą interesującą przypomnieć sobie, co nasi i cudzy o nas pisali przed wiekami, ażeby porównać, o ile dzisiejsze społeczeństwo podobne jest do dawnego. Ciekawość-to najzupełniéj literacka, nie mająca żadnéj pretensyi do naukowego traktatu, lub choćby rozdziału z psychologii narodów.

Materyału do charakterystyki narodu znajdujemy sporo u naszych pisarzów począwszy od XVI w. Każdemu zapewne przychodzą na pamięć dzieła Reja, Fr. Modrzewskiego, Skargi, Starowolskiego, króla St. Leszczyńskiego, Włodka i nareszcie Klina (Moi kochani rodacy). Gdyby kto zrobił wypisy z dzieł tych autorów, okazałoby się, że jesteśmy najgorszym narodem na kuli ziemskiéj. Niemasz występku lub wady, któréjby w nas ci moraliści nie dojrzeli. Wszystkie grzechy główne, cudze i wołające o pomstę do nieba, wyliczają owi satyrycy i moralizatorowie gwoli duchowemu obrokowi swoich spółziomków. Intencyą ich rozumiemy, nawet grubo i jowialnie nakreślone obrazki gotowiśmy przebaczyć dla téj właśnie dobréj intencyi; ale to mamy za pewne, że z takiego materyału żadnych naukowych wniosków wyciągnąć niepodobna. Na wszystkie tony powtarzają ci poprawiacze wad narodowych, żeśmy byli lub jesteśmy opoje, żarłocy, próżniacy, niechluje, łakomi, marnotrawcy, służalcy, pyszni, fanatycy i t. d. Tę litanią naszych grzechów możnaby recytować do końca świata i niezawodnie do starych przybyłyby nowe. Nie pytamy się w téj chwili o to, czy te morały kogo poprawiły, lecz o ile one wiernie odbijają charakter narodu? Pod tym względem nie mają one prawie żadnéj wartości. Jest to bajką powtarzaną dotychczas, jakoby z nich można sobie było utworzyć fizyognomią wieku, lub oddzielnych stanów, klas narodowych. Zdania rzucane o ludziach lub narodach po pierwszém ich spotkaniu, na uczcie, zabawie, w podróży, albo w przystępie żalu, oburzenia na wyrządzane nam krzywdy, muszą być, z natury swojéj, jako pobieżne, bardzo zawodne. Ażeby sobie utworzyć sąd sprawiedliwy o człowieku trzeba z nim długo przestawać, widzieć go w rozmaitych okolicznościach i warunkach, umieć obserwować, porównywać rozmaite indywidua i dopiéro wniosek o jego charakterze wyciągnąć. Wielką prawdę zawiéra Ewangelia mówiąc: nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni. Wstrzymać się zupełnie od sądu o ludziach i rzeczach jest niepodobieństwem, póki czujemy i myślimy. I nie o to w owych słowach chodzi. Oczywiście chodzi tam o sądy doraźne. Wystudyować należycie, nie mówię znakomitego człowieka, ale chociażby drwala, na to trzeba niemało i nie przygodnych postrzeżeń, jakie nam życie jego nasunie. A cóż dopiéro pewną klasę i témbardziéj pewien naród! Dla-

tego-to, gdy czytamy charakterystyki ludzi a zwłaszcza narodów, rażą nas swoją powierzchownością i płytkością zawarte w nich sądy.

Ignacy Włodek, który zebrał ze starożytnych i nowożytnych autorów niezliczone mnóstwo takich charakterystyk, przytacza też charakterystykę mieszkańców rozmaitych miast naszych. „Poznańczanie poważni, ale skąpi; Naklanie cisi, ale niechluje; Płocczanie prędzéj uderzą, niż połają; Sieradzanie szczodrzy, ale z cudzego; Warszawianie z sercem otwartém, rękami skurczonemi i t. d. („O naukach wyzwolonych“). Co komu, pytam się, z takich charakterystyk przyjdzie? Nie jest-że to czcza gadanina? Takąż samą gadaniną są charakterystyki narodów. Oto tenże Włodek przytacza o nas zdanie francuskiego autora, nie podając wyraźnie nazwiska ani czasu (prawdopodobnie z XVII-go w.). Według owego Francuza są tedy Polacy „silni, średniego wzrostu, odważni, żarłocy i pijacy; Litwacy zaś są obżarci i podobni do rosomaka, zwierzęcia niepożytecznego. Chłopi tam są nędzniejsi, niż w Polsce. Polacy bardzo się kochają w pieniądzach i nie masz żadnego rodzaju upokorzenia, któregoby nie czynili tym, u których pieniędzy chcą dostać. Ale kto się na tym pozna, nie pożycza więcéj, tylko to, co odważy na wieczną stratę. Albowiem oni mają zwyczaj nie oddawać nigdy tego, co pożyczają. I gdy się od nich kto upomina o to, co im pożyczył, żartują sobie z niego mówiąc: doświadcz i ty téj biedy i przykrości w odebraniu, któréj ja zażyłem w dostaniu. I dziwna rzecz, że może trwać kupiectwo i handel między temi ludźmi, którzy co winni nie oddają. I lubo mają Polacy wielkie przywiązanie do pieniędzy, i nie masz, coby dla nabycia ich nie czynili, z tym wszystkim tych pieniędzy nie zażywają ani na kupowanie dóbr, ani na wystawienie dobrego mieszkania, ale na sukna, jedwabie, futra, piękne konie, piękną broń, a nadewszystko na dobre wino węgierskie.“ *Mutatis mutandis*, mógłby się na tym portrecie podpisać Klin, charakteryzujący moich kochanych rodaków w r. 1888. I cóż z tego? Przecież w starożytności za pijanice i żarłocznych uchodzili Sybarytowie, Partowie i Scytowie; za chytre—Grecy, Kreteńczykowie „złe zwierzęta, brzuchy leniwe“ i Żydzi. Takie uogólnione, z kilku lub kilkunastu egzemplarzy zdjęte charakterystyki świadczą o nadzwyczajnéj lekkomyślności piszącego. Jednemu nie oddano pożyczonych pieniędzy, drugi widział wesołych biesiadników, innego oszukano i wnet-że ogarnia swojém potępieniem cały naród. Czyliż te doraźne sądy o nas obcych i swojskich autorów mogą służyć za materyał do wysnuwania tak daleko sięgających wniosków, czy mogą dać poznać duszę społeczeństwa, barwę jego umysłu, dostarczyć rozdziału do psychologii naro-

dów? Zgorzknieliśmy wszyscy, pojeni piołunem przez obcych i swoich. Zapominamy, że nie było i nie masz idealnie doskonałych ludzi i narodów, że wady nasze są wady wspólne wszystkim narodom w większym lub mniejszym stopniu. Ażeby wszakże sąd był sprawiedliwy, potrzebaby innéj metody badania charakteru narodów, potrzebaby ściślejszych danych nietylko ujemnych, lecz i dodatnich, potrzebaby wielu porównań rozmaitych narodów i w rozmaitych fazach ich rozwoju, a nadewszystko zebrania objawów wszechstronnych, jakiemi o sobie znać daje psyche narodowa. Satyrę łatwo pisać; cel jéj może być chwalebny, ale nie tą drogą dochodzi się do charakterystyki narodów.

Powie kto może: a cóż to szkodzi społeczeństwu, że jakiś gryzmoła ochlapie je błotem? Zapewne; wartość narodu nie zależy od opinii skwaśniałych literatów, lecz od tego, co on robi, czego się nauczył, co i ile waży wśród sąsiadów. Z tém wszystkiém, nie można zaprzeczyć, iż takie pesymistyczne narzekania do reszty paraliżują już na poły sparaliżowane serca i ręce. Co ważniejsza, z gruntu są fałszywe, bo jeden lub dwa rysy i to ujemne pochwyciwszy, rozdymają je w maszkary. Tutaj i dobry cel, jaki im przypisujemy, nie osłoni fałszu i przesady; strzały padają za metę.

Porównywując charakterystyki naszego społeczeństwa, pisane w XVI, XVII i XVIII wiekach z temi, jakie dzisiejsi autorowie piszą, widzimy, że te same komunały powtarzają. Naród, mówią, jest żarłoczny, pijacki, karciarski, marnotrawny, anarchiczny, pożądliwy na cudze, płaszczący się w nieszczęściu, wyniosły w powodzeniu, leniwy, zmysłowy i t. d. i t. d. Miałyżby wieki i doniosłe przekształcenia polityczne, ekonomiczne i umysłowe tylko na nas nie zostawić wpływu? Skądże znów mielibyśmy stanowić wyjątek, i to jedynie w złém, pośród wielu społeczeństw? W to nikt nie uwierzy. Jesteśmy tém, czém być musimy wobec takich a takich warunków zewnętrznych, i z takim a nie innym organizmem umysłowym. Gdyby inne społeczeństwa postawiono w takich samych warunkach i dano im taką samą duszę, można byłoby się przekonać, czy byłyby innemi. Przybyliśmy na pole dziejów o kilka z górą wieków późniéj od społeczeństw zachodniéj Europy i jesteśmy o tyleż lat zacofani, a tego dystansu nie można przebiedz lokomotywą. Za pomocą satyry przyśpieszyć ruchu narodów niepodobna. Dobra wola pozostaje bezsilną wobec konieczności dziejowéj; ani wymysły, ani pochlebstwa sypane społeczeństwu nie stanowią motoru historycznego postępu. Po co więc narzekania? Jest, co być musiało. Nie jest to fatalizm muzułmański, jedno konieczne z premis następstwa. Otóż, między premisami

znajduje się i wola człowieka; wpływać na tę wolę możemy i powinniśmy, ażeby poprawiwszy ją, poprawić i następstwa. Dzieje ludzkie tylko do pewnego stopnia są sprawą ludzką; reszta zawisła od czynników, których wola ludzka przerobić nie zdolna i poddać im się musi.

Tymczasem satyrycy nasi chłostając społeczeńtwo czy to niegdyś, czy teraz, zdawali się być tego mniemania, że byle gromada ludzka chciała, byłaby inną, lepszą, rozumniejszą, rządniejszą. Jest w tém żądaniu coś podobnego, jak gdy do indywiduum mówimy: byleś chciał, możesz przestać pić, próżnować. Ale właśnie w tém nieszczęście, że on téj woli, tego chcenia nie może w sobie znaleźć, a tymczasem inny je znajduje i bez morału. W tych morałach, zachętach i satyrycznych przymówkach społeczeństwu właściwie leży nasze życzenie, żeby tak a tak było. Nalać ludziom krwi, zamiast limfy, do żył i arteryi nie umiemy; i z woli bawełnianéj stalowéj uczynić nie zdołamy, pomimo wszystkich jeremiad. Jeden się urodził na lwa, drugi na barana; taka już ich dola.

Więc nie mamy w tych pozostałych z dawnych czasów portretach naszéj psychy narodowéj nawet materyału na jeden rozdział psychologii i etnologii narodu; a z tego, co dzisiejsi napisali, widać, że nie zdawali sobie sprawy, czego taka psychologia wymaga. Nietylko nie znaleźli w naszym zbiorowym charakterze nic dodatniego, lecz i w inwektywach kopiowali jedni drugich, aż do dni dzisiejszych. Portrety narodów przez nich malowane, z bardzo maleńkiemi różnicami, podobne są do siebie po wszystkie czasy.

Czy taka psychologia etnologiczna jest możliwa i potrzebna obok psychologii indywidualnéj? Psychologia indywidualna zajmuje się umysłem jednostkowym; przedmiot jéj dość ściśle określony; ale psychologia etnologiczna, będąca młodą jeszcze gałęzią badań, nie ma tak wyodrębnionego przedmiotu. Według jéj twórców (Lazarus i Steinthal) ma się ona zajmować mitologią, religią, obrzędami, poezyą ludową, pismem jako podstawą świadomości historycznéj narodu, sztuką, życiem praktyczném, obyczajami, prawem pisaném, życiem rodzinném i t. d. Słowem, psychologia etnologiczna powinna badać d u c h a l u d u (*Volksgeist*). Otóż wiadomo, że i etnologia i socyologia zajmują się temi samemi przedmiotami. Zdawałoby się zatém, że ta nowa umiejętność jest i niemożebna, jako pozbawiona odrębnego przedmiotu badań i niepotrzebna, gdyż ją wyręczają inne umiejętności. Nie tak, mówią jéj obrońcy. Konstytutywne jéj czynniki, powyżéj wymienione, stanowią przedmiot badań dość określony i psychologia ras nie jest złudzeniem. Chodzi jéj o poznanie d u c h a p e w n e g o n a r o d u, o ile on daje znać o sobie temi objawami; o wykrycie praw, wedle których

rozwija się jego życie idealne w praktyce, umiejętności i sztuce; o wskazanie przyczyn powodujących jego wzrost lub upadek. Nie powinna zatém poprzestawać na nikłych i dowolnie utworzonych obrazach psychicznych własności narodu, lecz odnaleźć źródła, skąd one płyną. Należy jéj zatém badać nie przypadkowe, zmienne, jednostkowe objawy tego ducha zbiorowego, lecz ich całość i prawa rządzące ich rozwojem.

Trochę niejasny jest tylko ten duch narodu, ten *Volksgeist*, który wygląda na istotę metafizyczną, *ens rationis*. Nie jest on bowiem dodaniem i sumą duchów, czy umysłów, pojedyńczych; nie jest téż żadném indywiduum, a więc czémś wielce nieujętém. Otóż zobaczymy, jak z téj trudności można wybrnąć.

Naród, uważany w gromadzie, np. podczas obrad lub zabaw publicznych, okazuje pewne objawy, pewien sposób zachowania się, tak zwane *maniére d'être*, jakich jednostki sam na sam uważane, nie okazują. Ta wspólność interesu, który je zgromadził, wytwarza w nich coś nieokreślonego, jakiś nastrój umysłów odrębny, prawda, że nieujęty, niemniéj widoczny. W gromadzie ludzie nieraz dopuszczają się takich czynów złych lub dobrych, na jakieby się każdy z osobna nie zdobył. Otóż to coś, jest owym duchem zbiorowym, czy ludowym. Przykład lepiéj rzecz objaśni. Hiszpanie, mówi jeden z twórców psychologii etnologicznéj, uważani indywidualnie, odznaczają się dobrotliwością; nie brak im porywów szlachetnych, a nawet wzniosłych; uważani jako naród, okazali się pozbawionymi uczucia sprawiedliwości i okrutnie srogimi. Jako naród spustoszyli i wyludnili Amerykę i Niderlandy; sami wewnątrz u siebie szarpali się za mniemania polityczne i religijne. Narodowość ich reprezentują Pizzaro i książę Alba. Naród więc jest czém inném, niż jedynie sumą indywiduów.

Rzeczywiście, w większych poruszeniach masy ludowe okazują nam co innego, niż pojedyńczy ich członkowie. Nikomu np., lub prawie nikomu, nie przychodziło do głowy, żeby pospólstwo warszawskie mogło się było rzucić na Żydów, rozbijać sklepy, rozpruwać pierzyny. A jednak widzieliśmy i to barbarzyństwo. Ten sam ulicznik, stróż, czeladnik, którzy w gromadzie okazywali dzikie instynkty, wzięci sam na sam byliby jak barany lub cielęta potulne. Wiele daleko gorszych faktów mieszczą dzieje dawne i spółczesne, a wszystkie świadczą, że ten duch ludowy, czyli zbiorowy istnieje, i że zatém psychologia etnologiczna, skoro tak chcą uczeni, mogłaby stanowić coś podobnego do odrębnéj umiejętności.

Jeżeli określenie i warunki tak pojmowanéj psychologii etnologicznéj zastosujemy do portretów naszych, które namalowali literaci

swojscy, okaże się, że trzebaby im było długo jeszcze do szkoły chodzić, zanim się brać do roboty. Trudno oczywiście żądać, ażeby Rej lub Modrzewski rachowali się z wymaganiami psychologii etnologicznéj, która wówczas jako odrębna gałąź badań nie istniała; ale od dzisiejszych przyganiaczów możnaby wymagać więcéj oględności, gdy się zabawiają w charakteryzowanie stanów i klas społecznych, gdy jedne dekretują na zagładę, a drugim pochlebiają upatrując w nich wszystkie cnoty. Dla jednych Żydzi, dla drugich Niemcy są zmorą; tym szlachta, innym duchowieństwo jest solą w oku, a wszystkie te elementa społeczne są z gruntu złe i nic niewarte. Jest-to mielenie językiem własnéj śliny. Ryczałtowe pochwały zarówno jak i przygany kierowane ku stanom, klasom, a tymbardziéj ku narodom, świadczą jedynie o wielkiéj niedojrzałości i przyganiaczów i chwalców.

K.





STULETNIA ROCZNICA 1789 ROKU.

(Le centenaire de 1879. — Evolution politique, philosophique, artistique et scientifique du l'Europe depuis cent ans, par Georges Guéroult. Paryż, 1889.

Rocznica wielkiéj rewolucyi, uświetniona bezprzykładném powodzeniem wystawy, przeznaczonéj do jéj uczczenia — upamiętniona, w historyi spółczesnéj nawet, walnym tryumfem porządku republikańskiego nad zagrażającą mu koalicyą żywiołów monarchiczno-anarchicznych, wywołała całą literaturę poświęconą omawianiu nastręczonych przez się wspomnień. W tym szeregu artykułów, broszur a nawet dzieł specyalnych, — że wymienimy noszące prawie ten sam tytuł z książką pana Guéroult, popularniejsze, ale téż powierzchowniejsze dziełko pana Goumy (*„La France du Centenaire“*), — pierwsze miejsce należy się bezprzecznie utworowi, któremu przeznaczyliśmy tutaj obszerniejsze sprawozdanie. Autor kilku monografii, sięgających w bardzo rozmaite dziedziny naukowego świata [1]), współpracownik „Przeglądu Filozoficznego“ (*„Revue philosophique“*) i jeden z bardzo rzadkich dziś umysłów encyklopedycznych w téj Francyi, która przed stu laty wydała szkołę encyklopedystów, p. Guéroult powołanym był niejako do podjęcia zadania, z którego próbował się wywiązać. Może nie porachował się dostatecznie z jego trudnościami, polegającemi głównie na równéj potrzebie uniknięcia dwóch szkopułów, jakiemi są z jednéj strony zbyt sucha drobiazgowość, z drugiéj — zbyteczna wyłączność, poświęcająca całość obrazu dla szczegółów. Osobliwa syntetyczność pojęć i zrodzona z niéj zdolność do szerokich uogólnień zdają się w podobném przedsięwzięciu nieodzownym postulatem. Może nie odpowiedział mu w zupełności nasz autor. Drobiazgowości uniknął; ale tu

---

[1]) *„Les théories de l'Internationale.“* Paryż, 1872.—*„Théorie phisiologique de la musique.“* (Przekład z niemieckiego dzieła Helmholtz'a). Paryż, 1873.—*„Esquisse d'une théorie générale des lampes électriques à arc.“* Paryż, 1886, i t. d.

i owdzie przypomniał nam sam tych artystów z potępionéj przez się (str. 142, 148) szkoły pierwszego cesarstwa, którzy, malując bitwę pod Jena, ograniczali się na pokazaniu nam „trzech generałów paradujących na cyrkowych koniach.“ Może nie potrafił także uczynić należytego wyboru między rolą prostego sprawozdawcy, a rolą ponętniejszą samodzielnego myśliciela: niektóre rozdziały jego książki zapełniły się krytycznemi rozprawami, które mogłyby mieć wielką wartość, ale na innéın miejscu. Czy nie zgrzeszył nakoniec zbytkiem ambicyi i nie przecenił sił swoich, układając zamierzony przez się obraz cało-wiekowéj społecznéj i umysłowéj ewolucyi w szerokie ramy wszech-europejskiego życia? Czy, tak czyniąc, nie zbliżył się znowu niejakiém podobieństwem do astronoma, który, siedząc w pokoju o jednéın oknie, zamierzyłby zdjąć wizerunek całego widnokręgu niebieskiego? Czytelnicy osądzą. Nam osobiście zdało się, iż poświęciwszy np. dziesięć kartek powieściopisarstwu francuskiemu od Wolterowskiego „*Candide'a*“ do Maupassantowskiego „*Bel-Ami*“ (str. 208—218), zbyt szybko załatwił się autor w trzech wierszach z odpowiednim działem literatury niemieckiéj, oświadczając, iż „od Werthera nic godnego uwagi nie doszło w tym dziale do jego wiadomości“ (str. 218). Angielskiemu powieściopisarstwu dostało się cztery wiersze, włoskiemu półtora, ruskiemu natomiast ośm, naszemu zaś nic zgoła. Ale nam nie dostało się nic w żadnym dziale. Nawet przez lufcik nie wyjrzał p. Guéroult w naszą stronę. Nawet w bilansie wypadków politycznych, które od 1789 do 1889 r. przekształciły kartę Europy, pominął autor, jako *quantité négligeable*, drobne międzynarodowe zajście, za którego sprawą jednak, w znacznéj części, monarchia pruska zajęła obecne swoje europejskie stanowisko. Prawda, że jednocześnie znalazł się historyk, któremu to samo zajście zdało się „prostém uregulowaniem granic“ (ob. „Dzieje Polski“ p. Bogusławskiego, str. 193, 225), co dowodzi chyba, że brak dostatecznego oświetlenia pozostaje nawet dzisiaj, w sto lat po wielkiéj rewolucyi, któréj dodatnie rezultaty wziął przed się uprzytomnić nam p. Guéroult, nader rozpowszechnioną ułomnością umysłowych konstrukcyi.

Nie powinno to nam być jednak przeszkodą do korzystania z książki, która bądź co bądź zawiera bardzo znaczną liczbę pouczających wskazówek, a choćby tylko jako wyraz specyficznego francuskiego poglądu na całość społecznych stosunków europejskich, zasługuje na naszę uwagę. Przebiegniemy razem z autorem rozmaite, bardzo nierównym zresztą, prędszym lub powolniejszym przezeń krokiem zmierzone pola działalności społecznéj i umysłowéj, w polityce, w filozofii,

religii i etyce, sztuce i literaturze, naukach matematycznych i eksperymentalnych i wreszcie w naukach społecznych.

I.

Historykiem nie jest stanowczo p. Guéroult. Mając do przedstawienia tezę, podług któréj następstwem rewolucyjnego kataklizmu, obalającego na schyłku XVIII-go stulecia podwaliny starego porządku europejskiego i dziełem nowéj przez tenże kataklizm otwartéj ery byłoby, na gruncie politycznym, zbliżenie wszystkich społeczeństw europejskich do jednego i tego samego typu organizacyi wewnętrznéj, chcąc przedstawić tezę tę, która może być trafną, zaczyna on od obrazu przedrewolucyjnych stosunków politycznych, w którym przedstawia je jako ujednostajnione już — w kształcie monarchii absolutnéj. Jest to zarazem poróżnienie się z logiką filozoficznego myślenia i z prawdą rzeczywistości historycznéj. Autor nie wyjrzał znowu przez swoje okienko na rozmaite okolice, w których, jako to w Szwajcaryi, w Niderlandach, w Holandyi, w Szwecyi, w respublikach włoskich, w niemieckich miastach wolnych, o naszéj rzeczypospolitéj już nie wspominając, to jest w dobréj połowie zachodnio-europejskiego kontynentu, monarchia absolutna nie była bynajmniéj formą panującą. Poruszając z jednéj strony spruchniały zrąb bardzo różnolitéj, owszem, mozaikowéj budowy europejskiego zachodu, a popychając z drugiéj strony luźne jego składowe pierwiastki do zbliżenia się i sprzęgnięcia w pewną organiczną całość dla stawienia czoła niszczącym zapędom rewolucyjnego żywiołu, kataklizm ów rewolucyjny dał początek istotnie unifikacyjnym dążeniom, na których owoc patrzymy obecnie. Przyswojony z Anglii, według słusznéj uwagi pana Guéroult, a przez francuską filozofią spopularyzowany typ monarchii parlamentarnéj, narzucił się większości dzisiejszych europejskich organizmów państwowych; skądinąd zaś rozpowszechniające się konwencye celne, pocztowe i monetarne, zdają się być zawiązkiem ściślejszego jeszcze ogólno-europejskiego uspołecznienia.

Równomiernie jednak z tym ruchem rozwinął się ruch drugi w innym i wręcz, z pozoru przynajmniéj, przeciwnym kierunku. Ta sama epoka zobaczyła bezprzykładnie silny i bezprzykładnie szybki rozwój dążeń narodowościowych, energiczniejsze niż kiedykolwiek zamanifestowanie się jednych i pojawienie się, albo przynajmniéj rozbudzenie się do życia innych odrębności etnicznych. Obok jednoczących się i coraz twardziéj pod sztandarem samoistności narodowéj występujących Niemiec i Włoch, powstały Grecya, Rumunia, Serbia, Bułga-

rya, Czechy, Węgry, zakładając byt swój przyszły na tym samym gruncie separatyzmu plemiennego. Nie uszło to zjawisko uwadze naszego autora, który tłómaczy je — wzrostem nauk historycznych, udzielających rozmaitym narodowościom samopoczucia własnéj indywidualności. Jest to podobno tłómaczeniem słońca przez światło dzienne. Jeżeli się nie mylimy, Szafarzyk nie dlatego był wielkim patryotą czeskim, że był wielkim historykiem, ale chyba raczéj na odwrót. Więcéj też od dziejoznawstwa, niezbyt rozwiniętego pośród nich, poruszyły i do upominania się o niepodległość zachęciły południowo-zachodnich Słowian proklamacye rewolucyjne Napoleona I-go. W rzeczywistości zaś, sprzeczność zachodząca między dwoma równoległemi kierunkami, w ten sposób wyłonionemi z jednego i tego samego źródła, okazuje się tylko pozorną przy bliższéj analizie. Wyszły one z tego samego, ludzkość całą i całość jéj życiowych stosunków ogarniającego prądu emancypacyjnego i poszły do tego samego celu, t. j. do wyzwolenia wszystkich gdziekolwiek i w jakikolwiek sposób przez stary porządek ugniecionych, uciemiężonych i zduszonych pierwiastków indywidualizmu osobistego czy narodowego. Słusznie przeto zaznacza p. Guéroult, iż popęd narodowościowy, tak silnie akcentujący się w współczesném życiu europejskiém, nie stanowi żadnéj przeszkody do osiągnięcia ideału, który jednocześnie zabłysnął na widnokręgu hołdujących temu popędowi społeczeństw, do którego zbliżyły się one i zbliżają się ciągle nieznacznemi etapami, a którego ostatnim wyrazem, w mniéj lub więcéj odległéj przyszłości, okaże się ich uniwersalne zjednoczenie. Narodowość bowiem jak nie jest jedyną, tak nie jest także najwyższą formą naturalnych stowarzyszeń, do których przyroda sama zniewala rodzaj ludzki. Obok związków krwi istnieją łączniki intelektualne, moralne i wreszcie przemysłowe lub handlowe; te ostatnie zaś przeznaczonemi się być zdają do zajęcia z czasem pierwszéj w społecznych stosunkach i przewodniéj roli.

„Ludy europejskie,—pisze p. Guéroult,—idą do jedności, ale do jedności zgoła odmiennéj od téj, którą urzeczywistnił w starożytności świat rzymski, świat katolicki zaś w średnich wiekach. W starożytności ludy zamieszkujące brzeg morza Śródziemnego i Atlantyku połączone zostały pod jarzmem narzuconém im przez jedno miasto. W średnich wiekach jedność zapanowała także na téj saméj przestrzeni europejskiego kontynentu, ale tylko w umysłach połączonych rodzajem federacyi intelektualnéj i moralnéj. Pod względem prawnym, przemysłowym i naukowym masa europejska pozostawała niejako w stanie chaotycznym, narażona na hazardy siły i brutalności. Jedność, do któréj Europa dąży dzisiaj szybszemi niżby sądzić można

krokami, jest to stowarzyszenie grup odrębnych, niezależnych, mających byt, żywotność i oryginalność samoistną, tyle i więcéj nawet niż prowincye, które dziś stanowią naród, ale zniewolonych do połączenia się gwoli pewnym narzucającym się ich przedsiębierczości celom, dla uczynienia zadość niezliczonym interesom wspólnym. Jedność ta ma swoję nazwę w terminologii politycznéj: nazywa się, albo nazywać się będzie federacyą europejską.

Być może, iż autor przecenia w pewnéj mierze szybkość określonego w ten sposób ruchu, którego rzeczywistości zaprzeczać nie chcemy, i żywi co do bliskości osiągnąć się mających za jego sprawą rezultatów iluzye, których podzielać nie jesteśmy w stanie. Jakoż, spotykając się w swych optymistycznych przewidywaniach z zarzutem, którego dostarczają kolosalne uzbrojenia spółczesne, nie zdające się być bynajmniéj zapowiedzią pokojowéj ery, pieszczonéj przez jego wyobraźnią, załatwia się on z nim kategoryczném orzeczeniem, iż stan rzeczy wytworzony przez to spotęgowanie militarnych wysileń, nie da się przeciągnąć stanowczo po za krótki termin — „dziesięciu lat na przykład.“ Kwestya to optyki właściwéj bardzo potężnym nawet umysłom w téj złudzeniami zapełnionéj sferze dalekonośnych horoskopów. Z podobnemi krótkoterminowemi wnioskami odzywał się już przed stu i więcéj laty Montesquieu.

II.

Po ruchu politycznym analizuje p. Guéroult ruch filozoficzny, do téj saméj ewolucyi umysłowéj należący, i poświęciwszy kilkadziesiąt kartek rozbiorowi głównych, uwydatniających się w nim prądów, od Kanta i jego szkoły do Darwina, Stuarta Milla i Herberta Spencera, o Hartmanie i Schopenhauerze nie zapominając, dochodzi do następujących wniosków, które streszczają, w jego oczach, pracę bieżącego stulecia na tém polu:

1. Świat zewnętrzny dostępnym się staje naszéj świadomości jedynie za pośrednictwem wrażeń naszych, ulegających przeróbce umysłowéj, która podnosi je do znaczenia pojęcia (Kant);

2. Rzeczywistość tego świata zewnętrznego (a przynajmniéj téj jego części, z którą wchodzimy w styczność), nie podlega żadnéj wątpliwości, ponieważ przy wysileniu z naszéj strony, które wywołuje w nas wrażenie oporu, mamy jednocześnie poczucie woli naszéj i poczucie siły zewnętrznéj, która staje z nią w przeciwieństwie (Maine de Biran, Sully Prudhomme). Co dowodzi jeszcze, że nietylko świat zewnętrzny istnieje, ale że jest jednéj z nami natury;

3. Wola nasza, w ten sposób nam się objawiająca, zdaje się być esencyonalną częścią naszéj istoty (Maine de Biran, Schopenhauer). Niezależność jéj wszelako nie godzi się z pojęciem przyczynowości, która to przyczynowość stanowi specyficzną energią nanaszego rozumu (Helmholtz). W jaki więc sposób powstały pojęcia i wyrażenia moralności, obowiązku, zasługi i występku, złego i dobrego, które wszystkie wiążą się z przypuszczeniem takowéj niezależności? Odpowiedzi na to pytanie dostarcza nam tylko przyjęty przez ogół nowoczesnych teoretyków prowizoryczny postulat, podług którego rzeczy odbywają się tak jak gdyby wola nasza miała istotnie swobodę zupełną poruszania się i kierowania sama sobą w pewnych granicach;

4. Niemasz żadnéj przyczyny, któraby odstręczała nas od wniosku, iż między siłami, z których jawnym oporem spotykamy się przy każdém wysileniu z naszéj strony, istnieją inne pierwiastki woli podobne zgoła do woli naszéj i obdarzone tą samą swobodą działania, czy tym samym pozorem swobody;

5. Pierwiastki te, siły te, zostają w ciągłéj między sobą walce, która podlega trzem i tylko trzem następującym możliwym fazom: tryumfu tych zbiorowych sił świata zewnętrznego, to jest wypadkowéj, z nich wypływającéj siły, nad nami, naszego tryumfu nad tą wypadkową siłą, i wreszcie równowagi między temi antagonistycznemi siłami. Pojęcia sprawiedliwości, harmonii, odpowiadają temu stanowi równowagi;

6. Kombinacye sił, w których przeważa równowaga, trwalsze są od innych, jako mniéj narażone, przynajmniéj z naszéj strony, na przygody omdlewającéj, albo znowu buntującéj się woli naszéj;

7. Kombinacye przeciwne oddalające się od stanu równowagi, sprawiedliwości, harmonii zdradzają się cierpieniem, wywołaném w nas i w otaczających nas istotach;

8. Ostateczna przewaga tamtych, trwalszych kombinacyi nad temi ostatniemi, z natury swojéj więcéj znikomemi, jest konieczną; skąd wynika, iż świat w całości swojéj dąży do stanu równowagi, harmonii sprawiedliwości.

Wnioski powyższe zdają się panu Guéroult co najmniéj tak pewnemi, jak zasady, na których opierają się tak zwane nauki ścisłe. Co najmniéj dla tego, że podstawą ich jest świadectwo własnego naszego poczucia, podczas gdy w astronomii np., najwięcéj matematycznéj z wszystkich nauk fizycznych, kiedy mówimy i dowodzimy czegoś o Syryuszu czy o innéj odległéj gwiaździe, gwiazda ta, być może, zgasła już w chwili, w któréj zdaje się nam, że ją widzimy; w fizyce

zaś siły nieznane jeszcze, w chemii nieodkryte dotąd ciała, wywierać mogą skutki różne od tych, na które powołujemy się obecnie. Nie cofa się też autor przed wyciągnięciem z tychże wniosków całego szeregu konkluzyi praktycznych, które zakrawają na prawdziwy kodeks etyki filozoficznéj.

Zadaniem ludzkości jest ustawiczna praca nad sprowadzeniem i utrwaleniem owego stanu równowagi, będącego ostatecznym celem jéj przeznaczeń. Ztąd względem nas samych obowiązek bronienia naszéj godności, naszéj osobistości, naszéj wolnéj woli przeciw wszelkim naruszeniom; względem drugich zaś obowiązek pomagania im wszelkiemi sposobami i oszczędzania im wszelkich cierpień, nawet kosztem własnego naszego cierpienia, byle bez narażenia godności i osobistości naszéj. Tak np. w powieści p. t. „Więzienie w Edymburgu“, Jenny Deans naraża życie swoje ale cofa się przed kłamstwem dla ocalenia siostry swojéj. Ascetyzm, to jest ofiara z samego siebie bez pożytku dla drugich, wykluczonym zostaje z tego kodeksu, jako niemoralny. Natomiast obowiązki altruizmu, według wyrażenia Comte'a rozciągnięte być powinny, „w rozsądnéj mierze“, do całości świata „całego“. Czyli, że bezpożyteczne dręczenie zwierząt, ścinanie drzew, niszczenie lasów podpada pod kategoryą uczynków występnych.

Jak widzimy, p. Guéroult dochodzi do całkiem zadawalniającego dlań w téj materyi, poglądu, bo rozwiązującego kategorycznie wielką zagadkę przeznaczeń naszych i rozwiązującego ją w sensie nader optymistycznym. Nie jest zaś to w jego pojęciu, pogląd osobisty, ale wspólny i spółczesnemu jakoby pokoleniu narzucający się dorobek całowiekowéj pracy wytwórczéj w tym kierunku. Jednak szanowny autor czytał Schopenhauera, a jeżeli go nie czytał, co może poniekąd pozostawać wątpliwém, tedy nasłuchał się z konieczności do syta tych wręcz przeciwnych wniosków, z któremi noszą się liczni w jego otoczeniu czytelnicy, a liczniejsi jeszcze bez czytania adherenci, *de auditu*, słynnego nirwanisty i jego negacyjnych doktryn. Zaiste w najświetniejszéj nawet epoce saint-simonizmu, którego duchowym wychowańcem zdaje się być p. Guéroult, nigdy altruizm nie miał podobno, przynajmniéj na bruku paryskim, tylu zwolenników, ile ich ma dzisiaj szopenhauerowski pesymizm. Ale, jak to już czytelnicy nasi zauważyć mogli, p. Guéroult ma właściwy sobie sposób załatwiania się ze zjawiskami, które mu wadzą. Z pesymizmem przeto i odpowiadającemi mu doktrynami filozoficznemi załatwia się on, odmawiając im wręcz nietylko naukowéj wartości, ale nawet pretensyi do naukowego charakteru. Zabawka to umysłowa poprostu, albo poza towarzyska. Sam Schopenhauer, który skądinąd wykazał tyle przenikli-

wości w dokonanéj przez się analizie woli naszéj, „bawił się oczywiście“ pisząc o swojéj nirwanie i wszyscy dzisiejsi szopenhauerzyści bawią się albo pozują za jego przykładem.

Natomiast przyznaje autor, iż wywdzięczając się skądinąd tak obfitym i dodatnim plonem, praca filozoficzna kilku ostatnich pokoleń nie dopisała w rozwiązaniu jednego z nastręczających się jéj problematów, mianowicie „dręczącéj i bolesnéj“ zagadki życia przyszłego. I na tym jednak punkcie właściwy jego umysłowi optymizm nie opuszcza go w zupełności. Zdaje mu się bowiem, że i w tym kierunku jeden przynajmniéj rezultat osiągnięty został, przynosząc z sobą pojęcie pełne doniosłego i dodatniego zawsze znaczenia.

„Wszystkie stworzenia, a osobliwie stworzenia wchodzące w skład rodzaju ludzkiego, tworzą całość solidarną, w któréj pokolenia przyszłe wiążą się z teraźniejszemi i przeszłemi nieprzerwanym łańcuchem; w któréj, skroś całkowiekowych przestrzeni czasu, to co jest najlepszego, najdroższego w nas, pojęcia, aspiracye i dzieła nasze, w posiadaniu względnéj wieczności, dokonywają swojéj ewolucyi ku sprawiedliwości i prawdzie; w któréj dobre i złe uczynki odnajdują się, niosąc nagrodę lub karę indywiduom, narodom, ludzkości całéj, podług najsprawiedliwszego wymiaru“. Z tém pojęciem solidarności nie może być już mowy o poszukiwaniu zbawienia o własnych siłach i dla siebie samego. „Kłaść życie swoje w drugich, w dzieci swoje, w przyjaciół swoich, w swoich współobywateli, w ludzkość, w myśli i dzieła dla niéj pożyteczne, jest najskuteczniejszym środkiem uwiecznienia go“.

O ile wieczność ta, która nie zdaje się zadawalniać w zupełności samego pana Guéroult, skoro jéj filozoficzne pojęcie stanowi w jego własnych oczach połowiczne tylko i tymczasowe rozwiązanie „dręczącéj i bolesnéj“ zagadki, o ile, mówimy, wystarczającą być ona może dla drugich, rozbierać tutaj nie chcemy, poprzestając na naszém zadaniu sprawozdawczém.

III.

Zaraz w następnym zresztą rozdziale autor sam spieszy ze sprostowaniem domysłów, które nasuwaćby nam się mogły odnośnie do jego stanowiska wobec téj zasadniczéj kwestyi. Zaczyna od zaznaczenia tego faktu, iż pod względem religijnym, wiek zbliżający się obecnie do swojego końca, nie dotrzymał obietnic czy gróźb, które towarzyszyły potężnemu rozwojowi pojęć filozoficznych w epoce jego narodzin. Ruch, wytworzony w tym kierunku, nie zatrzymał się wprawdzie, i za jego sprawą tenże wiek upamiętnił się „najdonioślejszą re-

wolucyą religijną, jaką widziała ludzkość od roku 300“, mianowicie „całkowitém zniszczeniem nadprzyrodzonéj, cudotwórczéj powagi przypisywanéj Pismu Świętemu i Ewangeliom“. Gdy jednak w r. 1788 skroś całego cytającego i myślącego świata europejskiego, „od Monteskiusza do Diderot'a, przechodząc przez Lessing'a i Fryderyka“, wszystkie formy religijne przekazane się zdawały bliskiéj zagładzie, w roku 1888 wszystkie te formy istnieją jeszcze, katolicyzm zaś w szczególności nietylko nie uległ żadnemu osłabieniu, ale odzyskał raczéj „formy“, jeżeli nie rzeczywistość dawno nie widzianego życia i ruchu. Po trzechwiekowém przeszło uśpieniu ogłosił on dwa nowe dogmaty, ustanowił nowe obrządki („Serca Jezusowego“), uświęcił nowe cuda. Kościół utrzymał się całkowicie na dawném swojém stanowisku; papiestwo zaś, jakkolwiek ogołocone ze swéj doczesnéj władzy, zachowało a raczéj zdobyło sobie napowrót moralną i polityczną nawet powagę, która przypomniała czasy Grzegorza VII-go i Inocentego III-go. Uwydatnia się więc tutaj przed badaczem téj podwójnéj „ewolucyi“ nowa „pozorna przynajmniéj“ sprzeczność wchodzących do jéj zakresu zjawisk umysłowych. Owóż jak tłómaczy ją sobie i nam p. Guéroult:

„Cokolwiek powiedzieć mogła szkoła pozytywistyczna i materyalistyczna, człowiek jest zwierzęciem religijném. Jest to jedną z najwięcéj nieodzownych potrzeb jego natury czuć się z w i ą z a n y m z podobnemi do siebie stworzeniami i z całością stworzenia przez jakąś umysłowi jego narzucić się mogącą teoryę; mieć możliwe wyjaśnienie początków złego i dobrego; definicyę przystępną zbiorowych i indywidualnych swoich przeznaczeń... Owóż potrzebie téj filozofia właściwa n i e j e s t w s t a n i e d a ć z u p e ł n e g o z a d o ś ć u c z y n i e n i a. W rzeczy saméj zwraca się ona prawie wyłącznie do rozumu naszego. Owóż... dla przeważnéj większości ludzi... być przekonanymi nie wystarcza; trzeba im być pociągniętymi, wzruszonymi; wzruszenie zaś nie jest rzeczą analizy filozoficznéj i rozumowania, ale sztuki. I tu prawa swoje odzyskuje religia, która może być nazwana s y n t e z ą e s t e t y c z n ą d a n e g o s y s t e m a t u f i l o z o f i c z n e g o“. Możliwém skądinąd jest chwilowe przynajmniéj, harmonijne zespolenie naukowych i estetycznych pierwiastków, których wspólne działanie niezbędném staje się tym sposobem dla zupełnego zaspokojenia tych różnych potrzeb naszéj natury duchowéj. Jakoż harmonia takowa urzeczywistnioną została raz, i raz jeden zresztą w całéj historyi — mianowicie w XIII wieku i w spółczesném społeczeństwie katolickiém, kiedy: „Filozofia Platona i Arystotelesa, znalazła godnych przedstawicieli i tłómaczy w Św. Augustynie i w Św. Tomaszu...; niebiosa, w których

teologia pomieściła swoich błogosławionych, swoich aniołów i swoich cherubów, odpowiadały ściśle astronomicznym i geograficznym danym spółczesnéj nauki;... nakoniec, dzięki niezmiernie artystycznym formom panującego obrządku, transcendentalne wnioski filozofii i metafizyki oblekły kształt popularny, dostępny dla wszystkich".

Od owéj pory cała ta kunsztowna budowa zachwiała się w swoich podstawach. Tak silnemi jednak są naturalne popędy, które znajdywały w niéj zaspokojenie, że dla jakiego takiego uczynienia im zadość, człowiek skłania się do „największych ofiar", usiłując bodaj kosztem logiki wytworzyć linią demarkacyjną między naukowemi pewnikami narzucającemi się jego pojęciu a religijnemi twierdzeniami schlebiającemi jego uczuciom, i naśladując owego duchownego astronoma (Ojca Secchi), który zwykł mawiać: „W mojéj kaplicy zapominam o mojém obserwatoryum i na odwrót". Nie potępia stanowczo p. Guéroult tych kompromisowych dążności, uznaje owszem ich „naturalność", i prawie usprawiedliwia je; ale zdają mu się one zarówno „bolesnemi" jak „niemożliwemi" do urzeczywistnienia. Kresem ich koniecznym jest dylemat do Hamletowskiego dylematu podobny. Trzeba wierzyć albo nie wierzyć. W pierwszym zaś przypadku ofiara poniesiona jest ofiarą najcenniejszego z darów udzielonych nam przez naturę: myśli samodzielnéj. Jakoż „w ogromnéj liczbie wynalazków, któremi pochlubić się jest w stanie wiek teraźniejszy, nie ma może jednego, któryby był dziełem katolika wierzącego i praktykującego". W drugim przypadku, oddalając się od wszelkich metafizycznych pojęć, „uczony przyprawia się często o utratę tego zmysłu filozoficznego, bez którego sam naukowy postęp jest niemożliwy".

Znajdujemy się przeto w pełni niezmiernie drażliwego i tragicznego kryzysu moralnego. Gdzie jego koniec? Autor nie odpowiada wprost na te pytania. Przypomina jednak sobie wobec niego swój duchowy rodowód i ten dostarcza mu wniosku, do którego garnąć się zdają jego własne „zbolałe" uczucia. Jeden z weteranów szkoły saintsimonistów, zmarły przed kilku zaledwie laty G. d'Eichtal żywił głębokie przekonanie, iż ludzkość wyrwaną zostanie ze śmiertelnego uścisku dręczących ją i dławiących niepewności przez interwencyą genialnego papieża, który użyje swojéj nieomylności dla pogodzenia katolicyzmu z nowoczesném społeczeństwem. „Myśl należąca do najśmielszych — mówi p. Guéroult — jeżeli nie do najwięcéj chimerycznych. Wiek przesądów, tradycyi a nawet dogmatów stoi jéj na wstręcie. A jednak!..."

Autor zadawalnia się tą hypotetyczną formułą i przechodzi do bilansu etycznych pojęć w teoryi i praktyce życia publicznego i pry-

watnego. Zali moralność ogólna i indywidualna wyższa jest w r. 1888 albo téż niższa od poziomu, na którym znajdowała się w r. 1788? Postawiwszy to pytanie, autor dochodzi natychmiast do téj konkluzyi, że jego rozwiązanie przedstawia niezmierną trudność, że brakuje mu zupełnie danych do rozwiązania go w stosunku do całości społeczeństwa europejskiego, i że w stosunku do Francyi samej, porównanie dwóch poziomów wymaga rozróżnienia między „rozmaitemi kategoryami obowiązku publicznego i prywatnego. Jakoż na ustępach, które próbowaliśmy streścić poprzednio, kończy się poniekąd ogólna i największéj téż zajmująca treść zawierającéj je książki. W drugiéj części, za wyjątkiem ostatniego rozdziału, autor nie wyziéra już prawie po za próg swojskiego, francuskiego, życia społecznego i umysłowego, albo obejmuje tylko po za tym obrębem nader ciasny i krótkiém spojrzeniem mierzony widnokrąg.

Co rozumie właściwie p. Guéroult przez pierwszą z wymienionych przez się kategoryi, kategoryę „obowiązków człowieka względem obywateli“, tego domyśleć się dość trudno. Ustęp odnośny zaczyna się zaznaczeniem tego faktu, iż kategorya owa „nie istniała jakoby w r. 1788“, ponieważ na mocy panującéj teoryi politycznéj, król był „właścicielem swoich państw i panem swoich poddanych“, kończy się zaś stwierdzeniem faktu drugiego, który przez Tocquevilla po raz pierwszy zauważony został, a mianowicie tego iż nowoczesna organizacya administracyjna, funkcyonująca we Francyi od czasów Napoleona I, skopiowana została na wzorach należących do starego, przedrewolucyjnego porządku. Jednak, pod wpływem zapewne wykształconych pojęć o znaczeniu państwa, pewien postęp osiągnięto na tém polu nietylko w mechanizmie administracyjnym, ale w poczuciu obowiązków władzy państwowéj, w moralności profesyonalnéj przedstawiających ją urzędników. Zdaje się więc, iż „człowiek“, o którego obowiązkach mówi na tém miejscu p. Guéroult, wyobraża w jego myśli państwo czy urzędowych przedstawicieli państwa. Zrozumialszy jest ustęp drugi, dotyczący obowiązków obywateli względem państwa. Przeobrażenie pojęć, dokonane tutaj w po-rewolucyjnéj epoce, polegało na tém, iż przywiązanie do ojczyzny i poczucie należących się jéj obowiązków przestało mięszać się z przywiązaniem do osoby monarchy. Nie iżby patryotyzm, w charakterze zasady i cnoty, obcym pozostawał przedrewolucyjnym nawet stosunkom, ale „kiedy monarcha był szalonym, jak w XIV wieku, nieletnim, jak na początkach panowania Ludwika XIII i XIV, albo osobiście godnym pogardy, jak pod rządami Ludwika XV, węzeł ten rozprzęgał się do takiego stopnia, o jakim na szczęście wyobrażenia już dzisiaj nie mamy“.

Co się tyczy moralności prywatnéj, mniema p. Guéroult, iż idealny typ przedrewolucyjnego społeczeństwa, zbyt często przeciwstawiany „zepsuciu spółczesnemu“, opiera się na legendowych a bynajmniéj nie historycznych danych. Pod względem obyczajowym, czytelnicy pamiętników wiedzą „ile brutalności i wszelkiego grubiaństwa kryło się pod zewnętrzną i przysłowiową wytwornością dworu Ludwika XIV“. Pod względem prawnym, tortury i bezlitosna srogość kar cielesnych pozostają hańbiącém znamieniem owéj epoki. W życiu towarzyskiém szachrowanie w grze uchodzi zaledwie za drobny grzeszek, który nie przeszkadza kawalerowi de Gramont odgrywać roli bohatera (ob. Pamiętniki Hamiltona). Inny, sceniczny bohater téj epoki, wyidealizowany przez Regnarda i Dancourt'a, kawaler Ménechme, nazywałby się dziś Panem Alfonsem. W życiu rodzinném, „na dwudziestu panów dworskich, jak opowiada Bezenval, piętnastu jest takich, którzy opuszczają stale żony swoje dla metres“. Córka Diderot'a, pani de Vendeul, ogłaszając drukiem korespondencyą ojca z panną Voland, która to korespondencya uszłaby dziś za skandaliczną, unosi się nad tym wzorem wszystkich cnót domowych“. Talleyrand uczy nas, iż nie zdarzyło mu się spędzić jednéj nocy pod tym samym dachem z matką albo ojcem, nawet w dzieciństwie. Jakoż rodzice nie zajmują się wychowaniem swego potomstwa. Synów wychowują lokaje, a córki — panny służące. Władza ojcowska jest surowa, pozbawiona wszelkiéj tkliwości. Całość tych stosunków uległa dziś bardzo znacznemu i bardzo dodatniemu przeobrażeniu. „W Paryżu mianowicie, gdzie wychowanie rodzinne weszło w nader rozpowszechniony obyczaj, wzajemne uczucia między matkami i córkami zwłaszcza oblekły charakter, któremu bezimienny autor angielski oddał w książce p. t. *French home life* hołd nie ulegającego podejrzeniu podziwienia“.

Pod jednym jednak względem przyznaje p. Guéroult pokoleniom należącym do epoki, która poprzedziła bezpośrednio rewolucyą, „niezmierną wyższość moralną“ nad następnemi pokoleniami, osobliwie zaś nad pokoleniem obecnie żyjącém. „Chcę mówić—pisze—o tym wzniosłym entuzyazmie, który unosił pokolenia owe na drodze postępu, o téj głębokiéj wierze w przyszłość, któréj składały one bez wahania i bez żalu największe ofiary“. Dziś, „zranieni bolesnym porodem nowéj cywilizacyi“, przyszliśmy aż do zwątpienia o rzeczywistości już dokonanych postępów!

IV.

Ustęp poświęcony przeglądowi sztuk pięknych i literatury nadobnéj, najobszerniejszym jest w książce p. Guéroult (blisko 100 kartek),

ale najsłabiéj opracowany, przynajmniéj z ogólno-europejskiego stanowiska, na którém chciał postawić się autor. Najkrócéj téż zatrzymamy na nim uwagę naszych czytelników. P. Guéroult nie wié nic, albo prawie nic o ruchu artystycznym w sąsiadujących z jego ojczyzną krajach i przyznaje się nawet do tego (s. 127). Wié, iż Canova „naśladował antyk w tak fałszywym kierunku jak spółcześni mu Francuzi“, Rauch zaś i Thorwaldsen zostawili dzieła pełne wyrazu“. Odwiedził także przed kilkoma laty wiedeńską galeryą obrazów, i zauważył obrazy Makarta i Brozika, „które mimo wyższéj biegłości technicznéj i sumienności wykonania, były niezaprzeczenie daleko mniéj żyjące ze wszech miar“ niż dzisiejsze utwory malarzy francuskich. W jaki sposób załatwia się autor z angielską i niemiecką literaturą powieściową, o tém wspomnieliśmy już. O włoskiéj literaturze tyle tylko dowiadujemy się od niego, że „Manzoni jest najlepszym uczniem Walter-Scotta“ (s. 218). Bardziéj uniwersalne, jak tego spodziewać się było można, są wiadomości autora z dziedziny muzyki, któréj kosmopolityczny charakter mniéj stawiał przeszkód jego francuskiemu krótkowidztwu. Wié on tym razem o przewodniéj roli, którą na początku bieżącego stulecia odegrali w rozwoju muzyki instrumentalnéj Emanuel Bach, a po nim Haydn i Mozart, i o wpływie Wagnera na dzisiejszych instrumentalistów francuskich. Wié nawet o Szopenie i Rubinsteinie, których umieszcza pod jednym mianownikiem, jako przedstawicieli ras słowiańskich między wynalazcami frazesów muzykalnych, noszących znamię geniuszu“. W téj części téż i w téj części tylko swojego przeglądu sięga p. Guéroult do niezbyt jasno zresztą sformułowanego pojęcia właściwéj ewolucyi artystycznéj, dokonanéj między 1788 a 1888 rokiem, i postępów osiągniętych za jéj sprawą. Postępy te, bardzo mało znaczące pod względem melodyi, okazują się bardzo wielkiemi, zwłaszcza w ostatnich czasach, pod względem harmonii i instrumentacyi. „Kompozytorowie ośmieleni i słuchacze przygotowani przez natchnione zuchwałości Bethowena, odważyli się z jednéj strony na próbowąnie i skłonili się z drugiéj strony do przyjęcia takich nowych kombinacyi tonów, których dawniéj ucho byłoby nie ścierpiało“. Jednocześnie zaś dzięki wydoskonalonéj fakturze narzędzi muzycznych i podniesionemu poziomowi mechanicznego między wykonawcami wyrobienia, dział instrumentacyjny osiągnął wyższy jeszcze stopień rozwoju.

Wogóle jednak pojęcie postępu nie zdaje się autorowi, w téj sferze i w zastosowaniu do ruchu artystycznego, przedstawiać równie konkretnego znaczenia jak w innych sferach działalności umysłowéj. Zdaje się nawet, bo myśl jego w tym względzie (ob. s. 117—118) jest

dość niejasną, jakoby nie przypuszczał on właściwego ustopniowania między następującemi po sobie fazami twórczości artystycznéj, uznając niemożliwość wynalezienia dla nich jakiejkolwiek wspólnéj miary porównawczéj (str. 118). „To, coby nazwać można częścią naukową sztuki i literatury, jest dokładniejsza znajomość materyałów używanych, bardziéj racyonalne odróżnianie rodzajów, wydoskonalona niejako gramatyka i składnia języka, nie mówiąc już o rozszerzającéj się pojętności lepiéj oświeconego ogółu, wszystkie te czynniki towarzyszą postępowemu pochodowi nauk. I w tym sensie sztuka osiąga za każdém pokoleniem obszerniejsze rozmiary.“ W tym więc sensie tylko, jak wnosić wolno. Jakoż nie widać, aby autor przyznawał dzisiejszemu poziomowi artystycznemu bądź we własnym kraju, bądź gdzieindziéj, rzeczywistą w jakimkolwiek kierunku wyższość nad zeszłowiecznym poziomem. W muzyce nawet zaznacza uwagę Helmholtza, podług któréj zaniedbanie gammy naturalnéj pociągałoby za sobą, w kierunku wstecznym, utratę pewnych delikatnych akordów i odcieni (str. 157). W architekturze zapisuje bez entuzyazmu pojawienie się nowéj formy, którą przyswoiły sztuce nowoczesnéj konstrukcye żelazne, a któréj ostatni wyraz zresztą, urzeczywistniony w żelazno-ceramicznych budowach Placu Marsowego, uszedł jego uwadze. W malarstwie ruch, któremu przewodniczy dzisiejsza szkoła francuska, doprowadził wprawdzie sztukę, podług jego myśli, do „zupełniejszego objęcia w posiadanie swego właściwego języka, języka wrażeń.“ Malarze „patrzą więcéj i widzą lepiéj niż dawniéj;“ ale „zbyt wielka ich liczba, nawet pomiędzy najbieglejszymi, nie widzi nic zajmującego.“ W literaturze nadobnéj nakoniec, najnowsza szkoła powieściopisarstwa francuskiego zdaje się autorowi zarażoną „błędem kapitalnym,“ którym jest rozczarowanie, pesymizm. Powiedziałby on chętnie o jéj najświetniejszych przedstawicielach to, co Mac-Duff mówi o Makbecie: *They have no children!* Są to pisarze bezpotomni!

V.

Od literatury nadobnéj przechodzimy jednym skokiem, bo tak nam każe autor, do nauk matematycznych i eksperymentalnych. Znajdujemy zaś w tym rozdziale bardzo wiele ciekawych rzeczy, ale już wcale a wcale nie znajdujemy żadnego syntetycznego poglądu, jakiegokolwiek uogólnienia olbrzymich rezultatów, których obraz nastręczał się autorowi na tém polu i których ogrom odstraszył go widocznie. Autor postępuje ze swoimi czytelnikami tak, jak szwajcarski przewodnik, który, mając pokazać turystom górę Mont-Blanc, powiedziałby im

przed rozpoczęciem wycieczki: „Wiecie co, góra to bardzo wysoka, zmęczylibyśmy się srodze pospołu. Ale pokażę wam kamyk przyniesiony z samego wierzchołka...“ Mając tedy mówić swoim czytelnikom o odkryciach dokonanych w matematyce przez kilka pokoleń genialnych mężów, od Lagrange'a do Gauss'a, Riemann'a i Helmholtz'a, poprzestaje p. Guéroult na pokazaniu im bardzo ciekawego i mało jakoby znanego dotąd, choć nie wczorajszego odkrycia generała Peaucellier (str. 228). W gałęzi nauk eksperymentalnych (mechanice, astronomii, fizyce, chemii) zdobywa się na jeden ogólniejszy wniosek, podług którego wyrobione w ciągu bieżącego stulecia pojęcie o „jedności substancyi“ byłoby tylko rozwinięciem kartezyuszowskiéj teoryi o istocie wszechstworzenia. „Świat składa się z eteru i ruchu, *in eo vivimus, movemur et sumus*. Ma się rozumiéć jednak świat ten stanowi jedynie całość tych rzeczy, ktore dostępnemi są dla naszego pojęcia i dla naszych zmysłów... Jeżeli zaś po za tą uprzystępnioną nam sferą istnieją inne grupy zjawisk, są to światy na zawsze zamknięte dla nas“ (str. 259). Jak zaś mieszczą się, i czy zmieścić się mogą, w tak zarysowanych ramach naszego wszechbytu, ujednostajnione z innemi zjawiskami zjawiska życiowe i intelektualne? Autor odpowiada na to pytanie, oznajmiając, iż spróbuje w następnym paragrafie wskazać drogę, którą być może zagadka nasunięta przez nie naszemu umysłowi otrzymuje rozwiązanie. Paragraf ten jest paragrafem poświęconym fizyologii. Oto zaś w jaki sposób streszczone w nim znajdujemy owoce całowiekowéj pracy, któréj „teorya ogólna świata“ stała się przedmiotem w tym ostatnim kierunku naukowych badań, „pracy kolosalnéj i przenoszącéj bez żadnego możliwego porównania wszystko, co dokonaném zostało na tém polu przez minione stulecia.“ Pierwiastkami dostępnego naszym zmysłom i byt nasz obejmującego świata są:

„Jedna substancya, eter, którego atom każdy skupia w stopniu nieskończenie małym rozmaite czynniki, nazywające się siłą, masą, powinowactwem, życiem, z których każdy znowu uzmysławia się dopiéro w kombinacyach złożonych z pewnéj zmiennéj ilości atomów ożywionych danemi ruchami i podlegających danym kierunkom;

„W téj substancyi specyalne wirowate ruchy tworzące ciała (Kartezyusz, Helmholtz, Thomson);

„Eter służący po za temi kombinacyami do utrzymania związku między niemi, od mikroskopijnych międzycząsteczkowych do przestworów niebieskich, śród których zapalają się najodleglejsze gwiazdy, a to za pomocą środka, który zdaje się uniwersalnym i którym jest drganie (*vibration*);

„Co się tyczy zjawisk życia fizyologicznego, komórki pierwotne,

raz uorganizowane, łączące się między sobą w rozmaitych kombinacyach;

„Między niemi w pierwszym rzędzie kombinacye oparte na zasadzie rozdziału pracy, tworzące w pewnym gatunku polizoizmu (Durand de Gros) stowarzyszenia, które spełniają pewne ewolucye, wydoskonalają się albo uzupełniają się z każdém nowém pokoleniem i którym dajemy nazwę istot żyjących.“

Nie chcemy oczywiście przyjmować żadnéj odpowiedzialności za wykład tego systemu, który, według uwagi autora jest w gruncie systemem Leibnitz'a, i przechodzimy do ostatniéj części jego dzieła poświęconéj naukom społecznym.

VI.

Powiedzmy zaraz, iż zdaje się jakoby autor czuł się znowu więcéj u siebie na tym grucie. Widzimy go téż obejmującego daleko jaśniejszém i przenikliwszém spojrzeniem rozciągające się przed nim przestrzenie i dochodzącego do konkluzyi, którym można odmówić trafności, ale w których, w kształcie próby przynajmniéj, przejawia się syntetyczny kierunek myśli. W dziedzinie nauk historycznych np. zaznacza autor jako dorobek bieżącego stulecia z jednéj strony dokładność, pewność i śmiałość zarazem podjętych badań, które po raz pierwszy nadały erudycyi i krytyce historycznéj prawdziwie naukowy charakter, z drugiéj strony zastosowanie do tychże badań poglądu filozoficznego, za pomocą którego, starając się odkryć w następujących po sobie wypadkach pewien ciąg i sens logiczny, próbowało dziejopisarstwo dźwignąć się do pojęcia uprzystępniającego ogólne przynajmniéj wnioski względem przyszłych przeznaczeń ludzkości.

Mniéj dodatniemi zdały się autorowi rezultaty osiągnięte na polu prawodawstwa. „Tocqueville wykazał już, że wewnętrzna praca konsulatu i cesarstwa polegała głównie na przechrzczeniu i przebraniu podług nowéj mody większéj części instytucyi należących do starego porządku.“ Jednak w prawie cywilném, kodeks Napoleoński stał się wielkim postępem, nie tyle treścią swoją co ujednostajnieniem prawodawstwa europejskiego, którego był narzędziem. W prawodawstwie karném, dzięki ostatecznemu zaniechaniu „barbarzyńskiéj tortury“ i „zdradzieckiéj procedury tajnéj,“ postęp dokonany jest „ogromnym.“ W prawie międzynarodowém nakoniec zaznaczony już na wstępie kierunek unifikacyjny, którego rozpowszechniające się związki celne, pocztowe i telegraficzne są wyrazem, zbliża przewidywaną i wzywaną z utęsknieniem przez autora erę pokojową ogólną-europejskiéj federa-

cyi. W jego przekonaniu nawet, wszystkie narody europejskie, z jednym może wyjątkiem, będąc w posiadaniu instytucyi parlamentarnych, posiadają *eo ipso* pierwiastki potrzebne do utworzenia trybunału międzynarodowego, któremu poddane byłyby najpierw wszystkie istniejące lub pojawić się mogące między rozmaitemi państwami kwestye sporne, a który następnie byłby zawiązkiem ogólno-europejskiéj organizacyi politycznéj (str. 355).

Na polu ekonomii politycznéj zaznaczone mamy współistnienie od 1789 r., a zwłaszcza od 1812 roku, i współmierny rozwój dwóch szkół, zostających w skrajnym antagonizmie. Szkoła liberalna, wywodząca się z XVII-go wieku od Vaubana, a w XVIII-ym od Quesnay'a i Adama Smitha, zapatruje się na badane przez się zjawiska z punktu widzenia czysto indywidualnego, i zwracając głównie uwagę na wytwórczość rozporządzalnych w naturze sił i wynikające z niéj bogactwa, obstaje przedewszystkiém za ubezpieczeniem indywidualném usiłowaniom w tym kierunku jak największéj swobody. Przeciwnie, szkoła socyalistyczna zaprząta się nie tyle produkcyą, co rozdziałem bogactw, żąda osobliwie uprzystępnienia takowych najbiedniejszym klasom społeczeństwa i w tym celu nie cofa się nawet przed poświęceniem wolności umów i wymian, i saméj wolności pracy, a żądaniem interwencyi państwa, w charakterze sprawiedliwego rozdawcy, poprawiającego naturalną nierówność społecznych kondycyi, lub nawet głównego wytwórczego czynnika. Ta druga szkoła rozpada się zresztą na dwie grupy: w pierwszéj Saint-Simon, Fourier, Cabet, Owen, Ludwik Blanc występują z rozmaitemi rozwiązaniami wielkiéj agitowanéj przez się kwestyi społeczno-ekonomicznéj. W drugiéj — Lassalle, Karol Marx cofają się przed obmyślaniem systematów naprawić mogących budowę społeczną, która w ich oczach nie dopuszcza żadnéj naprawy. Trzeba, w ich pojęciu, obalić najpierw z gruntu gmach cały, a następnie pomyśléć o odbudowaniu go na nowych podstawach. Anarchiści zaś nie przyjmują nawet téj drugiéj połowy wspólnego programu. Ich ideałem jest projekt prawa, którego myśl pożyczył Rochefort od dziennikarza z epoki dyrektoryatu:: „Art. 1. Niema już nic. Art. 2. Nic się nie kładzie na miejscu tego, co było.“

Autor, który jest stanowczo optymistą, nie traci jednak wiary w możliwość, a nawet w blizkość innego dodatniejszego rozwiązania, które pogodzi wszystkie obozy. Dostarczą go fakta same, za pomocą tajemniczego mechanizmu tych harmonii, których rzeczywistość przeczuł geniuszem swoim Bastiat. I zapowiadają je rezultaty już osiągnięte, a mianowicie:

1. Za sprawą niezmiernego od lat stu powiększenia się kapitału,

którym rozporządza społeczeństwo europejskie, talent uzyskał już nie widzianą nigdy pierwéj łatwość w uzyskaniu środków, których brakować mu mogło dawniéj, dla zapewnienia sobie odpowiedniego wynagrodzenia;

2. Dzięki uprzystępnionéj wszystkim inteligencyom i rozpowszechnionéj odpowiednio oświacie, przeciętna skala talentów podniosła się, przynajmniéj co do téj połowy talentu, która może być nabytą;

3. Niesłychany rozwój środków komunikacyjnych prowadzi już coraz widoczniéj do zupełnego prawie unicestwienia renty gruntowéj, to jest téj części dochodu gruntowego, która, podług analizy Ricarda, przypada dotąd właścicielowi niezależnie od kapitału i od pracy włożonych w ziemię.

4. Ta ostatnia ewolucya, któréj następstwem musi być obniżeżenie ceny artykułów spożywczych, daléj już posuniętą została odnośnie do przemysłu trudniącego się wyrobem odzieży, któréj cena spadła znacznie a spadnie więcéj jeszcze.

Autor przypuszcza nadto, iż osiągnięte w ten sposób zrównanie siły produkcyjnéj rozmaitych krajów europejskich sprowadzić musi inną ewolucyą, za któréj sprawą nie znajdująca odpowiedniego zużytkowania obfitość europejskich kapitałów, wiadomości i talentów popchnięta będzie do użyźnienia po za Europą innych więcéj zacofanych okolic.

X.





Z CZYJÉJ WINY?

Miała lat pięć, kiedy czytała już dobrze. Rodzice wołali ją zawsze, gdy byli goście. Wchodziła z książką w obydwóch małych rączkach, rozglądała się dokoła dużemi oczami, z głębi których przebijały zarodki cichego i ciągłego myślenia.

— Przeczytaj, Celinko, tę powiastkę o róży, którą niegrzeczny chłopczyk zerwał w ogródku—mówiła matka — albo podaj książkę téj pani, może ci sama co wybierze.

Dama, do któréj się zwracano, wskazywała jedną z powiastek.

Całe towarzystwo słuchało cichego szczebiotliwego głosiku.

Gdy skończyła czytać, matka kazała jéj mówić bajki Jachowicza lub Krasickiego.

W siódmym roku życia Celinka umiała na pamięć całą „Lirenkę“ Lenartowicza.

Gdy ją uczyli „Wiochny“ lub „Po brzozowym cichym lesie“, płakała: tak jéj było smutno mówić o drzewach i kwiatkach, o tym braciszku, do którego siostra siérota pisała na brzozowym listku.

Kazano jéj deklamować wiersze przed każdym, kto tylko przyszedł. Ojciec lub matka zadawali jéj pytania, na które musiała odpowiadać. Gdy nie miała chęci mówić, pieszczotami i łakociami zachęcano ją do tego. Po każdym takim popisie jedno z rodziców brało ją na kolana. Goście zaczynali rozprawiać o jéj przyszłości.

— Będzie z pewnością uczoną—odzywał się ktoś z obecnych.

Matka słuchała.

Ojciec kiwał głową twierdząco i dodawał:

— Wykieruję ją na człowieka.

Wpadał następnie w zamyślenie, z którego tylko natrętne pytania sąsiada lub sąsiadki były w stanie go wyrwać.

Marzył o zawodzie literackim dla córki.

Sam niegdyś posiadał trochę twórczych zdolności. Nie rozwinął

ich, gdyż nie miał po temu czasu. Od najmłodszych lat musiał ciężko pracować na zapewnienie sobie bytu.

Samouczek, potém już nie miał wiary w siebie. Czuł brak gruntu pod stopami Koleje talentu jednak każdego artysty lub poety, zajmowały go żywo.

Myślał nieraz: „do czego byłbym ja doszedł, gdyby nie moje wykolejenie?“

Często bawił się w filozofowanie. Książki, które czytał i wybierał na „chybił trafił“, popchnęły umysł jego na drogę czysto metafizycznych refleksyi.

Lubił zastanawiać się nad zagadką bytu i przeznaczeniem człowieka. Po paroletnich rozmyślaniach doszedł do wniosku, że duch każdéj pojedyńczéj jednostki musi przebywać fazy przekształceń.

Obudziwszy się w ciele dzikiego, zezwierzęconego murzyna, jeden i ten sam umysł po licznych na świecie wędrówkach, po mozolném wdrapywaniu się za każdą śmiercią i każdém ożyciem swéj zewnętrznéj powłoki, na coraz wyższe szczeble drabiny społecznéj, gaśnie jako wielki talent, zostawiając twórcze swe arcydzieła na pokarm dla tych, co są dopiéro w fazie przeobrażeń.

Sam siebie uważał za poczwarkę talentu, który zabłyśnie dopiéro w następném odrodzeniu.

To też na teraźniejszość zapatrywał się jako na stan przejściowy. Nie martwił się bardzo smutkami, które go spotykały, nie przejmował zawodami, nie cieszył zbytecznie powodzeniem, mówiąc sobie:

— To minie, minie bardzo prędko!...

Spełniał wiernie należące doń obowiązki; nie buntował się przeciwko powszedniości, nie dążył do działania na szerszém polu społecznem, powtarzając:

— To później!

Zagłębiony w sobie, żył tylko pragnieniem tego przyszłego, wymarzonego życia, w którém myśli jego, dziś przyćmione, rozwiną się, jak kwiaty.

Ożenił się w trzydziestym roku. Gdy po dziesięciu latach bezdzietnego pożycia, losy obdarzyły go córką i gdy ta córka zaczęła rozwijać się umysłowo przedwcześnie, zmienił swe teorye.

Powiedział sam do siebie:

— Nie, człowiek, czujący w sobie zarodki wielkich zdolności, a nie mający pola do ich rozwinięcia, odradza się w potomstwie swojém. Dzieci wchłaniają lepszą część naszéj istoty: jeżeli my mamy talent, a nie tworzymy, to one muszą tworzyć za nas i wsławić nasze imię zrodzone do sławy...

Z pod szafirowych okularów przypatrywał się Celince, jak mając lat cztery, w kąciku, sama jedna składała litery, które on jéj pokazywał rodzajem zabawki.

Uczył ją bajeczek, wierszy, a potém, z czasem, długich ustępów kremerowskiéj lub libeltowskiéj prozy, które koniecznie kazał jéj zrozumiéć.

Nie grymasił w wyborze: czytał Celince i nawoływał ją do powtarzania wszystkiego, co tylko wpadło mu pod rękę: to poezye z wypisów, to ustępów z pierwszéj lepszéj książki, jaką mu kto pożyczył.

Do lat ośmiu był sam jéj nauczycielem. Po powrocie z biura i po półgodzinnéj poobiedniéj drzémce, brał dziecko na kolana i kazał mu czytać, pisać, uczył je czegoś na pamięć do samego wieczora.

Czasami pytał jéj:

— Czy ci nigdy nie przychodzą do głowy takie historyjki, których nie czytasz nigdzie, a które sama sobie opowiadasz po cichu?

Dziecko minką i giestami odpowiadało:

— Tak!

Ojciec pytał daléj:

— A co ci chodzi po głowie: smutne czy wesołe rzeczy!

Dziewczynka posępniała. Zwracała wzrok w jeden punkt nieruchomo. Źrenice jéj rozszerzały się. Paluszkiem rysowała jakieś figury po stole.

Nie chciała mówić.

Gdy ojciec nalegał, schodziła mu z kolan i ginęła w jakim ciemnym kąciku drugiego pokoju.

Płakała, gdy ją kto śledził...

Kiedyś ojciec podszepnął jéj, aby opisała jaką historyjkę z tych, co jéj chodzą po głowie.

Parę dni była bardzo roztargniona, nie chciała się uczyć wierszy na pamięć, chowała się przed ojcem, gdy wracał z biura.

W saloniku pod stołem, przykrytym ciemną serwetą, któréj rogi spuszczały się na ziemię, siedziała całemi godzinami z ołówkiem w ręku i z kajetem od dyktanda.

Wreszcie raz ojciec przyszedłszy z biura, zastał na biurku trzy kartki, wydarte z kajetu i gęsto zapisana niezręczném, dziecinném pismem.

Była to historyjka prozą o małych ludziach, o których zawsze opowiadała jéj niańka, kołysząc ją do snu, a których potém widywała na obrazkach w jakiejś książce z bajkami.

Myślała o nich nieraz, siedząc w ciemnym kąciku. Zdawało jéj się, że słyszy ich rozmowę i widzi, jak się dokoła niéj ruszają.

Ci ludzie są wszędzie— pisała— za ścianami, pod podłogą, w suficie. Dawniéj, często wyjeżdżali na środek pokojów w brylantowych karetach z wysadzaną ametystami, uprzężą dla koni takich samych małych, jak i oni.

Lubili zawsze zatrzymywać się tam , gdzie na podłogę padało dużo słońca i błyszczeli złotem, srebrem, drogiemi kamieniami, których mieli na sobie mnóstwo.

Raz dwoje takich liliputów, którzy się bardzo kochali, zsunęli się w dyamentowym powozie, z wysokich, żółtym atłasem wybijanych ścian wielkiéj sali, gdzie stały wysokie krzesła rzeźbione, stoły ze złotemi i kryształowemi świecznikami. Przez okna, zasłonięte tylko do połowy żółtemi atłasowemi firankami, padały smugi słońca: błyszczące pyłki drgały w nich, jak małe brylanciki, zawieszone w powietrzu na niewidzialnéj niteczce.

Mała para zatrzymała się tam, gdzie najwięcéj świeciło i ruszało się promieni. Patrzyli oboje na kryształowe świeczniki, w których przebijała tęcza, patrzyli na żółte ściany, jasne, jakby złote. Ubrani w topazy i brylanty, połyskiwali sami, jak słońce. Mały człowieczek pokazywał swojéj żonie coraz to coś nowego: w oczach im skakało wszystko, co widzieli. Całowali się i cieszyli bardzo, tak że nie spostrzegli, jak na środek sali wszedł duży prawdziwy człowiek i spojrzał na nich.

Mali ludzie nie znoszą wzroku dużych: ci odrazu umarli, a powóz ich i brylanty zniknęły, jakby odrazu zapadły się w ziemię.

Inni lilipuci od tego czasu boją się i nigdy już teraz nie wychodzą ze swoich kryjówek za ścianami, pod podłogą, na suficie.

Ojciec, przeczytawszy bajkę, zdjął szafirowe okulary, przetarł je chustką, potém włożył na powrót na oczy, schował rękopism i chodził po pokoju wolnemi krokami, mrucząc sam do siebie:

— Tak, tak, wyobraźnia jest, poczucie dramatycznego rozwiązania jest: reszta rozwinie się. Trzeba tylko pilnować młody talent, żeby wykiełkował i nie zmarniał...

Matka, wysłuchawszy pierwszy utwór swéj córki, który jéj ojciec głośno przeczytał, rozpłakała się. Do wieczora nie można było jéj uspokoić.

Próżno Celinka całowała ją po rękach i prosiła:

— Nie płacz mamo, nie płacz!

Przez łzy powtarzała ciągle:

— Żeby z nią nie było, jak z tą Urszulką Kochanowskiego: ja się boję!...

Ojciec zżymał się. Z początku usiłował tłómaczyć, że to zupeł-

nie co innego, lecz widząc, iż słowa jego nic nie pomagają, trzasnął drzwiami, wyszedł i nie wrócił aż późno w nocy...

W kilka dni przeszła „dziecinna“ trwoga matki: oboje potém wraz z mężem odczytywali po nieskończoną ilość razy utwór córki, dopatrując się w nim coraz to świeższych zalet i w końcu dodając:

— Będzie to umysł nielada...

Celinka słyszała ich pochwały i marzenia o jéj przyszłości.

Miała wtedy lat ośm, a już budziły się w niéj tajemnicze podszepty natchnienia.

Całemi godzinami nieraz czuła w uszach, w głowie szelest wyrazów. To goniły się, ścigały, jedne przeskakując drugie; to znowu sunęły się po mózgu spokojnym i równym szeregiem jak stado żórawi. Każdy wpijał się w pamięć i mogła była je spisywać odrazu.

Chwilami brzęczały, huczały wszystkie gromadnie, jak komary obsiadając jéj głowę.

Nieraz znowu słowa przycichały, a budziły się myśli, oderwane, ciemne, szukające formy.

Świadomość mozoliła się, by je odtworzyć; dziecko ich nie rozumiało: były to zwiastuny przyszłości...

Gdy rodzice sami ze sobą, albo z gośćmi rozmawiali o tém, czém Celinka z czasem zostanie, coś rosło w jéj piersiach, jakieś gorączkowe pożądanie, którego ona sama jeszcze nie pojmowała, a które może miało się późniéj przerodzić w pragnienie sławy.

Jak jéj pilno było wówczas do wszystkiego. Ręce drżały, gdy brała książkę, aby odbyć z ojcem lekcyą. Czytała z chciwością kartkę po kartce: chciała się ich wszystkich nauczyć do wieczora, aby jutro dostać drugą nową, pojutrze trzecią, a za rok umiéć na pamięć wszystkie książki, jakie są na świecie...

Ojciec podniecał tę gorączkowość.

— Pracuj, moje dziecko, pracuj gorliwie — powtarzał — bez pracy niczém nie zostaniesz, choćbyś miała największy talent. Im trudniéj ci przyjdzie się czegoś nauczyć, tém dłużéj to zapamiętasz i tém większą korzyść stąd osiągniesz...

Miała umysł bardzo wrażliwy. Pamięć jéj nasiąkała jak gąbka, morałami i przestrogami, które słyszała. Od niemowlęctwa okazywała wielką, dziwną, jak u dziecka, sumienność w stosowaniu się do nich. To też za każdém powiedzeniem ojca: „pracuj!“ byłaby chciała połknąć wszystkie książki. Nic dla niéj nie zdawało się trudném:

— Już to umiem—mówiła do ojca, przeczytawszy jeden tom gawęd Pola lub tłómaczeń Syrokomli i prosiła o coś nowego.

Ojciec do dziesiątego roku jéj życia przeszedł z nią całą historyą

starożytną, geografią szczegółową Europy, liczby wielorakie i ułamki dziesiętne. Kazał jéj, jako ćwiczenia stylistyczne, pisać coraz to nowe opowiadania z głowy, które późniéj pokazywano gościom na zebraniach.

Matka miała polecone odczytywanie z nią arcydzieł prozy i poezyi polskiéj. Do języków i muzyki przychodziły nauczycielki z miasta.

Do lat jedenastu kształciła się w domu. Zacząwszy rok dwunasty, zdała po wakacyach egzamin do czwartéj klasy na pensyi.

Ojciec był zdania, że jedynie szkoła może dać podstawę systematycznéj wiedzy, któréj się inaczéj nie nabędzie, a bez któréj giną najświetniejsze umysły. Miał na myśli siebie, nie wypowiadał tego jednak nigdy głośno.

Na pensyi Celinka, przyzwyczajona do ciszy domowéj, do swoich kącików, w których myślała i marzyła, znalazła się, jak w otchłani.

Gwar, chaos, cogodzinne dzwonienie, nawoływanie nauczycielek, piski i skoki koleżanek podczas pauzy przygniatały ją. Zdawało jéj się, że wszystko, co przemarzyła o ludziach, którzy się kochają, o cudownych krajach, do których serce jéj się rwało, gdy o nich czytała, że wszystkie myśli, jakie dotąd przebiegły jéj po główce pierzchną odrazu w têm hałaśliwêm piekle.

Szła rano, pełna niechęci; wracała z bólem głowy.

Nie skarżyła się jednak, ponieważ ojciec twierdził, iż przejść musi przez niejednę trudność, zanim się czegoś dobije.

Im była starsza, têm więcéj ją męczyła przymusowa, nudna, szematyczna praca szkolna.

Trudno jéj było oddychać dusznêm, przez kilkadziesiąt ust z jednego niewielkiego pokoju czerpanêm powietrzem.

Ciężar padał jéj na piersi, gdy wchodziła do klasy; siadała w ławce przed pulpitem i przez pięć godzin z rzędu, z małemi przerwami, musiała słuchać jednostajnego, po większéj części nudnego i męczącego wykładu profesorów, kulawéj przełożonéj lub roztargnionych dwóch nauczycielek.

Z początku starała się bardzo pilnie uważać. Mogła była powtórzyć każde słowo najnudniejszego ze wszystkich nauczyciela geografii. Po pewnym czasie wyczerpał się zasób natężonéj uwagi. Myśli odbiegały od tego, co było mówione w klasie, i tworzyły sobie swój własny, odrębny kierunek.

Rozpoczęła się dla niéj epoka filozofowania.

— Co znaczy nasze życie?— pytała sama siebie. — Do czego nas ono doprowadzi? Czy ze śmiercią kończy się ono na prawdę czy tylko pozornie.

Jeden z nauczycieli podsunął jéj raz w klasie myśl o światach, zaludnionych w przestrzeni nadpowietrznéj istotami, o których wiedza nasza nie może sobie dotąd wytworzyć nietylko ścisłego, ale nawet przybliżonego pojęcia.

Odtąd zaczęła rozważać: „Czy te istoty są doskonalsze od nas, czy potrzebują tak, jak i my, odżywiać się pokarmami, na które ciężko trzeba pracować? Może tam powietrze samo nasyca je i wzmacnia, zastępując im sen, który tyle czasu zabiera?“

Jak one wyglądają? Jak przychodzą na świat? Jak mieszkają? Jak się ubierają? Jaka roślinność i jaki klimat u nich?

Myślała o têm podczas nudnych wykładów geografii i niemieckiego, podczas zadawanych w klasie ćwiczeń arytmetycznych i tłómaczeń z ruskiego na francuski.

Najczęściéj—albo nie zdążyła skończyć zadania, albo gdy ją wywołał nauczyciel do lekcyi, — otwierała oczy szeroko, jakby zbudzona ze snu, i prosiła o powtórzenie pytania.

W cenzurach miała przy piątkach ze sprawowania dopisane: „roztargniona.“ To jéj przeszkadzało do otrzymywania nagród.

Ojciec rozpaczał.

— Ze swemi zdolnościami—mówił do niéj—powinnaś być pierwszą we wszystkiém. Pracuj i panuj nad sobą. Za kilka lat będziesz zupełnie swobodna: będziesz mogła myśléć, ile zechcesz. Tymczasem—staraj się być pierwszą w szkole: to ci zapewni dalszą karyerę...

Pomimo zachęcania jéj do pracy szkolnéj, napędzał ją do spisywania myśli, gdy mu się skarżyła, że jéj one mózg oblegają, że nie może ich odpędzić nieraz, choć walczy z niemi, by uważać na lekcyi.

Wróciwszy z pensyi, siadała przy stoliczku swoim i pisała; pisała nieraz do późnego wieczora. Już rodzice spali i na ulicach było zupełnie spokojnie, gdy zaczynała się uczyć lekcyi na dzień następny.

Notowała to w formie pamiętnika, albo listów do przyjaciółek urywki swego filozofowania; to tworzyła legendy o doskonalszych od człowieka istotach, owiane mistyczną wiarą w postęp nauki i pracy.

Chowała drobno zapisane arkusze papieru, myśląc sobie, iż z czasem obrobi je dokładniéj.

Ojciec wynajdywał je i odczytywał pokryjomu znajomym, którzy, kiwając głowami, powtarzali:

— To rzeczywiście coś niezwyczajnego!...

Na pensyi zaczęto się zachwycać jéj wypracowaniami.

Nauczyciel polskiego zadał kiedyś temat: „Poranek na wsi.“

Opisała drżenie i tęczowo-dyamentowy połysk rosy na krzaczastych łodygach szparagów. Rumianki o owalnych, białych języczkach

i wypukłych żółtych główkach rozmawiały z macierzanką, wrzosem, jaskrami i liliową cykoryą o przeobrażeniach w przyrodzie. Białe motyle, tylko co wyklute z poczwarek, i pszczoły, przerabiające na miód kwiatowe pyłki,—wtórowały echem. Drgający promień słoneczny szeptał o przechodzeniu ruchu w ciepło, ciepła w światło.

I tylko rosa, kwiaty, motyle, słońce pytały: „Skąd życie? Skąd siła ruchu? Skąd niezmienne, stałe, prawidłowe w swéj nieprawidłowości prawa przyrody?...“

Nazwano ją filozofką. Koleżanki mówiły do niéj:

— Jakaś ty mądra! Dlaczego żadnéj z nas nie przyjdzie to, co tobie do głowy?...

Jedna z nich, marzycielka Ania, napisała do niéj list podczas lekcyi robót.

„Jesteś dla mnie gwiazdką — zaczęła — któréj blask olśniewa mnie i upaja. Migoce ona coraz to nowém światłem, a zawsze uroków pełném...“

„Bądź moją przyjaciółką — kończyła, — poznawszy ciebie, nie mogę już kochać innéj. Będę się starała zgadywać twoje myśli. Kiedyś staniesz się sławną: pogardzisz może mną wtedy, ale ja zawsze kochać i uwielbiać cię będę...“

Profesorowie mówili o niéj do przełożonéj: „tęga to głowa.“ Damy klasowe wyróżniały ją na każdym kroku.

Celinę te pochwały czasami niecierpliwiły. Słuchając ich, mówiła sama do siebie: „tak mało jeszcze umiem. Tyle trzeba pracować, żeby się czegoś nauczyć!...“

I zdawało jéj się, że nigdy nie przyjdzie dla niéj ta chwila, w któréj zrzuci z siebie jarzmo szkolnéj nauki, stanie samodzielnie i zasłuży sama w swojém własném pojęciu na hołdy uwielbienia.

Wpadała wtedy w straszne zniechęcenie. Odrabiała lekcye z musu. Pisała wypracowania, przystosowane ściśle do danego szematu, nie wybiegające żadnym zwrotem po za wskazany zakres.

Ani, która jéj powtarzała często: „jakaś ty mądra, jak ty wszystko umiész!...“ odpowiadała opryskliwie: „daj mi święty spokój z temi nudnemi i głupiemi hymnami uwielbienia!...“

To znowu—innym razem—usłyszane w przelocie słowa podziwu dla jéj zdolności, odurzały ją jak narkotyk. Doznawała wrażenia rozkoszy. Przymykała oczy i całemi godzinami myślała o swéj przyszłości.

Czuła, że przerosła umysłem o wiele wszystkie swoje koleżanki i rówienniczki. Czuła w sobie natchnienie. Wiedziała, iż z czasem imię jéj stanie się głośne. Widziała się w salonach literackich. Ci

i owi składają jéj hołdy, szukają znajomości z nią: uważają za zaszczyt każde otrzymane od niéj słowo...

Z marzeń takich budziła się albo senna, ociężała, z głową zwisającą na piersi, z zamglonemi oczami, z wypiekami na twarzy, jak po zażyciu opium... Albo téż wpadała w gorączkową chęć czynu i wiedzy.

Przerzucała wszystkie książki w bibliotece ojca.

Umiała już prawie każdą na pamięć: nic jéj do nich nie ciągnęło. Szkice Szajnochy, Listy Kremera, Estetyka Libelta, poezye Krasińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Ujejskiego, i cały szereg przebrzmiałych już dawno powieści historycznych...

Chciała czegoś nowego, czegoś, coby ją odżywiło i dało nowy prąd myślom...

Zwierzyła się z tém kiedyś Ani. Ania przysłała jéj zaraz nazajutrz piętnaście tomów najświeższych wydawnictw.

Były między niemi: „Dzieje cywilizacyi“ Buckla, „O powstawaniu gatunków“ Darwina—Schmidta, kilka luźnych odczytów z dziedziny przyrody, „Wielość światów“ Flammariona, a wreszcie „Krytyka czystego rozumu“ Kanta.

Rozpoczęła się dla Celiny mrówcza praca od wczesnego rana do późnéj nocy.

Na lekcyach pod stołem czytała. W domu podczas obiadu, po obiedzie, przy kolacyi nie wypuszczała książki z rąk.

Rodzice z dumą pokazywali sobie wzrokiem zaczytaną córkę. Matka tylko prosiła jéj, aby nie zaniedbywała muzyki. Ojciec przypominał o odrabianiu zadań szkolnych.

— Przedewszystkiém szkoła — powtarzał kilka razy w ciągu dnia—to pierwszy stopień zawsze i wszędzie. Kto go ominie,—niczém w dalszém życiu nie zapełni wielkiéj szczerby.

Chcąc dogodzić matce, grywała całą godzinę gamy z książką, rozłożoną na pulpicie.

Chcąc dogodzić ojcu, uczyła się lekcyi na pensyą, gdy już nie mogła czytać, gdy umysł, znużony, już nie przerabiał chwytanych myśli, gdy zmęczony wzrok mylnie nieraz wskazywał literę.

Siedziała nad książkami długo w nocy; połykała każdy rozdział; kończąc jeden, pytała z rozognionemi policzkami: „co będzie w drugim?...“

Tysiące myśli z pomiędzy tych, co się przed nią w książce odsłaniały, już miała przedtém sama w głowie, tylko mniéj jasno sformułowane, niedomówione, czasami zupełnie ciemne, jakby zaledwie przeczuwane...

Serce jéj biło; oczy pałały; doznawała uczucia rozkoszy i dumy

na widok wydrukowanych, przez głębokich myślicieli wypowiedzianych pojęć, które ją w głębi mózgu nurtowały...

Gdy przeczytała coś zupełnie nowego, coś, co jéj dotąd nie przeszło jeszcze przez wyobraźnią,—zastanawiała się nad tém długo. Przerabiała myślą tysiąckrotnie zdania lub całe okresy, które ją uderzyły, szukając przykładów na ich potwierdzenie.

Przetrawiła około trzydziestu tomów bez najmniejszego wyboru. Chwytała to, co jéj przynosiła przyjaciółka i połykała całe dzieło, nie patrząc czasami na jego tytuł.

Płakała, jeżeli czegoś nie była w stanie zrozumiéć.

Doszedłszy do ostatniéj książki, jaka leżała na pułkach jéj nad szkolnemi kajetami, zaczęła przerzucać kartki obojętnie, biernie.

Nie mogła w nich znaleźć już nic nowego: myśli, dawniéj znane, powtarzały się.

Powiedziała sobie, że wszędzie mniéj więcéj czyta się jedno i to samo z małą zaledwie odmianą formy i stylu: poznać jednę książkę — jest to znać ich tysiące. Jeden autor okrada drugiego; późniejszy przerabia to, co powiedział przed nim wcześniejszy.

— Czy warto pisać?

Pytanie to po raz pierwszy przeszło jéj przez głowę i utkwiło w niéj, jak ćwiek, wbity w mózg silną ręką.

— Nie—odpowiadała sama sobie powoli, marszcząc brwi i patrząc w jeden punkt nieruchomo — bo i cóż nowego możemy stworzyć, my, którzy jak pasorzyci żyjemy myślami i teoryami tych, co przed nami działali i tworzyli?

Straciła chęć do czytania zupełnie. Potrzeba pisania stawała się dla niéj katuszą: byłaby stokroć szczęśliwsza, nie znając jéj wcale. Bo i cóż mogła stworzyć takiego, czegoby ktoś przed nią lepiéj i dokładniéj nie przedstawił?...

Z całym wysiłkiem zgnębionego umysłu rzuciła się do szkolnéj pracy.

Siebie tém nie zadowolni, lecz dogodzi ojcu przynajmniéj.

Termin ostatecznych egzaminów już się zbliżał. Ania przychodziła do niéj codzień: razem przygotowywały się, razem powtarzały gramatykę, składnią i literaturę, przerabiały z podręczników zadania arytmetyczne, wypisywały historyczne daty i przesłuchiwały jedna drugą.

Pracowały po szesnaście do dwudziestu godzin na dobę. W dzień orzeźwiały się krótką przechadzką; w nocy piły szklankami mocną czarną kawę lub wyciąg herbaty, aby nie zasnąć.

Ania przed czwartym egzaminem zachorowała i musiała wyjechać na wieś z polecenia lekarzy.

Celina w dalszym ciągu uczyła się sama.

Nieraz w nocy, pochylona nad książkami, usypiała na chwilę. W tém—coś ją podrywało. Doznawała przykrego uczucia, jakby ktoś w samo jéj serce zapuścił ostrze cienkiéj igły. Krew tętniła mocno i pozostawał drażniący ból. Chciała go przerwać, oddychając długo, ale pozostawał głęboko i coraz bardziéj męczył.

Czasami, siedząc przy otwartém oknie, wśród takiéj ciszy, usłyszała puls własnych skroni, — kładła książkę na kolana i patrzyła w gwiazdy nad dachami domów.

— Jak się tam oddycha? Czy ludzie naszéj planety znajdą kiedy sposób porozumiewania się z mieszkańcami tych światów, o których mówimy, że „błądzą wśród eterów?...“

Pytania biegły za pytaniami. Patrzyła ciągle to w błękit, to w głuchą nadpowietrzną próżnią, póki powieki, zmęczone, nie opadły.

Budził ją szelest.

Matka, nie słysząc przez sen szmeru przewracanych kartek książki, wstawała z łóżka i przychodziła do córki. Całując ją w czoło: pytała: „dużo masz jeszcze do przeczytania?...“

Litowała się nad nią, gdy pokazywała szereg nieprzejrzanych pytań. Przynosiła z szaf łakocie i pocieszała, mowiąc: „już niedługo. Za parę tygodni będziesz odpoczywała. Pozwolę ci wtedy spać do południa i zapowiem wszystkim w domu, aby ciebie nie budzili...“

Odchodziła, wzdychając ciężko. Do męża, który, przebudzony odgłosem jéj kroków, pytał: „co to jest takiego?“ — mówiła: „to biedne dziecko jeszcze siedzi nad książką. Żebyż już raz z tém skończyć!...“

Celina przed ostatnim egzaminem dostała ataku nerwowego płaczu na pensyi. Przełożona zaprowadziła ją na dół do siebie i kazała jéj odpocząć. Gdy się uspokoiła, wezwano ją napowrót na górę, aby odpowiadała na wyciągnięte pytania.

Mówiła z wysiłkiem. Zdawało jéj się, że w mózgu miała próżnię, jak gdyby zeń wywiano wszystkie myśli.

Chwilami jakieś niedorzeczne słowo cisnęło jéj się na usta: musiała walczyć sama z sobą, aby go nie wypowiedziéć...

Zdała zaledwie na czwórkę.

Wróciła do domu rozgorączkowana. W uszach jéj huczało. Mózg coś rozpychało. Czuła w nim jakby obracający się świder.

Rodzice robili przygotowania do popisu. Po skończonym akcie obiecywali jéj mnóstwo przyjemności.

Jéj to nie cieszyło. Była zmęczona. Chciałaby zasnąć na rok

cały bez przebudzenia, a nie mogła spać, gdy się położyła, choć było cicho dokoła niéj.

Czasami, choć oczy miała otwarte, leżąc, i nawet nie drzémała,— szereg widziadeł obsiadał jéj wzrok.

Powykrzywiane twarze nauczycieli, kulawa noga przełożonéj, wysokie szpilkami najeżone mikado damy klasowéj,—wszystko to tłoczyło się na nią. Chciała wstać, aby odpędzić od siebie nieznośne obrazy.

Nie mogła. Była, jak w letargu, przykuta do łóżka, bezwładna. Szarpał ją tylko ból w kościach ostry, przeciągły, jak przed długą, ciężką chorobą.

W dzień popisu z rana już nie wstała zupełnie. Każdego, co wchodził do niéj, prosiła o wodę. Trawiło ją niczém nie ugaszone pragnienie. Zdawało jéj się, że grzbiet języka suchy, sztywny i ostry, jak ściągnięta zgrubiała skóra przyrósł do podniebienia. Głowa jéj pałała. Ręce drżały. Na twarzy miała wypieki. Bredziła nieprzytomnie o małych ludziach, co się gnieżdżą za ścianami, w suficie i pod kołdrą jéj, — o wysokich ludziach z drugiego świata, w długich, prostych sukniach, jak koszule; o tym panu brzydkim z potarganą brodą, co człowieka wyprowadza od małpy.

Siadała na łóżku nieprzytomna i wołała Ani lub matki, lub ojca, nie poznawała, gdy które z nich podeszło ku niéj.

Lekarze uznali tyfus w połączeniu z zapaleniem błon mózgowych.

Miesiąc trwało niebezpieczeństwo; drugi miesiąc — zupełna bezwładność choréj.

Gdy zaczęła cokolwiek przychodzić do siebie, — sadzano ją na łóżku, opierając o całe stosy poduszek i tak, jak dziecku, dawano kawałek gałganka lub papieru w rękę, by się bawiła i nie narzekała na nudy.

Po paru tygodniach wpadła w szalony, żarłoczny apetyt chorych, których przetrawiła gorączka.

Leżąc bezczynnie, długiemi godzinami rozmyślała nad tém tylko, co będzie jadła i piła za godzinę. Obliczała każdą minutę, zbliżającą ją do téj godziny. Tupała nogami o poręcz łóżka, rwała sobie włosy z głowy, gdy się spóźniono z przygotowaniami obiadu, śniadania, podwieczorku, albo kolacyi. Płakała, gdy jéj nie dawali tego, na co miała chęć.

Przez całe dwa miesiące zajmowała ją wyłącznie myśl o pokarmach, jakie spożywała.

Już organizm był nieźle odżywiony, już chora chodziła po pokoju

i za tydzień miała wyjść na ulicę,—gdy ojciec któregoś popołudnia zapytał jéj: „Czy nie chcesz, żebym ci co przeczytał?“

Pierwszy raz dopiéro od czasu choroby przyszło jéj na myśl, że książki istnieją na świecie. Z wysiłkiem starała się sobie przypomniéć, co w nich jest?

Zaczęła myśléć i myśléć; w końcu uczuła ból w głowie taki, jak przed chorobą. Położyła się na kanapie, płacząc.

W kilka tygodni późniéj wzięła sama książkę do ręki. Spróbowała czytać: litery skakały przed jéj oczami, jak męczące mroczki. Nic nie widziała, nic nie rozumiała.

W kilka dni potém chciała napisać list do Ani, która wyjechała na wieś, aby odpocząć po pielęgnowaniu przyjaciółki w chorobie.

Pióro drżało w jéj ręku. Nie wiedziała, od czego zacząć, na czém skończyć.

Z mozołem skreśliła kilka słów.

W nocy miała gorączkę. Przez kilka dni było jéj gorzéj: czuła ciągle ciężar w głowie, jakby ktoś do czaszki przywiązał jéj worek piasku, który ją ciągnął ku tyłowi.

— To przejdzie, to przejdzie — mówił ojciec, chcąc ją pocieszyć; ale sam pokryjomu wzdychał ciężko, zdejmował z oczu okulary i obcierał chustką wilgotne od łez powieki.

Rekonwalenscencya trwała długo. Już Celina była dosyć silna, wychodziła z rodzicami na spacer, do teatru, przyjmowała wizyty, oddawała je sama z matką, a czytać i pisać zawsze jeszcze nie mogła.

List do Ani dyktowała ojcu i to ją męczyło.

Rodzice, gdy jéj nie było w pokoju, mówili do siebie: „kiedy to się skończy? czy jéj to aby przejdzie?...“

Matka płakała.

Oboje pielęgnowali ją troskliwie.

W lecie obiecywali sobie pojechać z nią na hydropatyą.

Celina z początku nie narzekała na swój stan. Zdawało jéj się, że nie mogło być inaczéj, że po takiéj chorobie, jaką ona przeszła, polepszenie musi następować leniwie. Powtarzała sobie ciągle: „za rok będę zdrowa...“

I wyczekiwała tego roku spokojnie, pewna, że nakoniec przyjdzie.

Nie usiłowała czytać, nie rwała się do pracy umysłowéj.

Chwilami miała złudzenie, że drugi raz żyje na świecie: tak ją zajmowało to, na co dawniéj nie zważała.

Karmiła wróble, gromadzące się przed jéj oknem; śledziła całemi godzinami pająka, snującego przędzę w kąciku jéj pokoju i nie dawała go spędzić służącéj. Oddychała pełną piersią rzeźwém po-

wietrzem jesieni i nieraz mówiła do rodziców: „dobrze żyć na świecie!...“

Z czasem jednak zaczęły jéj wracać porywy dawnych natchnień. Brała się wtedy do pracy: chciała pisać... W uszach szumiało trochę wyrazów; w myśli migały przelotne obrazy. — Usiłowała je pozlepiać: chwytała pióro do ręki, po kilku minutach rzucała je jednak...

Mózg nie mógł kombinować: czuła w nim straszny ciężar...

Mgła zasłaniała jéj oczy; coś rozpychało czaszkę z wewnątrz, jak gdyby w środek głowy włożoną miała sprężynę, która się rozkręcała i rosnąc, rozluźniając się, dotykała skroni, chcąc ją w bólu rozerwać...

Łzy napływały jéj do oczu: zrywała się, darła papier, zasłaniała oczy i płakała, łkając głośno...

Nieraz—po ciężkim śnie—budziła się rano z przykrém uczuciem niedopełnionego, a ciążącego na niéj zadania.

Miała talent, którego nie spożytkowała; miała chciwość wiedzy, któréj nie wyzyskała; każdy przechodzień uliczny mógł pokazywać ją palcami, jako pasorzyta społecznego, bo żyjąc na świecie lat siedmnaście, jeszcze nic takiego nie zrobiła, by się komuś mogła stać pożyteczną.

Nie tłómaczyła sobie, z czyjéj to winy; nie usprawiedliwiała siebie kosztem smutnych okoliczności: wpadała w głuchą, beznadziejną rozpacz...

Całemi godzinami siedziała wówczas milcząca, w jeden punkt wpatrzona, nie słysząc pytań, jakie jéj zadawano, nie widząc kręcących się dokoła niéj ludzi...

Po kilku dniach stan ten przechodził; budziła się znowu do życia i nie znając dawniéj nigdy drobnych, powszednich, gospodarskich zajęć, rwała się do nich, nie chcąc być bezczynną...

Sprzątała, szyła trochę, pomagała matce w krzątaniu się po kuchni z zapałem.

Po pewnym czasie jednak buntowała się znowu jéj ambicya.

Być niczém w obec tego, co przemarzyła od lat dziecinnych,—to okropne, straszne, nie do zniesienia!...

Opanowywał ją słaby odblask dawnéj gorączki wiedzy: otwierała szafę z książkami i zaczynała szperać między niemi.

Sama nie wiedziała, do czego się weźmie, ale musi coś robić; codzienne zajęcia koło domu nużą ją, męczą i nudzą niesłychanie. Musi się raz od nich uwolnić, musi się wydostać z zaklętego koła powszedniości, w którém żyć nie może.

Przychodziło jéj do głowy opracować jedną z filozoficznych le-

gend, które miała u siebie w biurku między szkolnemi książkami i kajetami.

Myśl ta ożywiała ją.

Brała pierwszy z brzegu rękopism i z ołówkiem w palcach zaczynała go czytać.

Po przetrawionych kilku pierwszych kartkach uczuwała zamęt w głowie, potém — już nie rozumiała wyrazów, które przebiegała oczami...

Z głośném łkaniem rzucała się na kanapę.

Niecierpiała życia w téj chwili. Co jéj po takiém ciągłém szamotaniu się z sobą? Może je przerwać każdéj chwili...

Podnosiła głowę. Łzy wysychały na jéj powiekach. Patrzyła przed siebie w jeden jakiś punkt, którego nie widziała...

Serce jéj zaczynało bić gwałtownie.

Przecież starganie życia tylko od niéj saméj zależy. Kto prócz własnéj jéj woli może jéj w tém przeszkodzić?

Wstawała i chodząc po pokoju myślała, jak się zabić?...

Widziała się na katafalku. Ludzie ją oglądali, mówili o niéj, pisali we wszystkich dziennikach o jéj samobójstwie...

Doznawała wzruszenia: zaczynała płakać sama nad sobą—to jéj przynosiło chwilową ulgę...

Mówiła sobie: „poczekam do jutra, może mi będzie lepiéj..."

Coby zrobili rodzice, gdyby ją tak nagle stracili?

Żal jéj dwojga staruszków; ma obowiązki względem nich. Musi żyć dla nich, choć żyjąc tak strasznie się męczy...

Powtarzała sobie, że poczeka do jutra i jeżeli jutro nie będzie lepiéj, to przedsięweźmie coś stanowczego... Zdarzało się, że po tym podobnych walkach szła nieraz z rodzicami wieczorem do teatru na jakąś komedyą, zaopatrzoną w mnóstwo komicznych epizodów.

Publiczność śmiała się do rozpuku. Po skończonych aktach wywoływano artystów bez miary i bito im huczne brawo.

Ogólna wesołość i jéj się udzielała; śmiała się również do łez, a śmiech ten, jak płacz przed kilkoma godzinami, przynosił jéj ulgę,— czuła lekkość i wstępującą w siebie nadzieję...

Po powrocie, położywszy się do łóżka, marzyła z otwartemi oczyma o przyszłéj swojéj literackiéj pracy, o tryumfach, jakie ją będą spotykały...

Zasypiała wśród marzeń tych mocno niespokojnym snem chorego, zmęczonego umysłu.

Nazajutrz wstawała z głową ciężką i z uczuciem obciskających się około skroni żelaznych obręczy.

Znowu patrzyła na wszystko, jak przez mgłę. Myśli przycichały.

Zaczynała się dla niéj bezczynność jednostajna, długa, w ciągu któréj doznawała chwilami nudy; ale już się nie buntowała, nie usiłowała porwać i zdeptać gnębiących ją pętów umysłowéj niewoli.

Spokojna, zrezygnowana, myślała sobie:

— I cóż mam począć? Los chce, żeby było tak, jak jest: nie może się stać inaczéj.

W głębi jéj umysłu powstawała silna, niezbita wiara w ślepe *fatum*. Jak muzułmanin osładzała sobie złą dolę tém *credo*.

Jeżeli los zechce, to ozdrowieje, i będzie mogła uczyć się daléj, pisać, zostać kiedyś sławną, a jak nie, to widocznie w tém życiu nie daném jéj jest dotrzéć szczytu wszystkich swoich marzeń.

Mimowoli myśli, błądzące po głowie leniwie, zbiegały się w niejasne wyobrażenie przyszłego życia, przez które ona, jak człowiek, przejść jeszcze musi, i w którém jéj będzie lepiéj niż teraz...

Przychodziły potém długie tygodnie, w ciągu których mózg jéj nie pracował zupełnie: nie myślała o niczém i nie tęskniła za myśleniem.

Wstawszy z rana, sprzątała swój pokoik, szyła trochę, trochę grała, podczas obiadu śmiała się z łysiny ojca, aby ją potém ucałować i upieścić. Po obiedzie wychodziła z matką na spacer albo za sprawunkami. Wieczorem oddawała wizyty z rodzicami, albo wraz z niemi bawiła gości w domu zupełnie swobodnie, bez wyrazu troski lub zamyślenia w twarzy.

Zdawało jéj się wówczas, że nie jest sobą, że za nią mówi i chodzi inna jakaś, całkiem do niéj niepodobna istota, istota bez czucia i mózgu...

Nie było wrażenia, któreby nią mogło wstrząsnąć wówczas do głębi. Kręciła się, jak automat o dużéj sile.

Otoczeniu swemu w tym stanie wydawała się najsilniejsza i najzdrowsza. Matka mówiła do ojca:

— Celince jakoś lepiéj. Może téż Bóg da...

— Może Bóg da...— odpowiadał ojciec.

Oboje wzdychali, nie domawiając celu tych westchnień. Każde z nich w duszy myślało sobie:

— Może jéj talent odżyje; może nas nadzieje nasze nie zawiodą...

Kiedyś, po kilkotygodniowém takiém zobojętnieniu, na nowo zadrżała żądzą twórczéj pracy.

Cały dzień krążyły po jéj mózgu obrazy i myśli, przyciemnione, jak coś, co się ma wykluć dopiéro z zarodka.

Przymykała oczy i pieściła je, jako zwiastunki czegoś dobrego.

Umysł jéj zaczął żyć: coś się w nim poruszało.

Wieczorem, wróciwszy ze spaceru, po herbacie, zamknęła się w swoim pokoju.

Postanowiła dziś spróbować pisać. Usiadła przy biurku. Drżącą ręką położyła przed sobą arkusz papieru i wzięła pióro w palce.

Skupiła całą uwagę, aby z chaosu krążących po głowie od rana myśli ułożyć jakiś wątek.

Przed kilkoma laty wypisała z jakiegoś dzieła historycznego opowiadanie o wielkim muzyku, który tak jak ona, przez długi czas nie mógł tworzyć.

Dziś, wspomnienie o nim opanowało umysł jéj od rana. Opisy cytrynowych, pomarańczowych gajów, wśród których przemarzył młodość swoję, szemrały jéj po głowie.

Zaczęła pisać. Po pierwszych kilku zdaniach jednak uczuła, że nie jest w stanie dotrzéć do jądra obrazów, tkwiących w zakątkach jéj własnego mózgowia: chwytała je powierzchownie. Niewyraźne, przyciemnione, zaledwie zlepiały się w słowa.

Rzuciła pióro i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

— Co warte takie życie?

Myśli jéj ogarnął jeden bunt szalony. Nerwy drgały. Skronie pulsowały, serce biło mocno i szybko: czuła tętno jego aż w krtani, którą coś ściskało i dławiło.

Rodzice spali już oddawna. Nikt nie mógł jéj usłyszéć. Płakała coraz bardziéj: głośne łkanie rozrywało jéj piersi.

Ściskała skronie rękami, i biegając po pokoju, szeptała sama do siebie ciągle, prędko, bez końca:

— Czy warto żyć? czy warto żyć?...

Naraz stanęła. Wstrzymała oddech; serce jakby bić przestało: nie słyszała już jego uderzeń. Łzy z oczu przestały spływać; uczuła nagłą jasność w głowie. Połysk nieoczekiwany, niespodziewany, przebiegł przez mózg i rozświetlił każdy jéj zmysł.

Oczy widziały wszystko wyraźnie, nie jak za mgłą: mogłaby czytać w téj chwili dwutomowe dzieło bez zmęczenia. Czuła tak dokładnie, że mogła była wskazać palcem kierunek fal powietrza, przenikającego przez szpary okien.

Zbliżyła się do jednego z nich i z pod zielonych, blaszkowatych liści, małéj, przysadzistéj roślinki poobrywała czerwone jagódki, osadzone na cienkich, króciutkich szypułkach.

Palce jéj trochę drżały, ale to tylko chwilowo. Zresztą, czuła zupełny spokój.

Zgasiła lampę i łykała jednę jagódkę po drugiéj, nie rozgryzając grubego purpurowego naskórka.

Znowu serce zaczęło bić: znowu ogarnął ją niepokój.

Połknęła wszystkie, a za godzinę, może za dwie—umrze...

Przed dwoma tygodniami Ania ze wsi przysłała jéj doniczkę z kwiatem, a któraś z pań znajomych powiedziała, że czerwone jagody zawierają mocną truciznę.

Może za chwilę będzie się wiła w strasznych męczarniach?

Położyła się na kanapie:

Zamknąwszy oczy, czuła taką ciszę wewnątrz siebie, jak gdyby była już w grobie,

Myślała trochę o rodzicach: będą na razie bardzo rozpaczali, ale się z czasem przecież może pocieszą.

Wezmą do siebie Anię, którą matka, mając więcéj dzieci, pewnie im odda: Ania zastąpi ją we wszystkiém, będzie ich bardzo kochała...

Płakała spokojnie. Łzy spływały po policzkach jéj do ust, to na brzegi szyi.

Lepiéj, że umrze: po co żyć na świecie? Nie ma w sobie już nic takiego, coby ją do bytu na ziemi zachęcało: jest strasznie zmęczona. W głuchéj grobowéj ciszy odpocznie.

Koniec, koniec, koniec...

Zdawało jéj się, że zapada w letarg. Niby jeszcze czuwa, śledzi bieg myśli, krążących po głowie, chwyta jakiś szelest, może spuszczanie się ulubionego pająka po ścianie, a nie może się poruszyć.

Leży nieruchoma jak kłoda drzewa...

Po pewnym czasie zaczęła oddychać równym miarowym oddechem człowieka śpiącego smacznie.

Po północy wstała bezwiednie, rozebrała się i przeszła na łóżko.

Nazajutrz już było późno, kiedy matka stanąwszy nad nią, obudziła ją wzrokiem.

Otworzyła oczy, nieprzytomna. Na razie nie wiedziała gdzie jest, co się z nią dzieje?

Powoli przypomniała sobie wszystko...

Co to znaczy? Miała nie żyć: czy może śmierć jest złudzeniem? Może człowiek umiéra tylko dla świata, dla otoczenia swego, dla tych, co go widzą na marach, co go chowają w ziemi? A sam dla siebie może żyje w dalszym ciągu takiém samém, jak poprzednie życiem?

Ale skąd otoczenie to samo, co i przedtém? Skąd warunki bytu do tamtych dawniejszych podobne?

Spojrzała badawczo w twarz matki: żaden rys jéj nie jest inny od tych, jakie wczoraj widziała. Rozejrzała się po pokoju. Wszystko tu tak samo, jak było.

Wstała powoli i podeszła do lustra.

Ona się też nie zmieniła: powieki jéj tylko trochę nabrzękły, ale to ze snu ciężkiego.

Ubierała się leniwie, pytając sama siebie ciągle:

— Co to jest? co to znaczy?...

W mózgu aż się coś przewracało od tego pytania, na które nie mogła znaleźć odpowiedzi. Głowa jéj ciężyła i oczy ją paliły.

Matka pomogła jéj w czesaniu, nagląc o pośpiech.

Za godzinę mieli iść wszyscy troje do teatru na przedostatnie południowe przedstawienie trupy francuskiéj, która odjeżdżała nazajutrz.

Ojciec wcześnie wrócił z biura: zjedli razem śniadanie i wyszli.

Ostre, chłodne powietrze owiało głowę Celiny.

Wydało jéj się naraz, że cały wczorajszy wieczór był snem tylko, że jéj nie spotkało nic złego i nic smutnego.

Wzięła ojca pod rękę, żartując i śmiejąc się, że go odbija matce.

Rozmawiała wesoło, zachwycała się słońcem, odbijającém jaskrawo od tła gładkich, wyszlifowanych płyt kamieni, po których stąpali.

Nie czuła bólu głowy. Ogarnął ją tylko dziwny niepokój. Pociągnęła ojca za sobą i przyśpieszyła kroku, chciała jaknajprędzéj usłyszéć artystkę, którą się świat cały zachwycał.

Teatr był pełen. Celina wraz z rodzicami przyszła już po podniesieniu zasłony.

Scena była zastawiona ogromnym stołem, przy którym ucztowali panowie i panie w strojach balowych.

Jedna z artystek, najszczuplejsza i najwyższa, w białéj sukni, z białemi kameliami na piersiach i we włosach, podniosła toast dźwięcznym, pełnym wibracyi głosem.

Ta sama artystka w następnym akcie po wybuchach zdenerwowania, gniewu i szalonéj wesołości, gdy nikogo nie było przy niéj, oparta o framugę okna, zapatrzyła się na gromadkę rozbawionych dzieci w mieszkaniu biednego wyrobnika naprzeciwko.

— Czemu ja nie mam dzieci?—mówiła.—Jaka to rozkosz gładzić małe, pachnące główki, całować oczęta, ciekawie na wszystko patrzące. Czemu jestem samotna, wydziedziczona, nieszczęśliwa?

Taki żal, taka rozpacz była w jéj słowach, że wszyscy płakali. Przyćmione światła kinkietów nawet zdawały się drżéć łzami roztęsknionéj, smutnéj kobiety.

Po pieszczotach jéj z kochankiem, po wielkiéj, świetnéj scenie balowéj, przyszedł nakoniec akt piąty, a w nim agonia choréj, zmęczonéj życiem suchotnicy.

Artystka cichym lecz wyraźnym głosem przeszła całą gamę uczuć rzewnéj tęsknoty za nieobecnym ukochanym.

Po wielkim jéj, w połowie przedartym okrzyku radości na widok Armanda, który w końcu przyjechał — po sztucznem, nerwowém podnieceniu chwili, po uściskach i pocałunkach z kochankiem, Małgorzata—skonała.

Celina nie słyszała słów jéj ostatnich, gdyż były wyszeptane zaledwie gorączkowo, prędko, prawie do ucha Armanda, lecz widziała ją, jak wyrwawszy się z objęć ukochanego, postąpiła szybko naprzód sceny, wydłużyła się, jakby urosła w oczach publiki, a potém wyprężyła się nagle, zesztywniała i padła na ziemię z trupią bladością na twarzy, z bezmyślnym, szklistym wyrazem pół przymkniętych oczu...

Część publiczności zaczęła wychodzić; reszta — wywoływała artystkę, bijąc głośne brawo, tupiąc nogami, laskami i parasolami uderzając o podłogę galeryi i paradyzu.

Celina od chwili pierwszego ukazania się przed spuszczoną zasłoną zmartwychwstałéj artystki nie odrywała wzroku od sceny.

Patrzyła nieruchomie w jeden punkt: w oczach jéj widniało zdumienie i osłupienie.

Rodzice kilka razy już wołali na nią:

— Celinko, wstań, musimy wracać do domu!

Zdawała się albo wcale słów ich nie słyszéć, albo téż wstrząsała tylko głową przecząco, patrząc w dalszym ciągu na scenę uporczywie, natrętnie, jak gdyby wzrokiem chciała przebić draperyą spuszczonéj zasłony.

Gdy wychodziła oklaskiwana artystka, źrenice Celiny rozszerzały się, przebiegał je nagły błysk; wychylała głowę za oparcie loży, biła rękami i poruszała ustami, jak gdyby mówiła:

— Ty i ja umarłyśmy, a żyjemy...

Artystkę wyprowadzano bez końca. Kłaniała się publice; podnosiła oczy w górę i powłóczystem spojrzeniem dziękowała za uznanie i zachwyt, jaki sobą wzbudziła.

W bocznéj loży drugiego piętra dwoje staruszków wołało ciągle:

— Celinko, chodźmy już: spóźnimy się na obiad!

Zaczęto gasić światła; publiczność z galeryi i z paradyzu schodziła tłumnie; pozostawał tylko jeszcze tu i owdzie ktoś szukający jakiejś zguby; zawieruszonéj gdzieś w kącie mufki, czapki lub parasola, gdy Celina poruszyła się i wstała z krzesła.

Matka włożyła jéj czapeczkę na głowę; ojciec ubrał ją w futerko: poddawała się machinalnie temu, co z nią robiono.

Wyszli na ulicę.

Ciemno było zupełnie. Śnieg gęstemi płatami zasypywał ulicę.

Co się zrobiło ze słońcem? Co się stało z czystemi, gładkiemi, błyszczącemi płytami, po których szli w tamtą stronę?

W oczach Celiny drgały światła teatralnych kinkietów i żyrandoli, poruszała się téż cała fala pstrych głów, na które patrzyła z loży.

Na ulicy otoczył ją zmrok zupełny. Gdzieniegdzie dopiéro zaczęto zapalać latarnie.

Ojciec otworzył parasol i wziął ją z jednéj strony pod rękę; matka zaś—z drugiéj.

Nagle w uszach Celiny zabrzmiały słowa:

„A prowadzą mnie pod rękę, idę tak wygodnie.
Same prawie się podnoszą zatrętwiałe nogi.
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą — nie znam żadnéj drogi.“

Śpiewny, dźwięczny, jak muzyka głos Małgorzaty powtarzał zwrotkę bez końca. Wyrazy opanowały mózg: nie mogły oderwać się od niego; gniotły go pod czaszką: zdawało się, że głowa od nich pęknie...

Wróciwszy do domu, Celina nie chciała jeść obiadu. Zamknęła się w swoim pokoju. Wieczorem, gdy rodzice do niéj weszli, zastali ją leżącą na kanapie z rękami złożonemi na piersiach. Mówiła szeptem wiersz Ujejskiego:

Na atłasie piękna, cicha,
Ręce trzyma w krzyż...

Zobaczywszy matkę i ojca, kiwnęła ręką, żeby się zbliżyli: spojrzała na nich dużemi oczyma z pod szeroko rozwartych powiek i rzekła:

— Ja już nie żyję od wczoraj. Umarłam, tylko mogę chodzić tak, jak Małgorzata na scenie po śmierci.

I późniéj, nie patrząc na nich, powtarzała bez końca.

— Ja już nie żyję od wczoraj; umarłam, tylko mnie jeszcze nie pochowali.

Albo znowu deklamowała:

— „Na atłasie piękna, cicha...“

Gdy znów spojrzała na rodziców, zdawało jéj się, że płaczą, że powieki mają czerwone i nabrzękłe.

Ojciec, podnosząc ją z łóżka, dotknął czołem jéj policzków.

Uczuła wtedy coś chłodnego na twarzy, jak gdyby krople zimnego potu spadły na nią ze skroni ojca; ale wszystko było pewnie tylko złudzeniem, jak to, że niby żyje, a przecież-umarła od wczoraj...

Rozpoczął się cichy, spokojny obłęd, dla choréj niebolesny, ale męczący, ciężki, beznadziejny dla tych, co ją otaczali...

Cecylia Walewska.



Z BELETRYSTYKI ZACHODU.

II.

(Dwa zbiory poezyi angielskich: *Asolando*, Roberta Browninga i *Demeter a. other poems* Alfreda lorda Tennysona. Charakterystyka ich poetycznéj twórczości).

W dniu 13 grudnia zdarzył się w rocznikach piśmiennictwa angielskiego niezwykły wypadek. Dwóch wydawców londyńskich, Smith, Elder & C. i Macmillan wypuścili w świat dwa nowe zbiory poezyi, obydwa wyszłe z pod pióra sędziwych wieszczów, *dii majores* narodowego parnasu, Roberta Browninga i lorda Tennysona. Jeden z nich liczył 78, drugi 80 lat życia i obaj stawali przed publicznością ze świeżymi, nieznanymi dotąd utworami poetycznymi. Miłośnicy poezyi zawczasu składali ręce do oklasku i zapowiadali sobie duchową biesiadę, wysławiając płodność niwy, co nie przestaje rodzić kwiatów, naigrawając się z mroźnych zimy podmuchów, gdy naraz żałobna wieść się rozeszła. W przededniu pojawienia się z druku ostatnich jego poematów umarł w Wenecyi Robert Browning. Było tragiczne przeciwieństwo w tych narodzinach duchowych i téj cielesnéj śmierci. Tę ostatnią uznała Anglia za klęskę narodową, za zaćmienie jéj gwiazdy cywilizacyjnéj. Nietylko że pod wpływem tego zgonu Browninga zbiór poezyi jego przyjaciela i współzawodnika, Tennysona, zeszedł chwilowo na drugi plan, a krytyka i publiczność zespoliła się przed przemawiającym z po za grobu *Asolando*, ale obok niego postawiono jednocześnie dawniejsze utwory głębokiego wieszcza, wywołano urocze wizye wszystkich wytworzonych przezeń postaci, zliczono klejnoty jego skarbca poetycznego. Jakichkolwiek przeciwników liczył poeta za życia, zamilkli oni teraz i byliśmy świadkami apoteozy bez żadnéj sprzecznéj nuty, a zakończonéj pogrzebem w Westminsterskiéj katedrze, w *„poets corner:“* najwyższy to hołd jaki Anglia składa narodowym wielkościom.

Zdaje się nam właściwém uczynić w téj okoliczności tak, jak to uczyniła krytyka angielska i nie oddzielać ostatniego, pogrobowego głosu poety od strof jego dawniejszych. Jest to niezbędném, gdy się chce zestawić w kilku syntetycznych rysach fizyognomią literacką, co obejmowała swą działalnością całe pół wieku, a szczególniéj gdy się zwraca do czytelników, mających o niéj tylko mgliste i pobieżne informacye.

Robert Browning był mało znany po za obrębem anglo-saksońskiego świata. Ostatnim poetą angielskim, co się zespolił z duchową atmosferą cywilizacyjnéj publiczności, był lord Byron. Namiętności, jakiemi płonął i zapał, z jakim je wypowiadał, znalazły łatwo drogę do sympatyi powszechnéj. Ale ani Shelley, ani Landor, ani Colridge, ani Keats, ani Wordsworth, ani Rosetti, — to jest szereg poetów pierwszorzędnych, co odźwierciedlili kolejno rozmaite fazy ducha angielskiego, — nie zlali się, nie zjednoczyli z rozwojem umysłowym Europy i pozostali wyłącznie narodowemi, swojskiemi wielkościami. Nie można się dziwić, że ten sam los był spotkał Browninga, tém bardziéj, że nawet w swéj ojczyźnie, wśród swoich, nie był on przez długie lata dostatecznie znany i ceniony. Pierwsze jego poezye „Paulina“ i „Paracelsus“ datują się z 1836 roku, a chociaż pisał i wydawał prawie corocznie nowe zbiory liryków, pisał dramata i tragedye, publiczność szeroka mało go czytywała. Stopniowo i powoli dobijał się wziętości i sławy wśród wykształconych warstw społeczeństwa; u masy popularnym nie był i być nie mógł. Nie rozumiała ona tego wieszcza głębokiego, poważnego, pełnego wiedzy, najeżonego dziwaczną erudycyą, traktującego przedmioty i wybierającego jakby umyślnie epizody dalekie od swojskiego ogniska i całkiem mu obce, piszącego w sposób abstrakcyjny, trudny do zrozumienia dla niewtajemniczonych i językiem nieraz szorstkim, gardzącym ułudą formy i melodyjnością dźwięków. Ale społeczeństwo angielskie jest bezwątpienia jedyném jeszcze, gdzie się cześć i miłość dla poezyi przechowała, gdzie się nie ograniczają krytycy urzędowi do wzmianek i panegiryków o niéj wśród publiczności stanowczo dla niéj obojętnéj. W Anglii poezya jest czytaną i odczytywaną, stanowi składową część umysłowego kapitału narodu, i nie ma poety, któryby nie miał swych wyznawców, czcicieli swojéj parafii i swojéj kapliczki. I Browning z biegiem czasu wyrobił sobie swoich i to nawet fanatycznych wielbicieli, którzy utorowali mu drogę do sympatyi ogólnéj. Zdarzyło się zapewne słyszeć czytelnikom o licznych i siecią swą pokrywających anglo-saksońskie kraje *Browning societies*. Pierwsze z tych towarzystw literackich utworzone zostało w 1881 r. przez p. F. J. Furnivall'a, długoletniego sekretarza Towarzystwa filo-

logicznego, założyciela kilku innych, jak np.: Chaucer'a, Ballad, nowo-szekspirowskiego Towarzystwa, etc. Celem jego było wspólne odczytywanie, studyowanie, komentowanie utworów poetów, wynajdywanie w nich przewodniéj myśli, moralnéj i psychicznéj doktryny. Rzecz się mogła w pierwszéj chwili wydawać dziwaczną, gdy się brało na uwagę, że poeta był żyjącą, nie zaś dawno zmarłą osobistością; ale widocznie instytucya odpowiadała wewnętrznym potrzebom, skoro w krótkim przeciągu czasu powstały Towarzystwa Browninga w miastach uniwersyteckich i wszystkich większych ogniskach umysłowych. Dzięki agitacyi w ten sposób prowadzonéj, społeczeństwo angielskie coraz bardziéj zbliżało się do poety, wnikało w jego ducha i oddawało mu hołd spóźniony, ale serdeczny, tém serdeczniejszy, że był w nim wyrzut sumienia za popełnioną niesprawiedliwość, za brak uznania dla jednego z najoryginalniejszych geniuszy.

Była także w saméj osobistości Browninga okoliczność, która go czyniła interesującym, drogim dla każdego miłośnika poezyi. Był on mężem Elżbiety Barrett Browning, najznakomitszéj poetki angielskiéj, nieśmiertelnéj autorki „Sonetów Portugalskich“ i wielce sławionego poetycznego romansu „Aurora Leigh.“ Pełne melodyi, światła, woni, opromienione urokiem czystego natchnienia, poezye pani Browning używają w najszerszych kołach społeczeństwa niezatartéj popularności; wszystkie kobiety-literatki w Anglii, — a wiadomo, że jest to armia nieprzejrzana, — są jéj bezwarunkowemi czcicielkami. Pomiędzy Robertem a Elżbietą Browning panowała w czasie ich kilkunastoletniego pożycia małżeńskiego niczém niezakłócona harmonia, i z florenckiéj ich rezydencyi sypały się kaskady najczystszych ich pereł; po jéj śmierci poeta otaczał jéj pamięć czcią nieledwie religijną. Poświęcając jéj cieniom najznakomitszy swój zbiór rapsodów epicznych *The Ring and the Book*, poprzedził takowy dedykacyą *Lyric love*, będącą istotnie natchnionym, uroczym kwiatem poezyi, który sam jeden wystarczyłby do unieśmiertelnienia wieszcza. Nic dziwnego, że rodzaj aureoli opromieniał skroń Browninga, że był dla publiczności nietylko przedstawicielem swéj własnéj twórczości; ale dziedzicem owéj pokrewnej sobie a przedwcześnie strzaskanéj liry. Nawet jego tajemniczość, głębie psychicznéj analizy, w któréj się zanurzał i — gubił, przyczyniały się do zrobienia zeń istotnego *vates sacer*. W rzeczywistości nie był on bynajmniéj podobny do tego druidycznego typu, w jakim go skrystalizowała legenda. Piszący miał zaszczyt być przedstawionym poecie przed kilku laty w jednym z salonów londyńskich. Przybywający z Włoch, gdzie prawie stale przemieszkiwał u syna, malarza i snycerza, na „*season*“ do Londynu, Robert Browning był rozrywany przez

najwykwintniejsze koła towarzyskie. Czerstwy ten, okrągły staruszek, pełen salonowéj układności, rozmawiający barwnie o muzyce i malarstwie, nie tykając nigdy swéj osobistéj twórczości, był światowcem i pod tą maską ukrywał swoję prawdziwą wartość umysłową i moralną.

Nie podobna o całości jego twórczości poetyckiéj, ciągnącéj się przez lat pięćdziesiąt i wyrażonéj w siedmnastu grubych tomach, wydać sąd treściwie a doraźnie. Trzebaby tu nietylko wyróżniać światła od cieniów, ale obracać się w nader delikatnych, nikłych półcieniach. Bezwątpienia, wśród tego obfitego żniwa potomność uczyni wybór i odłoży na stronę tylko ciężkie snopy. Rączy prąd jego poezyi był mętnym dlatego już choćby, że był rączy i toczył pospolite kamyki wraz z innymi o szczerozłotych żyłach. Bądź co bądź, wyrok o nim będzie dodatni, a usterki, niezaprzeczone, ogromne, nie będą w stanie zaćmić pierwszorzędnych jego zalet. Przy najwyższéj rozmaitości poruszanych przedmiotów i kalejdoskopowéj zmienności form, posiada on zawsze w gruncie, na dnie ducha, jednę i tę samę etyczną podstawę—spirytualistyczny pogląd na życie, optymistyczną wiarę w jego wysokie posłannictwo i cele. Ciepły, gorący prąd sympatyi wiedzie go do cierpiących i upośledzonych, ale ponieważ nigdy nie traci z oka wyższych, ostatecznych celów, nie nadaje nigdy przesadzonéj doniosłości cierpieniom indywidualnym i bankructwom wielkich przedsiewzięć. Przeciwnie, służyć one mają do dzieła postępu i zbawienia, tak samo jak te, które zostały uwieńczone natychmiastowém powodzeniem, a często daleko więcéj jeszcze. Pod tym względem pozwolimy sobie zwrócić uwagę specyalnych miłośników poezyi angielskiéj i myślicieli na jeden z mniéj znanych, a zdaniem naszém, wysoce ciekawy zbiór jego poezyi p. t.: *Parlaying wilt certain people of importance in their day*. Autor prowadzi tam rozmowy z rozmaitemi osobistościami, co się rzucały na wielkie przedsięwzięcia historyczne lub naukowe i których życie strzaskało nieubłaganie, jako działaczy przedwczesnych, niezrozumianych przez swych współczesnych. Jest to wprawdzie przyczynek do martyrologii ludzkości, ale gdy się w jéj ducha wniknie, nie goryczą i zniechęceniem, ale nadzieją napawa serce.

Opromieniony tą skrzydlatą wiarą w posłannictwo ludzkości, Robert Browning zeszedł do głębin natury duchowéj i lubował się w analizach psychicznych. Podług słów jego własnych żadne inne zadanie nie jest warte tego jednego: śledzić za rozwojem duszy. Żadne też, najdelikatniejsze, migotliwe przebłyski uczuć nie uszły jego mikroskopijnych dociekań,—często czytelnik gubi się w tych subtelnościach kazuistyki oderwanéj. Posunąwszy tę stronę analizy psychicznéj do

ostatecznych możliwych granic, wykluczał z nich *ipso facto* — akcyą, czyny. W lirykach i w epicznych rapsodach mogło to być rzeczą podrzędną, ale nie w dramatach i tragedyach. A w nich to się właśnie lubował poeta. Obdarzony nadzwyczajną bystrością, z łatwością i odrazu wynajdywał sytuacye dramatyczne bądź na tle historycznem, bądź wśród wytworów swéj fantazyi. Lecz gdy przychodziło wysnuć z téj sytuacyi następstwa, pokazać jak się z duchowych zarodków wyłaniały czyny i jak owe czyny jedne na grzbiecie drugich, niby fale oceanu, wznosząc się i dobijając do brzegu, są manifestacyą życia, — tego Browning nie był w stanie dokonać. Ani „Strafford,“ ani „Sordello,“ ani „Plama na tarczy,“ ani „Król Wiktor i król Karol,“ ani żaden inny z jego utworów dramatycznych, nie wyjmując nawet tego klejnotu poetycznego „*Pippa Passes*,“ nie są w stanie wytrzymać krytyki jako utwory dramatyczne. Te, które były wystawione na scenie, utrzymać się na niéj nie mogły. Panegiryści, co go dawniéj a szczególniéj w pośmiertnych wspomnieniach postawili nietylko obok Shakespeare'a, ale nawet wyżéj od niego, widocznie nieodpowiedni dlań cokół wybrali. W téj lub owéj dyagnozie charakterów działających może on przewyższać dokładnością, precyzyą i głębią genialne szkice Shakespeare'a, ale są to epizody tylko, lecz nie całość drgająca życiem wewnętrznem i zewnętrznem.

Jeżeli niepodobna uważać Browninga za dramatyka, to nie można wszelako odmówić mu wysoce dramatycznego nastroju. Mimowolnie, nawet w rapsodach epicznych, nawet w lirycznych poezyach, uderza go przeciwieństwo duchowych pierwiastków i w ich starciu znajduje osnowę do pieśni. Często forma dyalogu jest najodpowiedniejszą do oddania toku myśli. Choć ukrytą, czuć wszędzie tę dramatyczną potęgę. Nigdzie nie uderza ona wydatniéj, jak w zbiorze poezyi „*Men und Women;*“ są tam utwory, jak: „Doktór Arabski,“ albo „*Fra Lippo Lippi*,“ które uważać można śmiało jako arcydzieła nieposzlakowane. Ale na wyższy jeszcze stopień dramatycznego ześrodkowania się, skoncentrowania, wzniósł się poeta w swoich „*Dramatis personae.*“ Oddawna bezstronna krytyka postawiła te poezye na wyżynie, gdzie się tylko geniusze przedostać mogą. Kto czytał „*Prospice*“ albo „*Rabbi Ben Ezra*,“ ten bezwątpienia nie będzie w stanie zagładzić ich w pamięci. Zbiór ten datuje się z 1864 r. i wraz z następnym, o parę lat późniejszym, „*The Ring a. the Book*“ może być uważany jako najdoskonalszy utwór poety, owoc jego pełnéj dojrzałości. Są i tutaj zapewne ustępy ciemne, które czytać i odczytywać należy, zanim się do ich jądra przeniknie; ale nie ma tego nadużycia abstrakcyjności, w które tak często popadał. Browning w następstwie zapominać się zdawał, że poezya

jest kwiatem, który czarować i zachwycać powinien, że działa na uczuciową stronę natury naszéj, że chwytać i porywać winna imaginacyą w zaświaty, lecz widział w niéj surową mistrzynię prawd metafizycznych. Pracą się stawało i mozolną czytanie wielu jego poezyi, a rozumowanie, nawet najściślejsze, najgruntowniejsze napotykało w utworach fantazyi i w formie wierszowanéj trudności prawdziwie niezwalczone, subtelność posunięta do ostatnich kresów stawała się torturą umysłową. Napróżno ostrzegano poetę o niebezpieczeństwie téj metody, coraz się głębiéj w nią zapuszczał, podtrzymywany w niéj przez fanatyków, którzy zazwyczaj w mistrzach wysławiają usterki i słabe strony, manierę i jednostronność.

Głębokość analizy psychicznéj i rozległość jego wiedzy, jego erudycyi: oto rysy charakterystyczne, które uderzają każdego wykształconego człowieka. Zamieszkując przez wiele lat we Włoszech, pokochawszy je jak drugą swą ojczyznę, Browning poznajomił się z ich historyą polityczną i municypalną w najdrobniejszych szczegółach. Co chwila pod piórem jego pojawiają się nazwiska osobistości nieznanych albo znanych zaledwie specyalistom, co jak on długo po starych szperali kronikach. Ale nietylko do Włoch erudycya ta się ogranicza. Z wyjątkiem cywilizacyi pierwotnych nie było żadnéj, któraby się nie stała dlań przedmiotem usilnych studyów. Nikt lepiéj nie wniknął w ducha Aten z czasów Sokratesa i Eurypidesa, nikt nie przedstawił plastyczniéj walki starego poganizmu z chrześciańwstwem, nikt nie zżył się bliżéj ze światem feudalnym. A epoka Odrodzenia! Dla niego, co był artystą na wskroś i do szpiku kości, ten świetny rozkwit sztuki plastycznéj i wskrzeszenie tradycyi klasycznych Hellady, epoka ta posiadała niezwalczony urok. Powracał do niéj raz po raz i skrystalizował ją w swych rapsodach epicznych. Wizya poetycka była u niego tak jasną i tak magiczne światło rzucała na rozmaite typy i postacie żyjące w jego poezyach, że nabierały one dla czytelnika kształtów posągowych. Addington Symonds, jeden z najznakomitszych krytyków, powiada dosłownie: „Nie można znaleźć u Shaekespeare'a takiéj rozmaitości odrębnych charakterów, obdarzonych życiem wewnętrznem, i nawet u Shaekespeare'a nie ma takiéj nowości i różnorodności warstw społecznych. Nie ma epoki w dziejach nowoczesnych, któréjby Robert Browning nie dotknął, a zawsze z tą sympatyą doraźną i głęboką, płynącą z ich znajomości dokładnéj. Królowie i żebracy, święci i zakochani, żołnierze, poeci, malarze, muzycy, księża, papieże, żydzi, cyganie, derwisze, wszetecznice, księżniczki, tancerki, czyste małżonki, kumoszki, mężowie stanu, rycerze, apostołowie ludzkości, tyrani, filozofowie, heretycy, rabini, mędrcowie, złoczyńcy, ludzie wysokiego

i najniższego świata—wszyscy się roją w jego poezyach i są tacy jakby wyszli z pracowni natury saméj". Urywamy tu cytatę. W dalszym jéj ciągu krytyk wykazuje jak poeta, bez żadnego z góry oznaczonego planu skreślenia wszechhistorycznéj legendy, celu tego dopina dla tego poprostu, że przyswaja sobie typy instynktowo, że jako artysta szuka w nich świateł i cieniów, że jako mędrzec stawia każdy fragment dziejowy we właściwych dlań ramach. Nie można ani trafniéj, ani wyraźniéj scharakteryzować wielkiego tego poety.

Znakomici wieszczowie są wielostronni i napięte struny ich harf srebrnych drżą za lada podmuchem, którego natury pospolite nie domyślają się nawet. I Browning ma téż w sobie inną stronę, któréj dotąd nie tknęliśmy jeszcze. Nietylko jest uczonym erudytem, magikiem w rogatym birecie i profesorskiéj todze, ale jest także, jednocześnie lekkim, śpiewnym, świeżym, natchnionym lirykiem, składającym jak nikt inny miłosne rymy, rzucającym pęki róż i słonecznych promieni pod stopy swéj ukochanéj. Jeżeli najwyższém, jedyném zadaniem pocty jest, jak powiedziano, być mistrzem miłości, to pojął on w całéj pełni to zadanie i sprostał mu, jak nie wielu. Samo przez się rozumié się, że nie erotyzm i nie lubieżna zmysłowość stanowią nuty przeważne w jego miłosnych strofach, a że przeciwnie podnosi on, oczyszcza, uduchownia pierwiastki ziemskie, choć ich bynajmniéj nie wyklucza w ascetycznéj jednostronności. Jest porywający zapał, jest promieniejąca namiętność w jego lirykach, którym się oprzéć nie można; łatwo zrozumiéć, że go kobiety czciły bezgranicznie. Ten co dla nich zbudował tron podniebny i umieścił go „w księżycowych, nikłych tęczach", ten co przeniknąwszy do głębiny ich dusz, znalazł tam skarbiec nieprzebrany klejnotów, był godzien śpiewać dla nich i o nich. A że się umiał dostroić do tego dyapazonu, pokazuje mnóstwo jego liryków. Nie wyziębiły lata tego uwielbienia dla kobiét. Aż do ostatnich jego utworów, aż do poezyi zawartych w *Asolando*, pośmiertnym głosie, nuty te dźwięczyć nie przestają, a przez całe pasmo jego twórczości snuje się ta nić złocista. Uczyniliśmy już wzmiankę o *Lyric love* zwróconéj do jego natchnionéj towarzyszki życia; ale ileż innych symfonii miłosnych możnaby przytoczyć! Jaką tęsknotą, jaką melancholią zaprawne są strofy *The Last Ride Together* albo *Love's Inmortalities!* Kto potrafi oprzéć się wiośnianemu czarowi, co wieje z duetu miłosnego *In a gondola*, albo pokrewnemu natchnieniem *On a balcony*. A owa fantazya dramatyczna: *Pippa passes*, azaliż nie jest jednym hymnem na cześć miłości? Idea przewodnia sama przez się jest apoteozą kobiecości: dziewcze niewinne, Pippa, jest mimowolnym świadkiem ponurych wypadków, i sama jéj obecność, wrażenie, jakie sprawia, wy-

starcza do zażegnania burzy i sprowadzenia pokoju w pośród zwaśnionych...

Moglibyśmy iść daléj w wyliczaniu utworów poety, ale sądzimy, że czytelnik będzie w stanie zdać sobie sprawę z osobistości, którą straciło piśmiennictwo angielskie. Jeżeli w reakcyi przeciw bajronizmowi, reakcyi nieubłaganie surowéj, i powiemy, nawet przesadzonéj, krytyka i publiczność wyrzucała mu brak filozoficznéj głębi; niedostatek wewnętrznéj prawdy, przesadzoną patetyczność, powierzchowną tylko znajomość ludzi, melodramatyczność i dzieciństwo opiewanych przedmiotów, oraz bogactwo formy pokrywające ubóstwo treści, to jest widoczném, że Browning właśnie stanowi przeciwieństwo calkowite, zupełne przeciwko poezyi swoich poprzedników. Nie da się nawet zaprzeczyć, że poszedł w kierunku odwrotnym, aż do ostatnich kresów, aż do punktu, gdzie zaleta staje się, przez nadużycie, wadą. Filozoficzne zagłębianie się w naturę duchową jednostek, poszukiwanie źródeł i sprężyn działalności ludzkiéj przerodziło się u niego w manią i pokryło utwory jego mgłą czasami nieprzejrzaną. Forma jego wiersza pełna oryginalności, nowych rytmów, niespodziewanych zwrotów, była nieraz jakby umyślnie szorstka, pozbawiona wdzięku: chciał do rozumu przemówić a nie do smaku estetycznego. Szczególniéj w początkowych utworach swoich odstraszał on poprostu czytelników. Gdy napisał dramat *Paracelsus*, rodzaj „Fausta“ Goethego, w którym poeta przedstawił mędrca średniowiecznego, szukającego szczęścia naprzód w wiedzy, późniéj w miłości i uznającego się za niezdolnego do rozwiązania zagadki życia, gdy napisał ten poemat dramatyczny, gdy go przerobił w kilka lat późniéj i dopełnił, a mimo tego nie znalazł powodzenia, wtedy mogło go ogarnąć zniechęcenie. Ale poeta nie zwątpił o swojéj misyi i na wstępie do następnego poematu *Sordello* wzywa do słuchania swéj opowieści już nie ludzi, co słuchać nie chcieli, ale wielkie, tajemnicze duchy, błąkające się na pozagrobowych, polach elizejskich. Jeżeli kiedy, to właśnie czytając ten utwór, przydałoby się nadprzyrodzone światło: ten epizod z walki Gibelinów z Gwelfami, wprowadzający w chaos średniowiecznych zatargów nieprzebrane mnóstwo osobistości drugorzędnych, nieznanych, oślepia i ogłusza poprostu. Lecz stopniowo oswoili się, przywykli czytelnicy do sposobu, w jaki Browning traktował postaci historyczne, i nie potrzebował pisać dla pogrobowych duchów: żyjący stali się jego zwolennikami i żaden z utworów w drugiéj połowie jego zawodu nie przeszedł bez wywołania głębokiego, trwałego wrażenia. Postać poety nabrała z latami, posągowych kształtów i zdawało się naturalném

oczekiwać od niego coraz nowych utworów. *Asolando* stało się jednakże jego testamentem poetycznym.

Jaka jest treść i jaka wartość tego zbioru? Co znaczy sam tytuł jego? Nieraz wyrzucano Robertowi dziwaczność jego tytułów, a między innymi *Bells and Pomegrenates.* Dzwony i kwiaty granatu, w któréj to nazwie chciał on usymbolizować muzykę i myśli abstrakcyjne. *Asolando* jest także w pierwszéj chwili do zrozumienia trudna nazwa. Czytelnicy dawniejszych jego utworów przypomną sobie jednak, że już niektóre z jego poematów i dramatów odgrywały się w Asolo, miasteczku nadmorskiem położoném niedaleko od Bassano w prowincyi Wenecyi, i że „*asolando*“ znaczyć może po prostu tutaj zbiór poezyi, co się wykluły na uroczych wybrzeżach ukochanego przezeń Adryatyku, albo téż jak nas naucza świéży komentarz, neologizm ten „*asolare*“ ukuty przez kardynała Bembo, znaczy rozkoszne wyciągnięcie się w słońcu, lazarońskie jego używanie. Ale mniejsza o zbiorowy ten tytuł, obejmujący, jak sam autor powiada, fantazye i fakta. Ci coby zabrali znajomość z poetą z tego dopiéro zbioru, skarżyćby się nie mieli prawa. Mieści on w sobie wzory i typy wszystkich jego form poetyckich dawniejszych, a mistrzowstwo wykonania i świeżość natchnienia nie pozwalają podejrzywać nawet najmniejszego osłabnięcia jego twórczéj potęgi. Są tu widocznie poezye odłożone przez śpiewaka na stronę oddawna, z któremi rozstawać mu się było ciężko, pieszczochy duchowe. Nie wiedziéć doprawdy, który kwiat wybrać z téj błyszczącéj wiązanki. Jest jeden, który prawdopodobnie wkrótce stanie się popularnym. Poeta dał mu tytuł: „*Humility*“ — pokora. Dziéwczę niesie snop kwiatów dla swego ukochanego i po drodze upuszcza niedbale pączek jeden; podnosi go przechodzień i w tym odblasku miłosnéj dani, mimowolnie sobie przywłaszczonym, znajduje rozkosz i skarb. Równie pięknych liryków jest tu kilka a między innymi *Dziewcze-perła* i *Summum Bonum.* Niektóre z nich, jak *Which?* (który?) mają w sobie niejakie podobieństwo do Heinego. Trzy damy, księżna, markiza i hrabina, opisują ideał swéj miłości. Opat, który je sądzi poważnie, wydaje wyrok, że najwyższą jest miłość wyłącznie tylko do jednéj zwrócona istoty. Nie do takiego wniosku dochodził wprawdzie śpiewak *Romanzero* w swych ironicznych strofach: *Sie sassen u. tranken am Theetisch, Und sprachen von Liebe sehr viel,* etc., ale bo przy tożsamości ram, wiał w nich duch całkiem odmienny!

Nie same jednak liryki tom ten zawiéra. Są tam humorystyczne satyry jak *Ponte dell' Angelo,* skierowane przeciwko sądownikom, poemata opisowe, jak *Lady and the Painter* i *Beatrice Signorini,* rymowane anegdoty, jak ta, gdzie potężny papież, Syxtus V, je miskę fasoli pod

strzechą ubogiego domostwa. Najpoważniejszym utworem jest poemat p. t. „*Imperante Augusto natus est*“ i traktuje o deifikacyi Cajusa Oktawiusza Cezara przez Luciusza Variusa Rufa. Cezar, przez dziesięć lat triumwir, po trzynaście razy konsul, imperator, ojciec ojczyzny ogłoszony jest bogiem. Poeta opiéwa jego wielkość i widząc koronę, zapytuje kiedy przyjdzie krzyż, pokuta za tę wielkość — i pokazuje w oddali, w Judei, rodzącego się tego, co tę wielkość i ten majestat wszechświatowy skruszy inną, duchową potęgą. Jest prawdziwy wiersz epiczny w tym rapsodzie, przypominającym te, któremi się wsławiło *the Ring and the Book*, wyższy natchnieniem i moralnym nastrojem od *Legendy Wieków* Wiktora Hugo, a stanowiący niezaprzeczony tytuł Browninga do nieśmiertelności.

„*Asolando*“ poprzedzone jest prologiem, gdzie poeta czyni melancholiczną wzmiankę o swych podeszłych latach, a zakończone epilogiem o kilku silnych, pięknych strofach, gdzie siebie samego słusznie charakteryzuje jako tego: „który nigdy się nie cofał i szedł z piersią naprzód, który nigdy nie wątpił, że pękną chmury, który nigdy nie wierzył w tryumf niesprawiedliwości, nawet gdy prawo było pognębione, który silnie obstawał przy tém, że jeżeli upadamy, to dla tego, aby się podnieść, że jeżeliśmy pobici, to dla tego, aby się do walki zaprawiać, że śpiemy dla tego, aby się obudzić!“

Ten podniosły idealizm, który go ożywiał aż do ostatniego tchnienia, to dostojeństwo charakteru i myśli stanowić będą jego cechę osobistą w dziejach poezyi angielskiéj. Potrafił on zawsze niemi galwanizować czytelników. Nie umysł jego był mglisty, ale w formie, przez jaką swoje uczucia, wrażenia i poglądy wypowiadał, była pewna pośpieszność, umyślna krótkość, zupełne lekceważenie wycackanéj, upomadowanéj elegancyi. Być może, że sobie tą porywczością w rozumowaniu, i tém przypuszczeniem, że go wyższe umysły i dusze bratnie zrozumieją *quand même*, być może, że sobie szkodził czas długi. Ale obecnie, gdy całość jego dzieła objąć się daje syntetycznem spojrzeniem, wady i usterki schodzą do podrzędnych rozmiarów a Robert Browning śmiało zająć może miejsce pierwszorzędne pomiędzy poetami wszech krajów i epok.

Że miejsce to od lat wielu zajmuje jego brat po lutni, Alfred Tennyson, i że je zajmuje nietylko wśród swoich ale w piśmiennictwie powszechném, jest rzeczą dobrze znaną. Byłoby ubliżeniem dla wykształconych czytelników chcieć im mówić o nim jak o świéżo odkrytéj wielkości. Nie dawno poeta doszedł do 80 roku życia, trzymając od pół wieku przodownictwo w pośród piewców swéj ojczyzny, niby pień odwiecznego dębu puszczający ciągle świeże, zielone gałązki. Nie

było żadnego wahania, żadnéj protestacyi w ciągu lat kilkudziesięciu, że mu się to pierwsze miejsce należy. Gdy został poetą-laureatem, poetą urzędowym, pensyonowanym przez skarb publiczny, gdy go monarchini podniosła do godności lorda i wprowadziła do dziedzicznéj Izby panów, nie wzbudziło to zazdrości i szemrania, nie powiemy wśród szerokich warstw narodowych, które w Anglii schylają się bez wahania przed urzędowemi godnościami i arystokratycznemi wielkościami, ale nawet wśród literackiéj rzeszy, skłonnéj wszędzie do rokoszu przeciwko narzucanym powagom, nie widziano nic innego, jak hołd oddany piśmiennictwu w osobie najdostojniejszego jego syna. Obecnie, można powiedzieć, iż Tennyson jest w Anglii taką samą instytucyą narodową, jaką był we Francyi Wiktor Hugo w ostatnich latach swego życia. Wprawdzie rezydując w wiejskiéj posiadłości, Farringford, na wyspie Wight, nie miesza się on do literackiego życia Londynu, ale każdy śpiéw, co spływa z jego lutni, jak ów marsz jubileuszowy przed dwoma laty, witany bywa przez cały naród, jako wysoka manifestacya geniuszu poetyckiego. Wystarcza wiedziéć, że śpiéwak *Idylli Króla* stoi już o wiele po za przeciętną długością ludzkiego życia, aby mimowolnie w każdéj jego strofie nowéj przeczuwać śpiéw łabędzi. Z prawdziwém wzruszeniem powitała tedy Anglia zbiór świéżych, nieznanych dotąd poezyi, które wydał na widok publiczny w zeszłym miesiącu i z zachwytem uznała, że *Demeter and other poems* nie okazują bynajmniéj by ogień przygasał a natchnienie wyczerpywało się.

Ta sympatya niezachwiana i nigdy nie słabnąca, jaką świat anglosaksoński uczuwa do Tennysona, jest dowodem, iż pomiędzy nim a narodem, dla którego pisze, istnieje duchowa harmonia całkowita, że jest poetą nie pewnych wybranych jednostek ale całéj masy społecznéj, że odźwierciedla jéj wysokie dążenia, lotne ideały, że urzeczywistnia i krystalizuje dla niéj piękno i dobro bez żadnego z tych nadzwyczajnych wysiłków, na jakie ona wzdobyć się nie potrafi. Mają Anglicy w swéj po-bajronowskiéj epoce poetów wielkich—dość będzie wymienić Keats'a, Wordsworth'a, a w ostatnich czasach Danta Gabriela Rosetti—mają obecnie wśród nowéj generacyi innych tak genialnych, jak Swinburne i Morris, a mimo tego zawsze i ciągle powracają do Tennysona, i on jest równie popularny w pałacu magnata, w pracowni artysty lub uczonego, jak w skromnym *cottage*'u wieśniaka. Żaden poeta dawniejszy lub współczesny nie potrafił lepiéj wcielić abstrakcyjnych idei w formie malowniczéj, dotykalnéj, materyalnéj, żaden nie był tak prosty, tak zrozumiały, tak pospolity, bez najmniejszéj gminności i prozaiczności. Są poeci, którzy zajmują podniosłe miejsce w tradycyi krytycznéj, są mandarynami w historyi literatury, ale nie posiadają

życiowego piętna: Tennyson posiada i to ostatnie i dla tego uważany być może słusznie za największego z poetów angielskich. Byłoby zbytecznem dowodzić, że nie posiada żadnéj wyjątkowéj oryginalności w pomysłach, w treści i osnowie swych poematów, czuje to każdy wykształcony czytelnik; byłoby zbyteczne wykazywać, że nie zeszedł nigdy do ostatnich pokładów duszy ludzkiéj i że dramat duchowy z powierzchownéj nieraz bierze strony, że jest daleko więcéj artystą, aniżeli myślicielem i filozofem—bo właśnie w tém jest dowód, że umiał zakreślić sobie pole działania, że ocenił należycie swe siły i że się z zadania swego wywiązał jak niewielu innych. Ma on daleko więcéj wdzięku i powabu, aniżeli wielkości natchnienia, wyjątkowo tylko szybuje pod obłokami na orlich skrzydłach a zazwyczaj lot ma krótki, ziemi nie spuszczający z oka, ale umie poczuć piękno plastyczne i moralne jak nikt inny, pochwycić je we wszystkich jego manifestacyach, dać jego wizyą tak dokładną, a razem tak wiotką, eteryczną, że oczarowany czytelnik, boską harmonią tego wiersza ukołysany, widzi w nim prawdziwego wieszcza, i niczego więcéj odeń nie pragnie, jak żeby go nadal kołysał i czarował. Jest on wcieleniem harmonii, piękna, olimpijskiego spokoju, równowagi sił moralnych z materyalnemi, wysokiego etycznego nastroju. Azaliż to dola nie godna zazdrości?

Szukając przyczyn téj spójni duchowéj, jaka istnieje pomiędzy Tennysonem a jego społeczeństwem, znajdujemy ją daléj w ścisłém a misternem zjednoczeniu dwóch pierwiastków, nieodłącznych u Anglików: idealistycznego nastroju i realistycznéj podstawy. Dla tego, że umiał je pogodzić i że brzmienie obudwóch daje się usłyszéć w każdym dźwięku jego liry, jest on tak drogim ich sercu. Nie ma prawdopodobnie nikogo z poezyami jego spoufalonego, któryby sie zawahał w wyborze: palma pierwszeństwa oddawaną bywa poematowi *In Memoriam*. Przypominają sobie zapewne czytelnicy, że straciwszy uniwersyteckiego kolegę, Arthura Hallam, syna historyka, młodzieńca wyjątkowo obdarzonego, młody Tennyson popadł w rodzaj melancholii i że pamięci tego idealnego przyjaciela poświęcił poemat, gdzie rozpamiętywanie jego przymiotów połączone jest z wysokim spirytualizmem, podniesieniem ducha do szczytnych medytacyi o nieśmiertelności na łonie Stwórcy. Ten idealizm, który się wyrażał w tym poemacie o 131 oderwanych strofach nieporównanéj piękności poetyckiéj i który nadał Tennysonowi niezatartą cechę ducha religijnego—oto co mu utorowało drogę do serca publiczności. Ale jednocześnie nie trzeba zapominać, że poeta pisał sielanki i idylle, że do wielu ze swych poematów czerpał typy z życia wieśniaków, rybaków, ogrodników, młynarzy, wyrobników, że sceny te dobrze znane, dające ubarwione, ale tchnące rzeczy-

wistością widziadło życia realnego, znajdowały same przez się drogę do serca czytelników. Takie poezye jak *the Gardeners Dautghter*, jak *the Grandmother*, takie poemata jak świeży i drżący wewnętrzną boleścią obraz rodzinnego życia *Enoch Arden*, zrobiły, tak samo jak wiele innych w pokrewnym duchu napisanych, dla sławy Tennysona, dla zjednania mu niewygasłych sympatyi wszystkich, tyle co ów eteryczny poemat *In Memoriam.*

Trzeba oddać hołd téj wielostronności poety. On, ów arystokratyczny śpiewak poematu *The Princess*, on, poeta dworu królewskiego i magnatów, on przywykły do obcowania wśród najwyrafinowańszych umysłów klasycznéj starożytności, czujący się jak na własnym gruncie wśród mytów greckich i spokrewniony niezaprzeczenie z Wergiliuszem, nietylko nie czuł w sobie żadnéj kastowéj wyłączności i pogardy dla prostaczków umysłowych, ale przeciwnie garnął do swego serca wszystkich biednych, wydziedziczonych, upośledzonych, starał się odkryć skarby ich ducha, poziome a tak do spełnienia trudne codzienne ich cnoty. Ta gorąca sympatya nie do abstrakcyjnéj ludzkości, ale do człowieka takiego, jakim jest: oto co masa poczuła w poecie, oto za co mu serce swoje oddała. Tennyson często posuwał to uznanie dla żywiołu ludowego do granic ostatecznych, a mianowicie zamiast pisać językiem ogólniezrozumiałym, pisał te lub owe balady i powieści w narzeczu, w dyalekcie prowincyonalnym, zupełnie niepodobnym do zrozumienia po za granicami prowincyi lub miejscowśści, gdzie się tym dyalektem lud prosty posługuje. I tak słynny *Northern Farmer* a nawet *Owd Roä*, który się znajduje w ostatnim teraz dopiéro ogłoszonym zbiorze, tracą dla niewtajemniczonych swą wielką wartość. Ale wystarczy pomyśléć, że te poetyczne twory idą wprost do serca prostaczków, co innéj poezyi jak pisanéj w ich dyalekcie nie rozumieją, ażeby zrozumiéć, że poeta chciał być ich dobroczyńcą i żeby im téj karmi duchowéj nie skąpić.

Od lat już wielu Tennyson używa téj ustalonéj pozycyi na parnasie angielskim. Zostawiwszy wspomnienia Shelleya, Colridgea i Wordswortha, którym bezwiednie hołdował w pierwszych swych latach, zdobył sobie samodzielność zupełną. Będąc istotnie twórczym jedynie w formie, w nowych rytmach, pełen uczoności, wiedzy, nie miotany nigdy uraganem namiętności, ale zazwyczaj pełen olimpijskiego spokoju, nie zapominający nigdy o attyckiéj czci dla miary, unikający patosu i przesady, posuwając melodyjną śpiewność wiersza i kunsztowność formy do nieznanéj przedtém doskonałości, Tennyson ma prawo spojrzéć na dokonane przez siebie dzieło z pogodą mistrza. Gdziekolwiek sił swych próbował, wszędzie zostawił utwory niespożyte. Są

między lirykami jego klejnoty drogie każdemu estetycznemu umysłowi, każdemu wrażliwemu sercu. Wybór między nimi trudny, a chociaż *Talking Oak* albo *Human Cry* są uważane jako arcydzieła wyjątkowe, nie byłoby trudno znaleźć im siostrzyc. Jeżeli wśród większych jego poematów *The Princess* nie pozyskała sobie, i słusznie, téj saméj wziętości co inne, jak np. *Maud*, monodram, to nie trzeba zapominać, że Tennyson wzniósł się do epiki i że *Idylle of the King* żyć będą we wdzięcznéj pamięci narodu, póki będzie istniało życie narodowe. Poeta pisał te rapsody z cyklu Arthura w ciągu lat trzydziestu z górą, zawsze wierny swéj przewodniéj myśli, ale bez zewnętrznéj, materyalnéj jedności. Są to sceny, momenta bohaterskie, epizody charakterystyczne, a nie ma na szczęście żadnego usiłowania do powiązania ich w sztuczną jedność monotonną i bezbarwną. Twierdzono nieraz, że brakło Tennysonowi siły do odtworzenia tego świata gotyckiego, tych krwawych legend i że dawał tylko ich dalekie echo, ich blade widziadło. Nie chcemy téj staréj poruszać waśni. Jakiekolwiek zdanie o tych epicznych rapsodach wypowie potomność, nie można wątpić, że wywarły one na społeczeństwie angielskiém naszych czasów wrażenie głębokie, i że cała rzesza artystów i poetów rzuciła się na szlaki otwarte przez Idylle Króla. Z dramatycznéj twórczości Tennysona *Harold* i *Becket* nie wytrzymują krytyki z czysto scenicznego stanowiska, ale zarówno one, jak i wielki dramat historyczny *Queen Mary*, ten ostatni nieposzlakowany pod wielu względami, znajdą prawdopodobnie ocenę, na jaką zasługują w chwili, gdy całkowite dzieło poety stanie w swéj organicznéj formie.

W ostatnich kilku latach Tennyson dał nam dwa zbiory poezyi. Jeden, *Tiresias*, poświęcony był Robertowi Browning, którego geniusz i genialność, jak powiada autor w dedykacyi, oceni dobre a usprawiedliwi słabe strony; drugi nosił dobrze znany tytuł *Locksley Hall*. Poemat pod tym tytułem napisany był przez Tennysona w pierwszych latach młodości i opowiadał dość powszednią, ale zawsze tragiczną historyą wiośnianéj miłości, zerwanéj zdradą ukochanéj. Posłuszna rozkazom ojca, Amy złamała wiarę swemu wybranemu zaprzysiężoną i wyszła za bogacza. Należał poemat ten, zwięzły, energiczny, do najpopularniejszych utworów wieszcza i tytuł nowego utworu: *Locksley Hall po latach sześćdziesięciu* zaciekawił nie mało. Był to epilog do owéj wiośnianéj miłości, podobny rytmiczną formą, ale jakże inny duchowym nastrojem! Ośmdziesięcioletni starzec powraca do zamku, co był teatrem tego dramatu, rozmyśla nad grobem owéj pierwszéj ukochanéj, wysnuwa ostatnie zwrotki żalu, ale już bez zaciekłości i mściwości, przebacza, błogosławi. Horyzont myśli szeroki jest u starca:

wplata do osobistych swych dziejów dzieje społeczeństwa, ludzkości, zastanawia się nad problematami, co czekają wszech mieszkańców ziemskiéj planety i wobec takich zagadnień indywidualny zawód, doznany przed 60-ciu laty, blednieje, maleje, schodzi do pyłku. Są głębokie i pyszne dwuwiersze w tym poemacie Tennysona i trzeba było przyznać, że nie inaczéj przystało śpiewać sędziwemu wieszczowi.

Nie można powiedzieć, ażeby dla jego sławy było lepiéj, iżby był tym poematem twórczość swą zakończył, bo i zbiór, co się obecnie pojawił, nie okazuje bynajmniéj drżącéj ręki i osłabionego wzroku. Są w nim niektóre poezye artystyczniejszéj formy, największéj melodyjności i wdzięku, jakimi się kiedykolwiek odznaczał. *Demeter*, poemat, który daje tytuł całemu zbiorowi, jest jednym z tych czystych, klasycznych poematów, gdzie twórczość autora, chociaż obracając się wśród postaci oddawna należących do legendy mitologicznéj, jest w stanie ożywić je i wlać w nie nowe tchnienie. Demeter wyrywająca córkę swą Persefonę z zagrobowych cieni, nie zdaje się już w stanie być źródłem świeżego natchnienia. A przecież dzieje się to u Tennysona. Czytając ten straszny opis świata tajemnicy, mroku i zimna, i znajdując przeciwstawiony mu świat ziemski, drgający ciepłem, światłem, uczuciem, rozkoszą, jest się głęboko poruszonym i szuka się napróżno innego poety, któryby był w stanie oddać z równą potęgą, wyrazistością i zarazem spokojem przeciwieństwo pomiędzy życiem a śmiercią, i któryby oddał głębię macierzyńskiego uczucia, odzyskującego utracone dziecię w równie uroczysty sposób! Są wprawdzie niektóre utwory w tym zbiorku, które nie przynoszą żadnéj nowéj nuty, jak np. *The Ring*, ale są za to, zaraz obok, drugie, których czytać bez głębokiego wzruszenia niepodobna. Do takich liczymy *The leper's Bride.* Nic okropniejszego jak owa choroba, która z człowieka robi paryasa odstąpionego przez wszystkich, skazanego na śmierć wolną, ale niezawodną, przedmiot wstrętu i zgrozy. A u wezgłowia krzyżowca dotkniętego zarazą stawia poeta uroczą postać kobiety, co go ukochała i która woli z nim umierać, aniżeli żyć bez niego i która się dobrowolnie na najstraszniejsze skazuje cierpienia. Apoteoza takiego, iście niewieściego poświęcenia natchnęła Tennysona do prawdziwie pięknych strof kilku.

Perłą całego tego zbioru jest kilka liryków, jak *Forlorn*, jak *Romney Remorse*, gdzie się mieszczą kołysanki urocze, delikatne, harmonijne, a przedewszystkiém wiersz pod tyt.: *Crossing the bar.* Poeta ze spokojem i wzruszeniem mówi tam o swéj bliskiej śmierci, słyszy dzwony, co ją zapowiadają i bez czułostkowego roztkliwiania się posyła ostatnie pożegnanie dalekim i bliskim.

Nie byłoby trudném, stając u grobu takiego wielkiego poety, jakim był Browning i będąc uprawnionym do uważania zawodu Tennysona, najharmonijniejszego ze śpiewaków za skończony, nie byłoby trudném, powiadamy, przeciwstawić jednego drugiemu, wykazać ich różnice zasadnicze i odmienną ich formę poetycką. Porównania takie były już nieraz dawniéj czynione, a w obecnéj chwili sypnęły się gradem. Nie uważamy ich ani za właściwe, ani za potrzebne, przeświadczywszy się, że krytyk-sędzia z trudnością utrzymuje się w sferze bezwzględnéj sprawiedliwości i daje się swym własnym powodować sympatyom. Klasyfikacye takie zresztą i dyplomy na geniuszów nie mogą mieć najmniejszego znaczenia. Czytelnicy pójdą zawsze do tego poety, ku któremu duchowe powinowactwo ich nęci. Nie ma powodu dla wyniesienia jednego wieszcza zdzierać lauru ze skroni drugiego. Jest na stopniach Parnasu miejsca dość dla tych i owych Homerów i dla Anakreontów, dla Browningów i dla Tennysonów. Otoczyć ich można czcią równie szczerą, jeżeli nie jednakową.

Ten.





LISTY CZESKIE.

XVIII.

Sine ira et studio.

Ponieważ w tym liście mam zamiar skreślić te wypadki, które rozgrywały się w drugiéj połowie 1889 r. i które wywołały głęboko sięgające zmiany w stosunkach publicznych naszéj czeskiéj ojczyzny, niech mi będzie wolno zwrócić uwagę czytelników pokrótce na to, co w ostatnim liście mówiłem o stanowisku narodu czeskiego w wielkiéj rodzinie ludów europejskich, jako przygotowanie do tego, co obecnie nastąpi.

Sądzę, że nie będzie od rzeczy powtórzyć to zwięźle, ma to bowiem wielką wagę w przedmiotowém sądzeniu wszystkiego, co pragnę w tym liście w pełném przedstawić świetle.

Zaznaczyłem to mianowicie, że naród czeski, jako taki, został z urzędowéj listy ludów europejskich przed 50-ciu laty wykreślony, i że wówczas nie liczono się z nim w politycznych i państwowych stosunkach Europy. Zwróciłem daléj uwagę na to, że właściwie żadne z dzisiejszych państw europejskich nie przywiązywało istotnego interesu do egzystencyi Czech i że Czechy musiały wziąć sobie za główne zadanie, za *conditio sine qua non* swéj egzystencyi i zapewnionéj przyszłości, wywalczenie sobie stanowiska trwałego i niezaprzeczalnego pośród narodów europejskich. Wspomniałem, że do tego wiodło jedynie rozumne, obmyślone, świadome celu działanie połączonych ściśle wszystkich sił narodowych, i żeśmy się byli powinni wstrzymać od wszelkich zbytecznych ekstrawagancyi i wszelkich koziołków politycznych, aby nie przeszkodzić osiągnięciu zamierzonego celu.

Dziś przedewszystkiém muszę zaznaczyć, że nie wszyscy u nas są tego zdania i że obecnie istnieje w łonie narodu czeskiego dość

znaczna partya polityczna, która sądzi, że na innéj drodze i innymi środkami wytkniętego celu dopnie; nie mogę jednak przemilczéć, że bardzo słuszne wątpliwości żywi obóz staroczeski, czy to nieoględne szamotanie się zbyt porywczych burzycieli i demagogów nie doprowadzi tylko do ogromnego utrudnienia w ziszczeniu nadziei narodowych, jeśli ich całkiem nie unicestwi.

Jesteśmy drobnym narodem, jesteśmy dotąd zawsze, jeśli zechcemy spojrzéć jasno i bez złudzeń na położenie nasze, zaledwie cierpianym narodem, nasza narodowa egzystencya jest zawsze jeszcze dość niepewna, mielibyśmy zatém wszelkie powody połączonemi siłami pracować nad tém, aby skłonić publiczną opinią Europy do poważania nas, aby każdy z wykształconych narodów Europy mógł powiedziéć, że mały naród czeski dzielną pracą i rozumném postępowaniem wywalczył sobie stanowisko w rodzinie ludów europejskich i że nikt nie ma prawa zaprzeczać mu tego dobrze zasłużonego stanowiska.

A cóż my robimy zamiast tego? Dwa stronnictwa stoją przeciwko sobie i to nie dlatego, że oba chcą współzawodniczyć szlachetnie w wynajdywaniu najlepszych, najwłaściwszych dróg i środków, aby tylko któremu z nich przyznano pierwszeństwo w osiągnięciu zamierzonego celu; nie, one żywią ku sobie niechęć i gorycz, przeszkadzają sobie nawzajem, gdzie się tylko uda, i jeżeli kiedy stare przysłowie mogłoby znaleźć swoje pełne zastosowanie, to z pewnością dziś u nas: „*Duobus litigantibus tertius gaudet.*“ Pracujemy teraz niezmordowanie w interesie naszych przeciwników, a zaiste ku prawdziwemu *gaudium* Niemców dowodzą dziś codzień młodoczesi, że staroczesi są do niczego, a niemniéj udaje się wybornie staroczechom dowieść, że młodoczesi są do niczego, co prowadzi do tego tylko, iż Niemcy mają zupełne prawo powiedziéć, że wszyscy Czesi razem wzięci są do niczego! Pracujemy obecnie połączonemi siłami nie na korzyść narodowego wzmocnienia, lecz tak, jak gdybyśmy byli zapłaceni przez Niemców za naszą narodową hańbę i poniżenie w ich służbie i, jeśli w końcu ulegniemy w walce pod każdym względem bardzo nierównéj z naszym nieprzyjacielem, z Niemcami, to będzie to tylko wyłącznie naszą winą.

Aby uczynić zrozumiałém, jak do tego przyszło, aby wyraźnie przedstawić, jak się te, dla nas tak stanowczo nieprzychylne stosunki, kolejno wytwarzały, muszę cofnąć się do przeszłości i wskazać, jak zgubne zielsko zawiści stronniczéj w łonie narodu czeskiego zaczęło kiełkować i w jaki sposób mogło aż tak wyróść, że głuszy rokujący najlepsze nadzieje posiew rzeczywistéj pracy narodowéj i upragnione żniwo podaje w wielką wątpliwość.

My starsi patryoci czescy z tak zwanéj epoki przedmarcowéj,

którzyśmy byli czynni na polu pracy narodowéj przed r. 1848, którzy z własnego doświadczenia znamy dobrze ówczesne socyalne i polityczne stanowisko narodu naszego, my, którzy wiemy od czego zaczął naród czeski i w jak krótkim czasie, w ciągu 40-tu lat, zajął stosunkowo miejsce poważne pod względem socyalnym i politycznym; my możemy dziś tylko z uczuciem najgłębszego smutku wspominać owe czasy, kiedy wszyscy synowie Czech, podawszy sobie dłonie, dążyli do wzniosłego celu odrodzenia swojéj narodowości. W porównaniu do szalejącego dziś a morderczego boju braterskiego, była to epoka idylliczna przyjacielskiéj, pełnéj poświęcenia, lecz i nadziei, pracy, przy któréj śpiewano oddawna zapomnianą pieśń: *Tys bratr náš*, *tys vlastenec!* dziś bowiem braterska zgoda patryotów czeskich jest u nas wprost niemożliwa. Dziś zajmujemy zupełnie inne stanowisko, bardzo zbliżone do stanowiska owych dzikich ludów, które starców zabijają poprostu dla tego, aby się pozbyć niepotrzebnego ciężaru. Dziś pewne stronnictwo, które występuje, jako stronnictwo przyszłości, wszelkich sił dokłada do tego, aby starych patryotów, jeśli już nie fizycznie, to przynajmniéj moralnie zabić; dziś istnieje u nas stronnictwo, o którém śmiało można powiedziéć, że niewdzięczność uczyniło głównym czynnikiem programu swojéj działalności.

Nie chcę tu wcale roztrząsać pytania, czy podobne postępowanie odpowiada wymaganiom i zasadom pojęć ludzkich o moralności wogóle i chcę teraz z całkiem praktycznego stanowiska wykazać, czy istotnie jużeśmy tak daleko zaszli, że z kapitałem naszéj narodowéj inteligencyi tak rozrzutnie możemy postępować, co się szczególniéj odnosi do pewnéj partyi w ostatnich czasach; czy, przeciwnie, nie powinniśmy się usilnie starać o połączenie wszystkich zasobów narodowéj inteligencyi do wspólnéj pracy i egzystencyę naszego małego narodu, otoczonego zewsząd wrogami, zapewnić i utrwalić na przyszłość?

Nasza porywcza młodzież z kretesem zapomniała o tém, czém byliśmy jeszcze przed laty 50-ciu i bardzo jest na czasie przypomnienie jéj o tém. Autentyczny dokument niech tu będzie zamiast kłamliwych wywodów wzięty pod uwagę i służy za jaskrawy dowód, że jeszcze przed 50-ciu laty najlepsi mężowie czescy mieli bardzo ugruntowane wątpliwości co do żywotności swego narodu. Chodziło wówczas o założenie Maticy czeskiéj, instytucyi, mającéj na celu wspieranie i rozwijanie literatury narodowéj, niezmiernie wtedy na słabych stojącéj podstawach. Następujące pismo rozesłano natenczas między znanych patryotów:

„Wielmożni Panowie! Mamy zaszczyt przedłożyć W-nym Panom do łaskawego przejrzenia plan, po części wprowadzony już w ży-

cie, tyczący się pewnéj fundacyi przy Muzeum narodowém. Celem jego jest wspieranie literatury czeskiéj, krępowanéj w swoim rozwoju z wielu stron. Jakiekolwiek zapatrywania mogą istniéć co do dróg wiodących do utrzymania i wlania życia w czeską mowę: niezbędność jéj nie może być przecież podawana w wątpliwość u ludzi miłujących ojczyznę. Oddawna nieledwie sam język tylko nadawał Czechom piętno samoistnego narodu, narodu, który mimo swéj nieliczności, umiał przecież więcéj, niż kiedykolwiek, siłą swego ducha zwrócić na siebie oczy świata. Mowa jest jeszcze zawsze odróżniającą właściwością narodu. I jakkolwiek mogłoby to leżéć w zamiarach Opatrzności, że mowa, a wraz z nią i naród, znikną z listy ludów, co nie jest niemożliwém, jeśli się weźmie pod uwagę usiłowania germanizacyi kraju, trwające od lat 50-ciu, to przecież ta wysokość, na któréj niegdyś stanęła nasza literatura, będzie po wszystek czas najlepszą miarą wartości samego narodu i jego stopnia oświaty, czém jest i dziś wobec zagranicy. Cieszymy się więc nadzieją, że W-ni Panowie zaszczycą swoją łaskawą uwagą i pomocą zamiar, tak ściśle związany z duchowymi interesami i z samą nawet godnością narodową.

Z komitetu Muzeum czeskiéj mowy i literatury.

Praga, dnia 17 marca 1832 roku. — Józef Jungmann, Franciszek Palacky, Jan Swatopluk Presl.

Sądzę, że pismo to, ogłoszone dopiéro dzisiaj, nie potrzebuje żadnego komentarza. Imiona Jungmanna i Palacky'ego reprezentowały wówczas najwyższą inteligencyą narodową i najwłaściwsze, najgorliwsze dążenie do podźwignięcia narodu czeskiego z głębokiego poniżenia, w którém się znajdował.

Jeśli tacy mężowie jeszcze przed 50-ciu laty mogli powiedzieć, że zupełne zniknięcie narodu czeskiego z listy ludów żyjących nie jest bynajmniéj niemożliwém, to mogliby sobie i dziś jeszcze wszyscy dobrze myślący patryoci postawić następujące pytanie: Czyż rzeczywiście zaszliśmy już tak daleko, że możemy bez troski o jutro oddawać się nieoględnemu trawieniu czasu i czy możemy wszelkiemi siłami dopomagać do rozrostu narodowego rozdwojenia? czyż rzeczywiście jesteśmy już tak opancerzeni przeciw naszym narodowym wrogom, Niemcom, którzy dziś jeszcze więcéj, niż kiedykolwiek, godzą na naszę zagładę, że możemy uważać za rzecz zupełnie niepotrzebną i zbyteczną, skupienie wszystkich naszych sił w boju, który się nie prędko jeszcze rozstrzygnie? A jakże postępuje tak zwana partya młodoczechów?...

Ponieważ stronnictwo to w najnowszych czasach dobiło się stanowiska wpływowego, możnaby niemal twierdzić, że w jego rękach spoczywają losy narodu w najbliższéj przyszłości i, aby zapobiedz ja-

kiemukolwiek nieporozumieniu, natychmiast wskażę, jak to rozumiem. Rozważniejsze stronnictwo staroczechów, stronnictwo wypróbowanych patryotów z dr. Riegerem na czele, które nie zapomina o tém, w jakich stosunkach znajdowały się Czechy jeszcze przed laty 50-ciu, patrzy z niekłamaném uczuciem zadowolenia na wszystkie te kroki naprzód, które wówczas naród uczynił i nie lekceważy zdobyczy, które stały się natenczas jego udziałem, zdobyczy, które nadały wagę jego dążeniom i prawom społecznym, socyalnym i politycznym. Stronnictwo to przyznaje, że Czesi w tym względzie, w czasie stosunkowo krótkim, uczynili wielkie, ba... zdumiewające postępy. Stronnictwo to hołduje najzupełniéj rozumnemu postępowi i nie czuje się nigdy skłonném do przebijania muru głową; nie przecenia ono sił społeczeństwa czeskiego, i dlatego nie lekceważy téż różnych aliansów z tymi, którzy mieliby ochotę popierać czeskie interesy narodowe, lub których możnaby w tym celu dla siebie pozyskać. Stronnictwo to nie uważa za stosowne stawać w ostrém przeciwieństwie do duchowieństwa w kraju, w wielkiéj jeszcze części katolickim i stara się nadto o dobre stosunki z katolicką szlachtą krajową. Ponieważ daléj rząd austryacki wywiéra bezwarunkowo potężny wpływ na wszystkie stosunki publiczne całego państwa, uważa więc to stronnictwo, w dobrze zrozumianym interesie narodu, że korzystniéj jest stać z rządem austryackim na stopie pokojowéj, niż w otwartéj z nim sprzeczności, która bardzo problematyczne dla Czech korzyści obiecywać może. Ponieważ w końcu tylko takie stanowisko względem rządu austryackiego w radzie państwa umożliwia porozumienia się ze wszystkiemi frakcyami ministeryalnéj większości, wynika z tego, niezaprzeczenie często porządnie nudna procedura ciągle trwających kompromisów z wszystkiemi temi frakcyami. Jedném słowem, stronnictwo staroczechów liczy się ze wszystkiemi danemi okolicznościami i czynnikami publicznego życia i, nie tracąc swego celu z oczu, stara się w interesie kraju wszystko to osiągnąć, co z tych okoliczności i za pomocą tych czynników jest do osiągnięcia. Wprost przeciwnie rzecz się ma z zapalczywymi młodoczechami. Ci, jako husyci, uważają za stosowne względem duchowieństwa katolickiego stawać na arcy-wrogiém stanowisku, szlachtę przy każdéj sposobności obrażać w najbardziéj grubiański sposób i podawać ją w pogardę, a przeciw rządowi austryackiemu występować z opozycyą *quand même*. Politykowanie z innemi frakcyami rady państwa uważają za zbyteczne, a nawet poniżające, droga zaś kompromisów jest w ich oczach drogą wiodącą do narodowéj hańby.

Skoro więc w najnowszych czasach stronnictwo młodoczeskie zyskało bezsprzecznie na znaczeniu, możliwém jest, że nastąpi to, co już

dziś młodoczesi utrzymują, a mianowicie, że większość narodu czeskiego istotnie stanie po ich stronie i że w następstwie stronnictwo to chwyci w rękę ster narodowéj polityki.

Czy tedy Czechy otwarcie nieprzyjazne katolicyzmowi, znajdujące się w stanowczéj rozterce z własną szlachtą, w jawnéj opozycyi przeciw rządowi i nadto w otwartéj wojnie z Niemcami, którzy zawsze jeszcze nie chcą uznać naszéj egzystencyi narodowéj, zatém otoczone nieprzyjaciółmi, utrzymają się o własnéj sile, jaką zamierzają zająć pozycyę i jaką drogą dojść do niéj i umocnić się na niéj: to są czcze pytania, które tylko chciwych walki młodoczechów mogą jeszcze wzruszać i na które oni zaledwie jakąś ogólną odpowiedź daćby mogli.

Stoimy przeto, jeśli stronnictwo młodoczeskie przeważy, w oczekiwaniu jakiegoś fatalnego skoku, niedającego się przewidzieć, jeżeli nie patrzy się na to, jak na rzecz pewną, iż ostatecznym rezultatem będzie stanowczy *finis Bohemiae.* Czy można mieć nadzieję, że młodoczesi opamiętają się zawczasu?

Zastanówmy się trochę nad tém, jak powstało u nas stronnictwo młodoczeskie; znajdziemy może w historyi genezy młodoczechów odpowiedź na to pytanie.

Kiedy w r. 1860 druga era konstytucyjna rozpoczęła się w Austryi, wówczas dziennikarstwo narodowo-polityczne w Czechach, egzystujące od r. 1848, oddawna było martwém i pogrzebaném wskutek ucisku rządu reakcyjnego, wrogiego narodowym dążnościom czeskim. Każdy objaw życia politycznego, każdy objaw jakiéjś myśli politycznéj tłumiono i unicestwiano zawzięcie od r. 1851, roku, w którym poprzednia ustawa została cofniętą i rozpoczęło się prześladowanie wszelkiemi sposobami, lub przynajmniéj piętnowanie, jako niegodnych służby państwowéj, wszystkich tych, którzy w r. 1848 chociażby najlegalniéj i najbardziéj umiarkowany wzięli udział w wypadkach publicznych. Każdy patryota czeski był w oczach ówczesnéj władzy uważany za niebezpieczne indywiduum, nawet choćby to był najwierniejszy zwolennik dynastyi i najkonsekwentniejszy bojownik w duchu prawdziwie austryackiego programu. Ja sam byłem w 1848, jako sekretarz wydziału krajowego, w najlepszych stosunkach z cesarskim namiestnikiem, hr. Thun; hr. Thun chciał mi powierzyć redagowanie dziennika politycznego, który miał bronić umiarkowanych przekonań, czego jednak nie przyjąłem ze względu na bezpożyteczność podobnego przedsięwzięcia w owéj epoce; byłem zresztą, o czém wiedzieli komenderujący generałowie, od początku walki barykadowéj w dniu 12 czerwca 1848 z małym zastępem ochotników z gwardyi narodowéj (wogóle 25 ludzi) przed barykadą, aby, jeśli się tylko uda, doprowadzić

do zniesienia jéj: dałem tedy w r. 1848, wszelkie potrzebne dowody, że nie jestem bynajmniéj rewolucyonistą z profesyi, a mimo to i mnie zaszczycono w tych latach reakcyi ustawicznėm prześladowaniem. Kiedy w r. 1852 przyjąłem miejsce wychowawcy w domu serbskiego księcia Aleksandra Karadżordżewicza, zasłużyłem sobie wprawdzie na najszczersze podziękowanie ówczesnego serbskiego prezydenta ministrów Garaszanina za rzeczywiście nadzwyczaj pomyślne rezultaty w wychowaniu; ale dzięki zabiegom austryackiego konsula generalnego Radosavljewicza, książę uwolnił mnie od obowiązków. Jeżeli jednak panowała podówczas w wyższych kołach rządowych austryackich osobliwa choroba, ogólna trwoga przed demokracyą i wietrzenie jéj wszędzie, która to choroba wymagała swoich ofiar: to czescy patryoci byli w pierwszym rzędzie na indeksie.

Ten, kto to wszystko wie i rozważy, nie zdziwi się temu, co powiem.

Dnia 20 października 1860 r. ogłoszono tak zwany dyplom październikowy, który podawał do wiadomości ogólne zasady nowéj ery konstytucyjnéj. Dnia 20 lutego 1861 r. nastąpiło ogłoszenie ustawy politycznéj (tak zwanéj „lutowéj“) i ordynacyj, obowiązujących poszczególne „królestwa i kraje“.

Ogłoszono wolność prasy, zwołano wybory do rady państwa i sejmów, z których wówczas członkowie rady państwa z pojedyńczych królestw i krajów zostali wybrani; nowa epoka rozpoczęła się dla życia politycznego.

Stronnictwo narodowe czeskie, na którego czele stali wówczas Palacky i Rieger, nie miało żadnego organu publicznego: trzeba więc było organ taki założyć.

Nie jest możliwém poprostu, aby władza urzędowa mogła w jednéj chwili zmienić oddawna żywione poglądy i sposób postępowania oddawna praktykowany; nie stało się téż to i w Austryi w r. 1861 po opublikowaniu nowéj ustawy. Patryotów czeskich uważano jeszcze zawsze za indywidua niebezpieczne dla państwa, a ustawa lutowa przedewszystkiém nie w tym celu została stworzoną, aby czeskim żądaniom i prawom nadać poważne znaczenie.

Nic więc dziwnego, że żaden ze znanych już naszych patryotów i pisarzy nie mógł uzyskać pozwolenia na wydawnictwo dziennika politycznego; wszyscy, jeden po drugim, otrzymywali na swoje przedstawienia w téj mierze, odpowiedź odmowną.

Wielki tedy kłopot pośród patryotycznych kół w Pradze; czas naglił, co było robić?

Pewien podówczas młody jeszcze człowiek, dzisiejszy dyrektor czeskiéj akademii handlowéj w Pradze, poseł na sejm krajowy i członek rady państwa, Emanuel Tonner, wpadł na dobry pomysł i udzielił go d-rowi Riegerowi. „Jeden dobry mój przyjaciel i kolega z ławy szkolnéj — powiedział Tonner — mógłby nas może wyratować z biédy. Jest on do dziś dnia jeszcze całkiem nie znany w życiu publiczném, nosi nazwisko niemieckie Greger, jest doktorem praw, a obecnie pracuje u pewnego adwokata Niemca, w niemieckiém miasteczku Friedlandzie. Nic na nim nie ciąży, możeby się mu udało uzyskać upragnione zezwolenie."

Dr. Rieger napisał natychmiast do d-ra Juliusza Gregera do Friedlandu, udzielił mu wszelkich potrzebnych wiadomości, dał mu wszystkie konieczne wskazówki i nakłaniał go, jeśliby miał zamiar podjąć się zadania, aby w jak najkrótszym czasie wystosował podanie w celu otrzymania wymaganego przyzwolenia. Dr. Greger zgodził się na to i koncesyą otrzymał.

Uwiadomił on natychmiast dr. Riegera o szczęśliwym wyniku, oświadczył, że jest gotów porzucić swoje miejsce we Friedlandzie i przybyć do Pragi i starał się o fundusz na spłacenie niektórych drobnych długów i na przesiedlenie się do stolicy. Dr. Rieger posłał mu 50 guldenów ze swojéj prywatnéj kasy i Greger przybył do Pragi.

Kaucya, którą trzeba było złożyć, chcąc wydawać dziennik polityczny w sumie 10,000 fl., jak i inne potrzeby nieodzowne przy wydawaniu dziennika, zostały pokryte przez konsorcyum patryotów i niebawem ukazał się pierwszy numer „Narodnich listów", nowego organu czeskiego stronnictwa narodowego. Rozumié się samo przez się, że wyższe kierownictwo dziennika powierzono doświadczonym naczelnikom ludu czeskiego, Polacky'emu i Riegerowi i rozumié się téż samo przez się — że dr. Juliusz Greger złożył najuroczystsze przyrzeczenia i zapewnienia, że będzie prowadził dziennik zupełnie w duchu tych mężów, stosownie do ich zasad i według ich wskazówek.

Nowy dziennik „Narodni listy" z programem ułożonym przez Palacky'ego i Riegera, dostał się w ręce społeczeństwa czeskiego i wkrótce, dzięki powadze imion tych dwóch mężów, liczono abonentów 5,000. To zabezpieczyło od początku byt dziennika i „Narodni listy" mogłyby jeszcze dziś być głównym organem polityki czeskiéj, gdyby nie pewne rzeczy, które się nigdy stać nie były powinny, a których nader łatwo było uniknąć. Aby przy omawianiu tych rzeczy pozostać na możliwie najbardziéj przedmiotowém stanowisku, pragnę używać jaknajwzględniejszych wyrażeń; ale powiedziéć przecież muszę to, co jest koniecznem,

aby postawić je we właściwém świetle i wszystkie ich zgubne skutki ocenić.

„Narodni listy“ były nowym organem publicznym staréj narodowéj partyi w Czechach i jako taki, zostały przyjęte ze strony narodu na podstawie ogólnie uznanéj powagi doświadczonych wodzów politycznych, Riegera i Palacky'ego; dziennik opiérał się się na funduszu złożonym przez wypróbowanych patryotów i wiernych sprzymierzeńców stronnictwa; komitet redakcyjny z Palacky'm i Riegerem na czele, kierował polityką; komitet administracyjny miał powierzoną stronę materyalną przedsięwzięcia. Dziennik liczył 5,000 abonentów, których liczba mogła bezwątpienia urosnąć. Wszystko więc, co się tyczyło tego nowego pisma, w najlepszym znajdowało się porządku. Jednéj tylko rzeczy brakło, co prawda dosyć potrzebnéj.

Dr. Juliusz Greger, uprzywilejowany na wydawnictwo dziennika, nie był człowiekiem tego pokroju, jakim przedstawił się, przybywszy do Pragi d-rowi Riegerowi i Palacky'emu; nie należał on do niesamolubnych, bezinteresownych, pełnych poświęcenia patryotów, którzy uważali za najwyższe i jedyne zadanie swego życia pracę dla dobra kraju, nie myśląc wiele o nagrodzie za trudy. Dr. Juliusz Greger należał już z tego względu do nowszéj, praktycznéj generacyi, która tak zwany „zdrowy egoizm“ uznaje za najlepszą i najpraktyczniejszą zasadę rzeczywiście rozsądnego działania i można o nim z wszelką słusznością powiedzieć, że od pierwszego debiutu w życiu publicznem aż do dnia dzisiejszego reprezentował on zawsze bardzo zdrowy egoizm, a jego poglądy na życie i na świat możnaby tak mniéj więcéj określić: dr. Juliusz Greger nie jest na to, aby pracował dla Czechów, tylko Czesi są na to, aby pracowali dla dra Juliusza Gregera.

Nie będzie się tedy nikt dziwił, że uprzywilejowanemu pozwoleniem wydawania pisma człowiekowi tego pokroju, musiało przyjść na myśl: „miejsce prostego wydawcy nie jest dla ciebie odpowiedniém wcale a wcale. Powinieneś się postarać zostać nieograniczonym właścicielem dziennika; dziennik się już opłaca, bezwarunkowo przynosić będzie znaczne dochody, a zagarnianie tych dochodów, wyłącznie dla siebie samego, jest niewątpliwie najlepszém, „co można zrobić“.

Łatwo pojąć jak wykonanie takiego pomysłu musiało być sprawą trudną, i z pewnością mogę twierdzić, że nie udałoby się po raz drugi drowi Gregerowi. Udało mu się jednak w r. 1862. Rieger wierzył mu na słowo, nie zbadawszy dokładnie stanu rzeczy, że pismo się opłaca niedostatecznie, że cały aparat redakcyjny trzeba uprościć, coby się najlepiéj dało zrobić, oddając całe kierownictwo przedsiębior-

stwa jednemu człowiekowi. Rieger przekonany był w swojéj *bonhomie*, że tylko dr. Juliusz Greger narodową polityką kierować może, co on sam twierdził i co zresztą przyobiecał kiedyś: i stało się to, co w życiu polityczném stronnictwa trzeba napiętnować, jako *horrendum*: Dr. Rieger z wszelkiemi formalnościami oddał nowozałożony organ stronnictwa byłemu uprzywilejowanemu wydawcy na jego wyłączną własność i zrzekł się dalszego wyższego kierownictwa dziennika.

Stosunki pieniężne odpowiednio ułożono i dr. Greger w r. 1862, jako nieograniczony właściciel i pan, wszedł w posiadanie jedynego, powszechnego i za taki uznanego, publicznego organu czeskiéj partyi narodowéj. Skutki wkrótce się okazały. Dadzą się one bardzo krótko i jasno przedstawić, są bowiem naturalnym wynikiem główněj zasady w postępowaniu pana dra Gregera, t. j. jego egoizmu.

Dziennik stronnictwa narodowego musiał być jego własnym dziennikiem, polityka narodowego stronnictwa musiała być jego polityką, całe narodowe stronnictwo musiało być jego stronnictwem. Naturalnie zwolennicy tego jego stronnictwa musieli się trzymać jego polityki, i co za tém idzie, dziennik abonować, o co właściwie głównie chodziło.

Możnaby racyonalnie przypuszczać, że dr. Greger, jako jedyny właściciel dziennika, zadowolni się tém, że będzie miał zapewnionych wszystkich abonentów z kół narodowych; ale tak rozumując, zapomniałoby się o pewnym ważnym względzie, który już niejednego zawiódł na bezdroża, a mianowicie o nagle pozyskaném przeświadczeniu, że się ma w ręku wielką siłę.

Iluż ludzi znajduje się pomiędzy tysiącami milionów od stworzenia świata, którzy nie użyliby w sposób niewłaściwy, nagle spadłéj im z nieba wielkiéj potęgi? Dr. J. Greger nie należał tu do wyjątków. Dr. J. Greger nie mógł, jeśli się weźmie pod uwagę jego usposobienie, czuć się zadowolonym czysto materyalnemi korzyściami, jakie mu jego nowe stanowisko wyłącznego posiadacza „Narodnich listów“ bezwarunkowo przynieść musiało; świadomym on był doskonale potęgi, jaką mu daje prawo niezawisłości w kierownictwie organu politycznego, za pomocą którego można było publiczną opinią Czechów rządzić, a był on właśnie stworzonym na to, aby téj potęgi nadużyć. Jakąż wartość mogły mieć dla dra J. Gregera zasługi położone dla narodu przez Riegera i Palacky'ego, kiedy właśnie o to chodziło wówczas, aby ich w opinii publicznéj zdyskredytować, usunąć na bok i na ich miejsce wystąpić, jako nowy polityczny przywódzca ludu czeskiego? Czy istotnie miałby potrzebne ku temu zdolności, nie wchodziło w grę, gdyż

jako jedyny pan opinii publicznéj dzierżył w ręku środki, aby ludzi skłonić do uwierzenia, że mu na nich nie zbywa. A więc nowe stronnictwo, nowa polityka, nowy przywódzca; to było pokrótce nowym programem działalności nowego władcy publicznéj opinii w Czechach, i to jest téż prawdziwa geneza młodoczechów, albowiem nowém tém stronnictwem są młodoczesi, nową polityką jest polityka młodoczeska, a nowym przywódcą jest naturalnie dr. Juliusz, obecnie, Grégr. Wszystko to zaś jest dziełem egoizmu jednego człowieka.

Nie będzie bez interesu zapoznać się w jaki sposób wyrobiła się nowa polityka i w jaki sposób ukształtowała się nowa partya,

Przypatrzmy się najprzód nowéj polityce. Naturalnie musiała ona różnić się od polityki Palacky'ego i Riegera a nawet, o ile można, sprzeciwiać się jéj. To zaś nie było tak proste i łatwe; trzeba było czekać na sposobność. Ale *fortuna audaces juvat:* w r. 1863 wybuchło powstanie w Polsce. Wypadki r. 1863 dały sposobność drwi J. Gregerowi do przedstawienia Riegera i Palacky'ego jako wrogów wolności, jako serwilistycznych pochlebców, jako odstępców od świętéj sprawy czeskich praw narodowych i co za tém iść musiało, oświadczył on, iż takim ludziom, jako politycznym przywódcom, ufać bezwarunkowo nie może. To wszystko głosiły wówczas „Narodni listy", jedyny czeski dziennik polityczny, czytelnikom swoim dzień po dniu i niedługo dr. Grégr osiągnął swój cel w tym względzie prawie zupełnie. We wszystkich publicznych lokalach rozbito i zniszczono tam biusty i pozawieszane portrety Palacky'ego i Riegera i ja sam miałem niejednokrotnie sposobność mówienia z wykształconymi ludźmi w kraju, którzy wyrażali swoje „szczere" ubolewanie, że tacy mężowie, jak Rieger i Palacky, mogli opuścić szeregi patryotów i to tak haniebnie!...

Pierwszy atak udał się bezwątpienia najlepiéj w stosunku do tego wszystkiego, co po nim miało nastąpić; ponieważ bowiem w gruncie rzeczy fałsz stał się jawnie, naturalnym wynikiem było, że dr J. Greger nie mógł sobie pozyskać istotnéj inteligencyi czeskiéj swoimi manewrami agitacyjnymi przeciw Riegerowi i Palacky'emu, owszem tylko w tych sferach ludności mógł zdobyć sobie partyą, gdzie ograniczony stopień wykształcenia usposabiał umysły do wierzenia szerzonym wieściom i wsłuchiwania się w huczne frazesy...

Tak ma się rzecz jeszcze dziś, gdy po wielokrotnych wystąpieniach dra Gregera przeciw drowi Riegerowi ściéra się młodoczeska czynność z abstynencyą staroczechów i odwrotnie czynność staroczechów z abstynencyą obozu młodoczeskiego. Gdy z rozmaitemi waryacyami głoszono czeskiemu ludowi w „Narodnich listach", że młodoczesi zrobiliby wszystko daleko lepiéj, gdyby raz już dostali

w ręce kierownictwo spraw publicznych czeskich, usilnie domagano się ze strony partyi staroczeskiéj, aby młodoczesi dali już wreszcie poznać światu swój nowy program polityczny, który od jednego zamachu ma spełnić wszelkie wymagania społeczeństwa. Na to jednak do dziś dnia stanowczéj odpowiedzi nie otrzymali...

Tak się tedy rzeczy mają z nową polityką; jakże wygląda owa nowa partya?

Ta nowa partya istnieje i istniejąc tak już znaczną posiada siłę, że nie można jéj ignorować; ba, ta partya utrzymuje nawet, że reprezentuje większość narodu czeskiego. Wykształciła się ona zwolna z najróżnorodniejszych składników, które możnaby podzielić na następujące dwie kategorye: 1) Wszyscy ci, których zadaniem życia jest wieczna opozycya przeciw obecnym stosunkom, instytucyom lub prawowitéj władzy. Ludzie podobnego rodzaju znajdują się nieodzownie w każdém zgromadzeniu, zacząwszy od stolicy kraju, a skończywszy na najmniejszéj wiosce, i takich to ludzi używały zawsze „Narodni listy“, jako opozycyi przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. 2) Wszyscy niezadowoleni z biegu spraw publicznych, przyczém trzeba zauważyć, że rząd austryacki sam zupełnie niepotrzebnie dał przyczynę do wzrostu tego ogólnie wytwarzającego się niezadowolenia i że tak zwany „ostrzejszy ton“ niemieckiéj opozycyi liberalnéj w radzie państwa, był dla młodoczechów pożądanym przykładem, aby przez przyjęcie równie „ostrzejszego tonu“ odróżnić się od staroczechów. Sprawa jednak nie szła tak zupełnie łatwo i prędko, jakby kto mógł przypuszczać, bo dopiéro po 26 latach miało się drwi J. Grégrowi udać wejście do czeskiego sejmu na czele zdolnéj do czynu garstki młodoczeskich posłów (październik 1889).

Wiadomém jest powszechnie, że wybory posłów na czeski sejm krajowy i do austryackiéj rady państwa od r. 1861 prowadzone były przez centralny komitet praski, któremu przewodniczyli Palacky i Rieger, a następnie po śmierci pierwszego w r. 1876, sam Rieger. Ten komitet wyborczy należał zawsze do stronnictwa staroczechów i młodoczesi nie mogli tam znaleźć żadnego poparcia. Z biegiem czasu jednak wyrobił się tam *usus*, że pewne okręgi wyborcze w drodze milczącego kompromisu przepuszczały kandydata młodoczeskiego. Krok za krokiem młodoczesi posunęli się daléj, w kierunku zawsze na oku trzymanego celu, t. j. w celu uzyskania, gdzie się tylko da, większości. Przyjmowano otwarcie mandaty otrzymane w drodze kompromisu, a robiono w cichości wszystko możliwe, aby nadto jeszcze kilka mandatów uzyskać, t. j. ze strony obozu młodoczeskiego stawiano przeciw kandydatom staroczechów kontrkandydatów, za którymi agitowano

w cichości z pomocą wszelkich dozwolonych i niedozwolonych środków i którzy też niejednokrotnie, ku wielkiemu zdumieniu nieopatrznych staroczechów, utrzymywali się na pozycyi. Dopiéro w r. 1889 stronnictwo młodoczeskie (albo raczéj dr. J. Grégr), wystąpiło po raz pierwszy zupełnie otwarcie z listą własnych kandydatów na krzesła poselskie do sejmu i zarazem oznajmiono, że to samo nastąpi przy wyborach do rady państwa. Szczególném jest w téj całéj sprawie twierdzenie d-ra J. Grégra, które z łatwych do odgadnięcia przyczyn uważał za stosowne niestrudzenie powtarzać, że nikt inny, tylko jedynie dr. Rieger jest sprawcą rozdwojenia się czeskiéj partyi narodowéj i powszechnie panującego sporu wśród braci, zamiast upragnionéj zgody. Utrzymuje tak stanowczo dr. Grégr, a ja mogę za to przytoczyć tylko ten fakt, że od lat blizko 20-tu, spostrzegłszy wyraźnie, co stało się wskutek nieoględnego oddania jedynego organu politycznego w ręce zdeterminowanego, pozbawionego wyższych uczuć egoisty, mówiłem nader często d-rowi Riegerowi:

„Jedności narodowego stronnictwa czeskiego pan nie utrzymasz, musisz podjąć walkę, która jest nieunikniona i musi się wreszcie rozstrzygnąć, do kogo naród ma więcéj zaufania, czy do ciebie, czy do d-ra Grégra?“

Dr. Rieger zaś odpowiadał mi niezmiennie, że do ostatniéj chwili, przy tém stać chce i będzie, co mu się przez całe życie zdawało najlepszém i najodpowiedniejszém dla rzeczywistych interesów ludu czeskiego, t. j. przy narodowéj jedności i że ze swéj strony nie może uczynić nic, coby tę jedność mogło zakwestyonować.

Sądziłem, żem powinien wyraźnie na tém miejscu o tém wszystkiém pomówić, jakkolwiek z poprzedniego ustępu już dość jasne można miéć pojęcie, kto był stroną zaczepną w bratniéj walce, a kto stroną atakowaną?

Rozstrzygające w tym bratnim sporze wybory na sejm krajowy, zwołane zostały na lipiec 1889 r., na d. 2-go lipca wybory z gmin wiejskich, na 5 lipca wybory z miast i izb handlowych, na 9 lipca wybory z kuryi większych posiadłości.

Młodoczeskie stronnictwo, z d-rem J. Grégrem i „Narodnimi listami,“ rozwinęło w pełném tego słowa znaczeniu gorączkową działalność.

Dawno już przedtém obrabiały „Narodni listy“ we wszelkich możliwych waryacyach ów temat, że partya staroczeska pod egidą d-ra Riegera jest partyą polityczną, która pod każdym względem zrobiła najhaniebniejsze bankructwo, partyą tchórzliwych i niewartych „opieszalców,“ serwilistycznych pochlebców ministeryalnych, którzy nie

umieją bronić honoru i godności narodowéj, którzy naprawdę niczego jeszcze nie dokazali dla ludu i nigdy niczego nie dokażą, którzy nie mają odwagi bronić praw czeskich i odezwać się w imieniu czeskich pretensyi, których, jedném słowem, w interesie publicznym trzeba usunąć, aby innym lepszym rzecznikom praw i interesów narodu zrobić miejsce, ludziom, którzy zdecydowani są dojść do czegoś i którym nie zbywa na odwadze i potrzebnéj energii, aby się nie pozwolić zastraszyć jakąkolwiek przeszkodą i którzy nie dopuszczą do tego, aby nie załatwione w sejmie, lub radzie państwa, sprawy miały leżéć odłogiem, jak to czynią staroczesi,—a takimi nowymi ludźmi, wyłącznie posiadającymi zdolności i ochotę poświęcić wszystko dla dobra narodu są właśnie kandydaci młodoczescy i t. d. i t. d. Do agitacyi wyborczéj na korzyść młodoczechów zjednano sobie najprzód stan nauczycielski ze szkół ludowych wspaniałemi obietnicami, oprócz tego zaś studentów, których oddawna już bardzo systematycznie używano do agitacyi po kraju na rzecz stronnictwa, do rozpowszechnienia „Narodnich listów,“ a przedewszystkiém do popierania interesów d-ra J. Grégra. Wszystko musiało służyć p. Grégrowi, a więc i stowarzyszenie studentów „Akademicky čtenařský spolek,“ który w ostatnich czasach rzeczywiście nie był niczém inném, jak tylko stałym komitetem w usługach właściciela „Narodnich listów.“

Ponieważ ze strony młodoczechów przy wyborach na sejm krajowy głównie zwracano uwagę na wyborców gminnych i nie chciano niczego zaniedbać, co mogło prowadzić do pozyskania tychże, postanowiono wpłynąć na nich rozmaitemi przyrzeczeniami i na początku lipca 1889 r. młodoczescy kandydaci wyraźnie przyrzekli i formalnie przedstawili ludności, co następuje: 1) Przejęcie wszelkich długów hypotecznych przez kraj; 2) pożyczki z banków angielskich tylko na 2%; 3) podniesienie cen zboża.

Jak widać z tego, nie byli zbyt oszczędni kandydaci młodoczescy w rozdawaniu obietnic i stało się u nas od lipca 1889 r. przysłowiem, że przyrzekli oni ludowi wystawić pałac narodowego dobrobytu (*palác národniho blahobytu*), ponieważ tego frazesu istotnie użył jeden z kandydatów w przemowie do wyborców.

Tak wielostronne i pokombinowane wysiłki d-ra J. Grégra nie pozostały bezskutecznemi. Pierwszego dnia podczas wyborów posłów z gmin wiejskich, zwycięstwo młodoczechów było stanowcze, gdyż na 29 z ich partyi obrano z partyi przeciwnéj tylko 20. Nie tak pomyślny już był dla młodoczechów drugi dzień, w którym wybierano deputowanych z miast, miejscowości przemysłowych i izb handlowych. W dniu tym zaledwie 7 młodoczechów wypadło na 32 staroczechów.

W każdym razie liczbę 20 nietylko osiągnięto, ale nawet przekroczono znacznie, mogła więc partya zająć w sejmie stanowisko zupełnie samodzielne.

Już 13-go lipca zgromadzili się nowoobrami posłowie młodoczescy, w liczbie przeszło 30-tu, w sali hotelu Saskiego w Pradze, gdzie postanowiono, co zresztą było do przewidzenia, utworzenie odrębnej partyi w sejmie pod nazwą „stronnictwa narodowo-wolnomyślnego“ i, co za tém idzie, założenie własnego klubu pod nazwą „klubu stronnictwa narodowo-wolnomyślnego“ z własnym statutem. Z chwilą zapadnięcia téj uchwały zupełnie formalnie i jasno zostało ogłoszoném rozdwojenie się narodowéj partyi na dwa wrogie obozy. Ponieważ zaś młodoczesi dobrowolnie do tego rozdwojenia doprowadzili, nie bardzo się zgadza z prawdą zarzut czyniony d-rowi Riegerowi i nie słusznem jest pociąganie go za to do odpowiedzialności.

Gotowa więc do czynu partya sejmowa młodoczechów była na posterunku i chodziło teraz o postawienie jakiegoś programu postępowania, w myśl którego idąc, stronnictwo to zaraz na wstępie mogłoby zaznaczyć swoje znaczenie i siłę w sprawach publicznych. Przy układaniu tego programu nie mogło naturalnie chodzić o to przedewszystkiém, o co zazwyczaj chodzi rozsądnemu stronnictwu przeciwnemu, t. j. aby rozważyć spokojnie i przedmiotowo dane warunki, zastanowić się bez złudzeń nad stanem danych środków, a następnie po najsumienniejszém przekonaniu się postanowić, co w tych danych warunkach trzeba zrobić i co się z tymi danymi środkami zrobić da?...

Tak prostym i rozsądnym nie mógł być naturalnie program postępowania młodoczechów. Istotną, cichą pracę, która ostatecznie mogła być wcale nie zauważoną, wykluczono tu w pierwszym rzędzie; taka praca była z pewnością bardzo odpowiednią dla staroczechów, od tego oni byli, ale to nie było dla młodych. Przedewszystkiém zależało im na tém, aby ukazanie się ich na scenie publicznéj działalności natychmiast wywołało podziw, i to, o ile się da, wielki podziw! Musiała nadto jeszcze jedna rzecz być uwzględniona w dobrze zrozumianym interesie rozkwitu i powodzenia stronnictwa młodoczeskiego. Partya ta, co nie trudno było dostrzedz każdemu umiejącemu patrzéć, wtedy mogła tylko liczyć na rozkwit i powodzenie, gdy stara, historycznie narodowa partya staroczechów, zachwianą zostanie w opinii narodu i z piedestału strąconą. Nowy więc program postępowania młodoczechów taki kształt musiał przybrać, aby dawał możność i do takiego zamachu w interesie stronniczym.

Jestto niezmiernie charakterystyczne ze względu na działalność d-ra J. Grégra i ze względu na młodoczechów, że właśnie owa

rzecz, o którą niby chodziło, istotnie jest rzeczą małéj wagi, i że na wskroś tylko egoistyczny, osobisty interes stronniczy jest głównym motywem zachodzącego obrotu sprawy. To samo zupełnie musieliśmy widziéć na ostatniém posiedzeniu sejmu, na którém partya młodoczeska wzięła się do wykonania swego świetnie skombinowanego programu.

Ostatnie to posiedzenie sejmu zaczęło się 10-go października r. z. i trwało aż do 25-go listopada, w którym to dniu zostało zawieszoném ze względu na mające się otworzyć posiedzenie rady państwa d. 4-go grudnia. Krótka sesya dopełniająca ma nastąpić w styczniu r. b. Zaznaczyć trzeba okoliczność, godną uwagi ze względu na to, co ma nastąpić, że niemieccy posłowie, którzy 22-go grudnia 1886 r. wystąpili z sejmu, ponieważ, jak twierdzili, słuszne ich wymagania nie były brane w rachubę przez większość czeską, odmówili powtórnie udziału. Liczba ich wynosi blizko trzecią część ogólnéj liczby członków izby. Obecnymi więc byli w sejmie w d. 10-ym grudnia r. z. deputowani z gmin i miast, deputowani tych izb handlowych, w których Czesi stanowią większość i deputowani z większych posiadłości, ogółem było 160 członków.

Nowy stosunek stronnictw miał się tak, że 70 posłów z większych posiadłości z głosami wirylnymi i staroczechami stanowiło większość, rozporządzającą 130 głosami, podczas gdy młodoczesi w liczbie przeszło 30 występowali jako mniejszość, czyli opozycya. Liczba młodoczechów początkowo nie zupełnie była jasną i podobno po późniejszém, dokładniejszém obrachowaniu wynosiła 36 głosów. Deputowanych z większych posiadłości nazywano powszechnie prawicą, staroczechów centrum, młodoczechów lewicą.

Wobec chciwych czynu i myślących wyłącznie tylko o swoim stronniczym interesie młodoczechów, nie mogło być mowy naturalnie o tém, że powinno się postarać ze względu na nieobecnych Niemców, z którymi probowano ciągle ugodzić się w celu ostatecznego załagodzenia sporu narodowego w Czechach, o niewyciąganie na porządek dzienny kwestyi, mogących wywołać rozdraźnienie. Zaraz téż naturalnie na pierwszém posiedzeniu sejmowém postawili oni wniosek (dr. J. Grégr wraz z towarzyszami) wysłania adresu do najj. pana, cesarza i króla.

Według powszechnie przyjętego zwyczaju parlamentarnego, wystosowuje ciało prawodawcze, lub konstytucyjna reprezentacya kraju, adres do monarchy, jako odpowiedź na dotyczącą tych zgromadzeń mowę tronową, a niekiedy tylko w wyjątkowych razach, przy zachodzącéj koniecznéj potrzebie i wskutek jednogłośnéj uchwały zgroma-

dzonych. Adres ze strony mniejszości jest w każdym razie unikatem w historyi europejskiego konstytucyonalizmu.

Trzeba tu zwrócić uwagę na następującą, osobliwą okoliczność. Skoro w lipcu r. z. rezultat czeskich wyborów na sejm poznano i nie można było wątpić, że młodoczesi wskutek widocznego braku odpowiednich kandydatów z wielu miejscowości gminnych wybrali istotnie *osobliwych*, t. j. stanowczo nieodpowiednich deputowanych; rozszerzono wieść, że cesarz nazwał tę nowoobraną deputacyą sejmową „osobliwém towarzystwem.“ Nie jestem naturalnie w możności ręczyć za autentyczność tego wyrażenia się monarchy. Mogę jednak jako pewny fakt przytoczyć, że deputacya młodoczeska, podczas wspomnianego już zgromadzenia w „Hôtel de Saxe,“ postanowiła (ob. „Narodni listy“ z 14 lipca 1889 r.) „z łona swego wysłać deputacyą, złożoną z czterech członków: pana profesora Tilšera, d-ra Vašaty'ego, d-ra Edwarda Grégra i właściciela ziemskiego, Franciszka Steinera, do jego ekscelencyi p. namiestnika Królestwa Czeskiego z żądaniem, aby wyrażenie owo zostało urzędownie odwołaném, jeśli, jak się zdaje, istotnie nie było użyte; jeśli jednak wskutek niewłaściwych i stronniczych informacyi użyte istotnie zostało, zechce jego ekscelencya postarać się, aby sfery rządzące, poinformowane przez urzędowe, pewne i prawdziwe przedstawienie przebiegu wyboru w Czechach, powzięły należytą opinią co do lojalnosci i politycznego wykształcenia wyborców czeskich.

O ile wiem, deputacya ta młodoczechów rzeczywiście wysłaną została do nowego namiestnika czeskiego, hr. Franc. Thuna; namiestnik nie odmówił jéj przyjęcia. Publiczność nie dowiedziała się, jaki na prawdę skutek osiągnęła ta misya, a co do mnie, mogę jeszcze tylko przytoczyć, że młodoczesi nie doprowadzili przez swój postępek w sejmie do tego, żeby wyrażenie cesarskie zostało zmodyfikowaném; aby się zaś z tą przykrą historyą jak najprędzéj załatwić, dodam, że jeszcze na żadném posiedzeniu sejmu czeskiego nie zdarzył się tak szpetny skandal parlamentarny i nigdy nie narobiono tyle próżnéj wrzawy w salach sejmowych, jak w r. 1889-ym. Powodem zaś był nikt inny, tylko młodoczesi i ich zwolennicy. Ktokolwiek tedy wyraził się, że tym razem „*osobliwe towarzystwo*“ zjawiło się w salach gmachu sejmowego, ten nazwał rzecz po imieniu, gdyż krótko mówiąc, towarzystwo zachowywało się tam bezwątpienia nadzwyczaj *osobliwie*... Teraz zaś przystąpimy do sprawy z adresem do n. cesarza i króla.

Mowy tronowéj do sejmu czeskiego wcale nie było, nie było żadnéj wyraźnéj potrzeby wystosowywania adresu do monarchy, nieobecność deputowanych niemieckich powinna była właśnie odwodzić od wszel-

kich tego rodzaju kroków: jest zatém, zdaje się, dość jasném, że młodoczesi postanowili wysłać adres tylko ze względu na swój własny interes, t. j. aby zwrócić na siebie powszechną uwagę. Gdyby im było na prawdę chodziło o co innego, gdyby naprawdę byli przekonani, że nadeszła chwila koniecznéj potrzeby wysłania adresu do cesarza: to musieliby byli sobie powiedzieć przedewszystkiém, że nie mają prawa po temu będąc mniejszością i postaraliby się o pozyskanie dla swego zamiaru reszty grona poselskiego. Tak jednak nie postąpili, ponieważ rachowali na to, że staroczesi ręka w rękę z nimi nie pójdą, że zatém można ich będzie w oczach opinii publicznéj przedstawić, jako pozbawionych zdania serwilistów i ludzi niedbających o dobro narodu, o co właśnie chodziło.

Wskutek tego przeświadczenia, o przyszłym biegu rzeczy, adres został w tak nieodpowiednich wyrażeniach ułożony, że nie możnaby go było przedłożyć nawet sejmowi; niedbalstwo w ułożeniu posunięto nawet do tego stopnia, że główny punkt, tyczący się koronacyi na króla, zupełnie został pominięty.

Cały ten adres, jak zawsze zresztą, gdy występują z czemś młodoczesi, albo raczéj Grégr i jego dziennik, obliczony był na umysłową ograniczoność czytelników „Narodnich listów“, i zawiérał właściwie wszelkie życzenia narodu w ogólnikach, które raczéj temuż narodowi, nie zaś do cesarza miały powiedzieć: „Patrz oto narodzie czeski! O wszystkiém czego pragniesz, musimy my, młodoczesi, pamiętać, ponieważ staroczesi albo zapomnieli, albo pamiętać nie chcą! My jedynie jesteśmy prawdziwymi rzecznikami praw czeskich, my jedynie bronimy ich, a zatém precz z Riegerem i jego partyą!“

To był właściwy cel adresu, istnego środka agitacyjnego. Kto o tém wątpi, niech przeczyta *in extenso* wyrażone o tém zdanie całego sejmu. Krótko to streszczę.

Obrady nad adresem odbywały się 7, 8 i 9 listopada r. z. Wiele polemizowano. Bezwarunkowo najgodniejszą uwagi była mowa Riegera, ponieważ przedstawił on tak jasno lekceważenie czeskich praw przez Niemców, jak nikt dotąd i jakby z pewnością żaden z przeciwnego stronnictwa nie potrafił. Po trzechdniowych debatach uchwalono 113 głosami przeciw 37, co następuje:

„Wysoki sejm krajowy zechce postanowić:

„Uwzględniając, że ani żaden najwyższy reskrypt, ani żaden nadzwyczajny wypadek nie daje sejmowi powodu w téj chwili właśnie zwracać się do monarchy z najpoddańszym adresem, że daléj projekt adresu przedłożony przez posłów dra Juliusza Grégra i dra Edwarda Grégra, wraz z ich stronnictwem, nie nadaje się do przesłania monar-

sze, ponieważ zawiera on kwestye wchodzące w zakres już to poszczególnych korporacyi prawodawczych, już to w zakres odpowiedzialnego rządu, a nadto sformułowany jest w sposób tak niejasny, że tém bardziéj nie nadaje się do przesłania go nieodpowiedzialnemu monarsze;

„uwzględniając, że historyczny rozwój praw czeskich i wysokie ich znaczenie, zwłaszcza gwarancya niepodzielności królestwa, w wyczerpujący sposób omówionemi zostały przez sejm przy odpowiednich okolicznościach, że również potrzeba zharmonizowania istniejących form konstytucyjnych z uroszczeniami płynącemi z tego źródła na legalnéj drodze przedstawioną została, w celu urzeczywistnienia wzniosłych słów najwyższego dyplomu z 20 października 1860 r., głoszących, iż instytucye i ustawy mają być zastosowane do świadomości historycznéj praw i przywilejów ze strony królestw i krajów, do istniejącéj ich odrębności i żądań silnego, niepodzielnego ich związku;

„uwzględniając, że sejm owe swoje prawno-państwowe zapatrywania i przekonania, przy których silnie stoi, i prawne życzenia narodu czeskiego, których tenże dobrze jest świadomym, powtórzył w adresach najpoddaniéj złożonych u stopni tronu w d. 1 grudnia 1866, 23 lutego 1867 i 12 września 1870 i do wiadomości monarchy podał;

„uwzględniając wszystkie te okoliczności i pewny, że n. pan, nasz najłaskawszy cesarz i król, te pełne pokory enuncyacye sejmu w swéj łaskawości nieograniczonéj przyjął, na co wskazuje sprawozdanie deputowanych z łona narodu czeskiego do rady państwa, jako czeskie prawa państwowe łaskawie wzięte zostały na uwagę w najwyższéj mowie tronowéj z 8 października 1879;

„zarazem jednak wyrażając przekonanie, że w teraźniejszéj chwili, wobec trudnych stosunków i naglących zadań państwa, zaledwie byłoby możliwém osiągnąć natychmiastowe porozumienie, aby w myśl najwyższego reskryptu z 20 września 1871 r., dojść do owéj harmonii, zawsze upragnionéj przez nas, pomiędzy podarowanemi przez n. pana wolnemi instytucyami, potrzebami obecnemi i wymaganiami jedności i potęgi państwa z jednéj strony, a z drugiéj strony z żyjącemi w świadomości narodu historycznemi instytucyami, które stanowią podstawę państwa i jako takie, uznane zostały w sankcyi pragmatycznéj w najwyższym patencie z 1 sierpnia 1804 r. i w październikowym dyplomie;

„przekonani, że w lojalném zaufaniu musi być zostawioném mądrości korony obranie chwili, kiedy owo wielkie dzieło będzie mogło być przeprowadzone, trwały osiągając skutek, w myśl znanego n. panu i zawsze najłaskawiéj uwzględnianego życzenia narodu czeskie-

go, który pragnie widzieć swego ukochanego monarchę, ukoronowanym świętą koroną;

„nie uważa sejm ani za potrzebne, ani za pożyteczne, ani za odpowiednie powinnéj dla korony czci i lojalności, uchwalać przedłożony adres i widzi się zniewolonym przejść nad nim do porządku dziennego.“

Ktokolwiek ściśle obiektywnie i bez uprzedzeń tę najnowszą fazę w publiczném życiu narodu czeskiego osądzi, zgodzi się, że przez ten umotywowany porządek dzienny wyzyskano znakomicie ze strony staroczechów przedłożony w prywatnym interesie projekt adresu partyi młodoczeskiéj.

Dr. Rieger wypowiedział świetną mowę o prawach Czechów; w przejściu do porządku dziennego powiedziano wszystko, co się tyczy legalnych dążności narodu.

Gdyby młodoczechom chodziło było istotnie o rzecz samę, byliby po téj rozprawie powiedzieli w dumném poczuciu własnéj wygranéj: „To wszystko jest naszém dziełem! Bez naszego wniosku nie byłaby możliwą ani mowa Riegera, ani przejście do porządku dziennego. Narodzie czeski! nie lekceważ naszych zasług!“

Tak jednak rzetelni, czy, jeśli kto chce, tak sprytni nie byli młodoczesi; zagniewali się tylko małodusznie o nieprzyjęcie ich wniosku i zbyt młodzieńczo gniew ten objawili.

Kiedy marszałek krajowy 9 listopada r. z. ogłosił rezultat głosowania, nastawiona umyślnie młoda publiczność z galeryi taki hałas uczyniła, że musiano kazać galeryą opróżnić, co wywołało znów awantury uliczne. Że takie sceny się dzieją, wié każdy cokolwiek lepiéj obeznany z naszém życiem publiczném; że do takich demonstracyi w Wiedniu i Pradze wciągają młodzież szkolną, nie każdy; że w końcu młodzież ta szkolna odrywaną bywa przez to od swego właściwego zadania, nie ulega wątpliwości.

Ale cóż to wszystko obchodzi egoistyczne, myślące tylko o sobie stronnictwo; cóż to wszystko obchodzi człowieka, który, jak dr. Grégr jest przekonany, że Bóg stworzył naród czeski na jego usługi!... Dr. J. Grégr użył téż rezultatu obrad nad adresem do tego, aby daléj szkalować Riegera i staroczechów, w zwykły swój sposób. a uczynił to z taką pogardliwą wyniosłością dla niezupełnie jeszcze „gregryzowanego“ rozsądku swoich bliźnich, że téj uzurpatorskiéj wzgardzie dla ludzi trzeba hołd oddać należny.

Dr. Grégr ośmielił się w „Narodnich listach“ wystąpić z publiczném oskarżeniem Riegera, że mówił on przeciw przywilejom czeskim i ogłosić staroczechów za zdrajców, ponieważ praw tych się za-

parli i przeciw nim głosowali... Na tém się kończy pierwszy ustęp programu działalności młodoczeskiéj.

Drugi ustęp miał jeszcze więcéj hałasu narobić, aby nietylko cały naród, ale i cała Europa młodoczechom się dziwowała. Znowu nie tyle chodziło o samę rzecz, ile o krzyk, który *à conto* téjże można było podnieść. Sposobność do téj drugiéj awantury sejmowéj dała następująca okoliczność.

Na nowym, monumentalnym gmachu Muzeum znajdują się po czterech stronach pod oknami drugiego piętra czerwone tablice marmurowe, na których wyryto złotemi literami imiona ludzi zasłużonych około sztuki i literatury czeskiéj. Tablic tych jest 68. Imiona te trudno jest odczytać wskutek zbytniéj wysokości. Że pomiędzy temi imionami nie powinno było braknąć imienia mistrza Jana Husa, wszyscy się na to godzą; ponieważ Hus, pominąwszy jego przewrotną działalność, ma tam prawie więcéj jeszcze prawa zająć miejsce, niż Luter u Niemców. Dziwnym sposobem, sejm, z galanteryi dla ultra katolickich magnatów, zabronił imię Husa wyryć na tablicy. Wspaniale wprawdzie przedstawia się postać Husa z północnéj strony gmachu na wypukłorzeźbie wyobrażającéj założenie uniwersytetu w Pradze, nie ma jednak imienia jego na żadnéj tablicy.

Rzecz nie była, jak się należy, i musiała wywołać wrażenie ujemne, tak, jakby wywołało je pominięcie Jungmanna, lub Šafařika. Ostrożność była bezwarunkowo przesadzona, a co do mnie, jestem przekonany, że figurujący pomiędzy 68 innymi Hus, nie byłby wcale dał powodu do zaniepokojenia ludności katolickiéj. Umyślnie go tam jednak nie umieszczono, a to podało młodoczechom sposobność do urządzenia arcydemonstracyi i rozwinięcia arcyagitacyi. Skończyło się na tém, że wydział krajowy postanowił już tablicę z imieniem Husa umieścić na budynku muzealnym.

Młodoczesi nie byliby potrzebowali zaraz całą tę rzecz brać tak ostro, gdyby im było chodziło o rzecz samą, a nie, jak zawsze, o wywołanie głośnego skandalu.

25 listopada 1889, ostatniego dnia obrad sejmowych, urządzili młodoczesi awanturę o Husa, do czego dały sposobność debaty nad budżetem i objęte nim koszta budowy Muzeum. Wszystko byłoby się załagodziło, gdyby młodoczesi chcieli byli dopuścić do załagodzenia; ależ im trafiła się gratka napadnięcia na duchowieństwo katolickie, na szlachtę z niém trzymającą!... Napaść ta wywołała opór ze strony atakowanych i w dniu tym sala sejmowa była widownią gorszących scen bratniego sporu. Na dobitkę zapomniał się młody książę Schwarzenberg, rozgorączkowany szermierką na słowa, i nazwał husytów „ban-

dą rozbójników chciwych mordu“, co czyhającym tylko na sposobność młodoczechom dało powód do wyprawienia piekielnego widowiska.

Wniosek młodoczeski, aby wstawiono tablicę z imieniem Husa, przekazano do załatwienia komisyi budżetowéj’ a dr. Rieger wyraził swe ubolewanie w końcowém przemówieniu, że wzniosła postać mistrza Jana Husa nadużywana bywa w celach stronniczych. Sejm postanowił wotować nad budżetem krajowym.

Agitacya młodoczeska trwała naturalnie daléj i do ostatnich dni 1889 r. trwać nie przestała. Pisma z kraju prowokowano i ogłaszano w „Narodnich listach“, aby dowieść czci narodu czeskiego dla Husa; rozpisano powszechne składki, w celu wzniesieniu „Kolosalnéj statuy Jana Husa“ w środku Pragi; słowem, młodoczesi uczynili wszystko, aby pokazać, że przyszłość cała Czech musi oprzéć na husytyzmie. Wobec tego trudno jest nie uwierzyć, że pono dr. J. Grégr został pozyskany przez Niemców, dla skompromitowania dążności czeskich; szeroko o tém mówiono. Dziś, u schyłku stulecia XIX, ma być dla Czechów rękojmią przyszłości odświeżenie husytyzmu!...

Historyczny husytyzm z XV wieku, ma dwie nader charakterystyczne cechy: 1) fanatyzm religijny, 2) zawziętą nienawiść narodową.

Gdzież mamy szukać w naszym praktycznym wieku XIXreligijnego fanatyzmu i jakżeż mamy godzić na Niemców wewnątrz naszego kraju w obliczu potężnego cesarstwa niemieckiego. A cóż zostanie z husytyzmu historycznego po odjęciu tych dwóch głównych czynników? Możnaby na to pytanie odpowiedziéć: Niebezpieczna zabawka dla chciwych czynu młodoczechów! Niestety cała ta rzecz grozi nam wielkiém niebezpieczeństwem.

Mamy w Czechach blisko 100,000 ewangelików (augsburskiego i helweckiego wyznania), co nie jest wcale korzystném dla nas wobec aspiracyi wielkoniemieckich. Lepiéj byłoby bezwątpienia, gdyby cały kraj był katolickim. Tymczasem występują młodoczesi ze swoją agitacyą husycką, która bardzo łatwo może odwieść ludność wiejską od katolicyzmu. Jeśli się to zaś stanie, przewidziéć można, że odstępcy nie utworzą gminy husyckiéj, lecz przyłączą się do ewangelików. Najwyższy patron protestantów, cesarz niemiecki, z ukrytém zadowoleniem patrzéć będzie na wzrost liczby ewangelików, nad którymi czuwać musi w Czechach, a „Stowarzyszenie Gustawa Adolfa“ znajdzie jeszcze więcéj sposobności do rozdawania zapomóg pieniężnych; cesarstwo niemieckie tém więcéj osiągnie powodów do troszczenia się o królestwo czeskie i pewnego pięknego poranku możemy z niemałém zdumieniem przekonać się, jako neo-husytyzm z 1889 r. był tylko zwiastunem germanizacyi narodu czeskiego.

Ale, nie oglądając się na wszystkie możliwe wypadki w przyszłości, spojrzyjmy na naglące potrzeby obecnéj chwili.

Mówimy ciągle (my staroczesi mianowicie) o konieczności zgody z Niemcami i wewnętrznego pokoju.

Zgoda z Niemcami i młodoczeskie extrawaganacye!...

Po pierwsze: z kim mają się Niemcy ugadzać? z staroczechami, czy z młodoczechami? Pierwsza ogromna zawiłość.

Po drugie: co myśli człowiek o ugodzie z Niemcami, który usposobiony jest do husytyzmu młodoczechów?

Ale sprawy ugodowe będą podjęte w wiedeńskiém ministeryum pomimo wszystko. Ze strony Niemców będą obecni: dr. Schmeykal, dr. Hallwich, p. Plener, br. Scharschmidt, dr. Schlesinger i hr. Oswald Thun; z czeskiego obozu zaproszono: marszałka krajowego ks. Jerzego Lobkowica, dra Riegera, hr. Ryszarda Clam-Martnica, dr. Mattusza, hr. Kinsky'ego i Otokara Zeithammera.

Partyi młodoczeskiéj nie uwzględniono zupełnie. Dr. Grégr wyraził wprawdzie w swoim dzienniku nadzieję, że młodoczesi zawezwani zostaną do obrad ugodowych z Niemcami i że bez nich są one niemożliwe do podjęcia; ale pomimo to nastąpią one już 4 stycznia 1890 r. w Wiedniu. Z tego powodu czytamy w „Narodnich listach" z 29 grudnia:

„Pan dr. Rieger z trzema swymi przyjaciółmi sposobi się do podróży do Wiednia, aby zadość uczynić życzeniu rządu i wziąć udział w naradach z Plenerem i jego zwolennikami nad przeprowadzeniem śmiesznego i niemożliwego pomysłu podzielenia królestwa czeskiego na dwa okręgi krajowe, niemiecki i czeski, nad zniszczeniem tysiącoletniéj jedności administracyjnéj i utworzeniem podwójnego prawa, korzystnego dla Niemców, szkodliwego dla Czechów."

Tak pisały „Narodni listy", gdy Grégr nie otrzymał zaproszenia do Wiednia, nie pojmując, jak zwykle, wymagań większości dobrze myślącéj.

Czegóż możemy się spodziéwać po tych obradach, podjętych na wyraźne życzenie cesarskie? W każdym razie tylko czegoś dobrego, choćby nie zupełnego załagodzenia politycznego sporu narodowego, i co prawda, dobrego tylko w granicach możliwości przy obecnym stanie rzeczy, przy coraz większém oziębieniu stosunków czesko-niemieckich. Będzie to jednak bądź-co-bądź pożytecznem, jeśli z obu stron inteligentni ludzie rozważą, co powodowało i powoduje niesnaski na ziemi czeskiéj. Takie omówienie rzeczy pod przewodnictwem rządu, który nie życzy sobie dalszych sporów, pod egidą monarchy, który najuroczyściéj wyrzekł, że jego państwo powinno wziąć w opiekę prawa wszystkich wcielonych w nie ludów: nie może bezwarunkowo nic pogorszyć, a może coś poprawić.

Wszystko, co było zaporą do pożądanéj obustronnie ugody, nie może być w Wiedniu mile widziane i brane w rachubę. Tylko, jeśli Niemcy postanowili, ziszczając idee wielkoniemieckie, Austryą poświęcić, muszą konsekwentnie baczyć na to, że egzystencya Czechów ogromną tu będzie przeszkodą i że ugoda z Czechami musiałaby być w takim razie wykluczoną całkowicie.

Jeśli zaś Niemcy uznają prawo monarchii austryackiéj do istnienia, jako państwa zwierzchniczego i samodzielnego obok cesarstwa niemieckiego: to mogą *eo ipso* uznać prawo istnienia królestwa Czeskiego, nie potrzebują uważać go za przeszkodę w planach na przyszłość i stosownie do powszechnie przyjętych zasad humanitarnych XIX-go stulecia narodowe równouprawnienie pojmować nie jako obrazę ich własnéj wyższości, a stąd do rzeczywistéj ugody nie jest już zbyt daleko.

Bardzo byłoby odpowiedniém, gdyby protokóły obrad wiedeńskich stenografowano i ogłaszano. Czy tak się stanie? Jeśli nie, to w każdym razie my nie bądźmy przeszkodą w tym kierunku.

Spodziewam się, że w krótkiém *Post scriptum* główny rezultat obrad wiedeńskich z 4-go stycznia będę mógł podać. Dziś, w końcu r. 1889, pragnę jeszcze to powiedzieć, że my Czesi, my staroczesi, szczerze i uczciwie życzymy sobie zgody z Niemcami. Pragniemy pokoju wszędzie i przekonani jesteśmy, że on nastąpić musi. Pewném jest, że inteligencya ogólno-ludzka wzrasta. Im więcéj zaś ta inteligencya wzrasta, tém mniejszą musi się stawać liczba indywiduów, które się dadzą prowadzić za nos każdéj, choćby najniezręczniejszéj agitacyi.

Lecz i do rządu trzeba się jeszcze zwrócić. Morawski deputowany dr. Žáček mówił o tych stosunkach na posiedzeniu izby poselskiéj 13 grudnia 1889 r. co następuje:

„Tworzenie się radykalnych elementów zawsze jest pewnym dowodem, że się nie uczyniło zadość prawdziwym potrzebom narodu. Objaw taki u Czechów tylko wtenczas jest zrozumiałym, gdy się zważy, że rząd w Pradze nie uwzględnił słusznych, politycznych, materyalnych i gospodarczych żądań narodowych, jak był powinien. Niech sobie rząd weźmie to za przestrogę na przyszłość, że nie można bezkarnie ignorować żądań, które nietylko przez posłów, ale i przez sam rząd uznane są za słuszne, że nie można nieoględnie wydawać przepisów, jątrzących lud, jeśli się nie chce dojść do podobnych rezultatów. („Bardzo słusznie!“ z prawicy). Spodziewam się jednak po Czechach, że skoro rząd życzenia ich i żądania spełni, którym słuszność przyznaje nietylko rząd, ale i opozycya, powierzą oni reprezentacyą swoją tym rozsądnym elementom, którym szczerze zależy na pomyślności interesów narodowych i na sharmonizowaniu ich z interesami całego

państwa. Panowie (do lewicy niemieckiéj) widzicie miłém okiem rozdwojenie narodowéj partyi czeskiéj, opieracie na niém swoje spekulacye i myślicie, że powrócicie do izby sejmowéj, jako zwycięzcy i panowie, gdy się te obie partye nawzajem do szczętu zjedzą; co do mnie jednak, jestem przekonany, że patryotyzm i rozsądek Czechów nie·dopuści do tego tryumfu."

Do tych zacnych słów mogę tylko z całego serca dodać: Amen!... Co prawda, przy nadchodzącym nowym roku, wobec zbliżających się wypadków, nadzieja nasza bardzo jest niepewna. Otwartą toczymy walkę w własnym naszym domu, a zawieramy pokój z sąsiadami. Czyż ten sąsiad nie powié, że właściwie nie wié, z kim ma zawrzéć pokój?

Praga, 31 grudnia 1889 r.

Dr. Gablez.

P. S. Czynności ugodowe pomiędzy Niemcami a Czechami rozpoczęły się w Wiedniu 4 stycznia r. b. i trwały włącznie do niedzieli 19 stycznia. Nie jest już dziś tajném, że podjęto je na wyraźne życzenie cesarza i że odbywały one istotnie *sub auspiciis imperatoris.* Wszystko skierowane było ku temu, aby zbliżyć ze sobą uczestników obrad, co dawało rękojmią pomyślnego rezultatu; wyprawił tedy cesarz obiad dla nich, potém zaś prezydent ministrów, hr. Taaffe, oraz wszyscy biorący udział w sprawie ministrowie (hr. Schönborn, br. Gautsch, mrgr. Bacquehem, br. Prażak) wreszcie i ks. Schönburg. Konferencye odbywały się codzień, nawet w niedzielę, i trwały nieraz po cztery godziny. Wszystko, co uradzono, chowano w tajemnicy; krótki tylko buletyn powiadamiał każdodziennie publiczność o postępach obrad. W niedzielę 19-go stycznia wszyscy członkowie konferencyi podpisali protokół zawierający powzięte postanowienia; protokół ten brzmi:

„Zaproszeni przez j. eksc. p. prezesa ministrów, uczestnicy konferencyi zobowiązują się stanowczo występować wobec swoich politycznych stronnictw za przyjęciem powziętych uchwał, tworzących jednę całość, a przez c. k. rząd zatwierdzonych, szczególniéj zaś zobowiązują się niemieccy współuczestnicy konferencyi na podstawie tychże uchwał i w przypuszczeniu, że przyjmą je wszystkie reprezentowane na konferencyach stronnictwa, postawić wniosek, aby posłowie z ich obozu powrócili do sejmu."

„Uchwały te zostaną przedstawione w Pradze d. 26 stycznia 1890 r. ze strony uczestników konferencyi ich politycznym stronnikom, 27 zaś stycznia w popołudniowych dziennikach będą opublikowane. Do tego czasu ma być treść uchwał niewyjawianą. Jak tylko polityczni stronnicy uczestników konferencyi uchwały te przyjmą, co rozstrzygnie się 26 stycznia, stają się one obowiązującemi dla wszystkich stronnictw i c. k. rządu.

Ponieważ pomyślny przebieg czynności ugodowych pozwalał przypuszczać, że Niemcy, mieszkający w Czechach, odstąpią od dotychczasowéj stanowczéj opozycyi przeciw zamierzonéj na r. 1891 wystawie krajowéj, zwołał rząd na dzień 23 stycznia trzydniowe posiedzenie sejmu, aby tenże uchwalić mógł subwencyą krajową dla urządzających wystawę, co się téż stało.

W niedzielę 26 stycznia odbyło się w Pradze pięć zebrań, w celu przyjęcia do wiadomości uchwał zapadłych w Wiedniu: 1) česky klub poslanců národni strany (staroczesi), 2) klub poslanců narodni strany svobodomyslné (młodoczesi), 3) klub deputowanych niemieckich z miast, gmin i izb handlowych (liberalni i radykalni ściśle zwartego stronnictwa), 4) klub tak zwanéj historycznéj szlachty (staroczesi), 5) klub wiernokonstytucyjnéj szlachty (Niemcy).

Wszyscy, z wyjątkiem młodoczechów, jednomyślnie przyjęli uchwały wiedeńskie.

W klubie młodoczeskim wielu było za odrzuceniem wszystkiego; rozsądniejsi jednak przeprowadzili uchwałę odroczenia, albo, jak może nie bez słuszności mówiono, uchwałę z kłopotu, i „Narodni listy“ z d. 27 stycznia obwieściły swoim czytelnikom, że klub młodoczeski przekaże do sprawozdania uchwały konferencyi wiedeńskiéj pięciu sekcyom klubowym i że sam klub na mającém się odbyć późniéj zgromadzeniu generalném da swoje *votum* co do nich i *votum* owo poda do wiadomości publicznéj.

Każdy musiał być przygotowanym na to, że młodoczesi, niezaproszeni do wzięcia udziału w naradach ugodowych i czujący się przez to mocno obrażonymi, nie powiedzą wprost: „Zgoda!“ na uchwały staroczeskich przywódców; że mogą to i owo krytykować w tych uchwałach, nikt nie zaprzecza, że jednak nic a nic nie mogą zmienić w nich, nie ulega również najmniejszéj wątpliwości, a jeśli się zważy, że ugodę wiedeńską masa narodu czeskiego przyjęła z jednomyślną radością i że szczególniéj w kołach przemysłowców i kupców powitano ją z wielkiém zadowoleniem, że daléj rząd, o czém wiem ze źródeł autentycznych, postanowił bezwzględnie, z wszelką energią i z pomocą wszelkich środków prawnych, wystąpić przeciw jakiemukolwiek zamachowi na dokonane dzieło pokojowe: nie można przypisywać znaczenia zamierzanéj może akcyi młodoczechów przeciw ugodzie.

Podam dziś w kilku tylko słowach treść uchwał czesko-niemieckich i zakończę ogólnym poglądem, zachowując sobie na przyszły list bliższe omówienie bezsprzecznie nader ważnego przedmiotu, tem bardziéj, że *primo:* 19-go lutego wypowiedziéć ma swe zdanie sejmik stronniczy niemiecki w Cieplicach co do uchwał wiedeńskich; *secundo:* rząd

ma przedłożyć sejmowi czeskiemu różne projekta do praw, wynikające z postanowień konferencyi; *tertio:* mający się zebrać w maju 1890 r. sejm ugodowy (jak się już teraz nazywa) wykończyć ma ostatecznie przeprowadzone dzieło pokojowe.

Protokół ugodowy zawiera 11 punktów, albo kwestyi spornych, co do których porozumieli się w Wiedniu Czesi i Niemcy.

I. Rada szkolna krajowa składać się będzie teraz z sekcyi niemieckiéj i czeskiéj pod wspólném przewodnictwem.

II. Szkoły mniejszości otwarte będą z subwencyą krajową tam, gdzie znajduje się 40 dzieci jednéj narodowości, a rodzice od 5 lat należą do gminy, albo tam, gdzie znajduje się 80 dzieci, a rodzice 3 lata należą do gminy, Zakłada je starostwo, a nie, jak dotąd, gmina.

III. Krajowa rada kultury składać się będzie z sekcyi niemieckiéj i czeskiéj pod wspólném przewodnictwem, przez co upada „związek centralny rolników niemieckich,“ założony przeciw krajowéj czeskiéj radzie kultury.

IV. Utworzenie nowéj (czeskiéj) izby handlowo-przemysłowéj we wschodnich Czechach, odłączając okręgi czeskie od niemieckiéj izby handlowéj w Reichenbergu.

V. Rewizya ordynacyi wyborczéj izby handlowéj. Dotychczasowa ordynacya wyborcza szkodliwa była dla Czechów.

VI. Odgraniczenie okręgów sądowych według narodowości mieszkańców.

VII. Zarządzenia w wyższym sądzie krajowym w Pradze. Sąd podzielony będzie na 2 sekcye, niemiecką z 15 radców i czeską z 26 radców. 15 radców niemieckich nie potrzebuje władać językiem czeskim, od radców czeskich wymaga się znajomości języka niemieckiego.

Przeciw temu punktowi występowali najostrzéj młodoczesi. Co do mnie, sądzę, że nieszczęście nie jest tak ogromne; zdaje mi się, że niedługo niewielu będzie w Pradze radców, nie znających zupełnie języka czeskiego.

VIII. Obsadzenie sądów I instancyi. Rządowi przydzieloną zostaje władza rozstrzygania w tym względzie kwestyi językowych.

IX. Rewizya rozporządzeń językowych—(z 19 kwietnia 1880 r.) — zostaje wziętą na wzgląd po dokładném odgraniczeniu okręgów sądowych (vide VI). Niemcy żądają zniesienia jéj.

X. Prawo tyczące używania języków krajowych w urzędach autonomicznych, postanowione na ostatnim sejmie, zostanie na nowo rozpatrywane na najbliższém posiedzeniu sejmowém, w którém wezmą udział i deputowani niemieccy.

XI. Rewizya ordynacyi wyborczéj sejmowéj i utworzenie narodowych kuryi. Rząd przedkłada obecnemu sejmowi ugodowemu projekt ustawy wyborczéj dla kuryi z wielkich posiadłości i przedstawia projekt ustawy dla ogólnéj reformy wyborczéj sejmowéj. Sejm, podzielony obecnie na trzy kurye (z wielkich posiadłości, deputowani z miast i izb handlowych, deputowani z gmin), podzielony będzie na trzy kurye (niemieccy deputowani, czescy deputowani, posłowie z wielkich posiadłości). Każdéj kuryi przysługuje prawo *veto*.

Jeśli się punkta I, III, VII uzna za korzystne dla Niemców, to z drugiéj strony II, IV, V, a zwłaszcza XI są stanowczo korzystne dla Czechów. VI, VIII, IX, X spoczywają w rękach rządu. Wszystkie zatém działające czynniki uzyskały coś dla siebie podczas konferencyi wiedeńskich.

Wiedeński, ministeryalny „*Fremdenblatt*“ z 28-go stycznia 1890 r. odzywa się o ugodzie w następujący sposób:

„Czesi mogli przystać na wszystko, czego żądali Niemcy, bez upokorzenia, bez zaparcia się, i zyskali raz na zawsze gwarancyą dla siebie, któréj im już nic odebrać nie może! Wprowadzili zgodę do kraju, wywalczyli dla społeczeństwa czeskiego zupełnie inne stanowisko w świecie cywilizowanym niemieckim i w świecie Niemcom przyjaznym. Postawili téż szczep swój na pewnych nogach i obwiedli się palisadą, któréj żadna austryacka ręka nie poważy się nadwerężać. Wicher i fale polityki napróżno w przyszłości uderzać o nią będą, a pomyślność Czechów nie będzie już zależała po większéj części od politycznego słońca, które wschodzi nad Wiedniem. Równouprawnienie jest i dla Czechów prawdą i niewzruszoną pewnością.

Zgadzam się z tém wszystkiém najzupełniéj i mówię: Amen!

Czy narodowy spór w Czechach stanowczo się skończył?

Nie sądzę, i jestem prawie przekonany, że będzie trwał daléj, ale w innéj formie, niż dotychczas. Gdybym chciał zwięźle wskazać właściwe znaczenie dzieła ugodowego, powiedziałbym, że należy go szukać w urzędowém uznaniu i poszanowaniu praw narodowych ze strony Niemców i rządu, co nastąpiło wskutek wyraźnego życzenia jego cesarskiéj mości.

W najbliższym liście pomówię szczegółowiéj o ugodzie.

Praga, 30 stycznia 1890 r.



SNY LUDZKOŚCI.

II.

Niedorzeczności.

W gaiku tuj, cyprysów, pomarańcz i granatów, na ławce siedzą rzędem urodziwe w strojach XV wieku niewiasty. Przed niemi młodzian w długiéj haftowanéj szacie, smyczkiem po strunach skrzypiec pociągając, wtóruje harfiarce śpiewającéj pieśni Boccacia. Po nad tą szczęśliwą, uśmiechniętą grupą, bujają w powietrzu, z pochodniami hymenu w ręku, skrzydlate amorki.

Wszystko: kwiecisty kobierzec, eteryczne w powietrzu bujające postaci, uśmiechnięte oblicza, słodkiéj sieście oddanych biesiadników, wszystko to zdaje się tchnąć roskoszą olimpijskiego, niczém nie zamąconego bytu. Ale niestety, na skrzydłach nietoperza, zbliża się stara, o rozwianych włosach, z ogromną kosą w ręku, ohydna czarownica. Pod nią na ziemi stos trupów: królowie, królewny, księżniczki i książęta, prałaci i kardynałowie, rycerze i szlachta. Żebracy o kulach, wznosząc dłoń ku owéj straszliwéj postaci, dają jeszcze znak życia.

Nad tém wszystkiém o zwierzęcych głowach i brudnych skrzydłach nietoperza szatani, aniołowie o niebiańskich fizyonomiach i orlich skrzydłach mieszają się wzajemnie, unoszą przeznaczone im ciała zbawionych i potępieńców, walczą o nie i wzajemnie wydzierają je sobie.

Dalej z łowów powracająca, przesuwa się konno królewska drużyna. Na czele stary król na koniu, obok niego młodziuchna królewna, w swéj drodze zatrzymani widokiem rozwartych grobowców, obnażających kościotrupy królów i królewien, szkaradnemi, wijącemi się wężami i robactwem toczonych. Tuż obok piętrzą się skały, na jednym z ich szczytów pustelnia. Tu i owdzie ptaki olbrzymich rozmia-

rów, z kraterów skał buchają płomienie, do których szatani zaciągają i wrzucają dusze potępionych.

Byłbyś w błędzie, czytelniku, sądząc, że to wszystko jest snem tylko.

Bynajmniéj. Przytoczony opis jest wiernem powtórzeniem rzeczywistości, bo na płótnie pędzlem i ołówkiem utrwalonego pomysłu mistrza Andrea Orcagna, dziełem epokowém, znaném pod nazwą: Tryumfu śmierci.

Wszystkie opisane powyżéj sceny na jedném płótnie umieszczone, przed oczyma widza, jak senne przesuwają się marzenia.

Jak na obrazie Orcagna, tak samo we śnie zmieniają się ustawicznie sceny. We śnie widzimy świetnie przystrojoną salę balową, znajdujemy się wśród rozochoconéj karnawałowéj rzeszy, uszy nasze pieszczą dźwięki walca; w tém, nagle słyszymy pogrzebowe pienia, sala balowa zamienia się w okamgnieniu na kirem zasłaną przedpogrzebową kaplicę, jaśniejące w kryształowych pająkach świéce, jakby za sprawą sztuki kuglarskiéj, w oczach naszych zmieniają się w smętnie gorejące gromnice i pochodnie. Zajeżdża karawan, na który sami wsiadamy w strój balowy przybrani.

W wygodném posłaniu puchowém spoczywa o zaokrągloném, równowagę sił duchowych cechującém obliczu filister i śni, że pod ramię ująwszy Hanibala, wspina się z nim na niedostępne szczyty tatrzańskie. Poeta snów, dziecko wolności, urzędowemi gardzący zaszczytami, widzi się w wojskowym, ze złocistemi epoletami uniformie, na piersi dla wolności oddychającéj, ciążą jak kamienie gwiazdy i ordery.

W senném marzeniu widzimy także, jak na dachu sąsiedniego domu, jakby po chodniku, spacerują różne postaci, lub téż konno harcujących huzarów, toczące się rydwany, zaprzężone w rącze rumaki.

Nieprawdaż, co za niedorzeczności!

Co za niedorzeczności, tylko we śnie możliwe, powtarzamy sobie po ocknieniu ze snów takich, powtarzamy sobie to, dopóki nie sięgniemy myślą do — historyi sztuki.

Historya sztuki przekona nas, że tylko sennym marom przypisywane niedorzeczności, są nieodłącznym warunkiem artystycznego tworzenia. Aby dowieść téj prawdy, po kolei będziemy rozpatrywali dzieła sztuki malarskiéj, rzeźbiarskiéj i architektonicznéj przez świat cały za arcydzieła uznane.

Przegląd nasz zaczniemy u samego źródła sztuki europejskiéj: od Egiptu.

Płaskorzeźba na pilonach Teb i Karnaku przedstawia bitwę, którą Egipcyanie pod wodzą Ramzesa II staczają z Syryjczykami.

Postać króla na rydwanie, w dwa rącze rumaki zaprzężonym, stojąca, przeszło trzy razy większa od innych otaczających monarchę osób, na płaskorzeźbie przedstawionych. Taka sama logika proporcyi, a raczéj brak jéj zupełny, jest znamienną cechą historycznego malarstwa egipskiego i rzeźby egipskiéj. W płaskorzeźbie Karnaku, Seti I dzierży w ręku maczugę, która za chwilę spaść ma na głowy u stóp króla klęczących jeńców wojennych, o połowę niż król mniejszego wzrostu. Obraz zdobiący grobowce w Medinet-Abu, przedstawia procesyonalny pochód Ramzesa III. Niewolnicy znowu o połowę mniejszego wzrostu, niż król i królowa, których lektykę unoszą.

W rzeźbie i malarstwie assyryjskiém, lubo takich horrendów skali nie widzimy, ale za to skrzydlate o ludzkich brodatych głowach i byczych tułowiach dziwotwory, niby lwy skrzydlate, w zupełności zastępują naiwnie pojętą skalę utworów egipskich.

Przejdźmy teraz do Hellady, do téj ojczyzny i świątyni piękna, do téj artystycznéj Mekki kultu piękna, do tego ogniska, zestrzelającego wszystkie aspiracye artystów, badaczów i dyletantów, do tego nieprzebranego źródła, zasilającego spragnionych artyzmu.

Rzeźbiarskie postaci bóstw, jak to już nam wiadomo, w naturze nigdy nie istniały, nie istnieją i, istnieć nie będą. Podobnie jak asyryjska, rzeźba heleńska stworzyła dziwaczne fantazye: centaurów, lapitów, trytonów i nimfy najrozmaitsze. Bóstwo opiekuńcze, światłooka Atena, przybrane w chlamidę, któréj zwój każdy przedstawia wijącą się żmiję.

Rzymska sztuka najtrzeźwiéj rzeczy przedstawia.

W sztuce romańskiéj, np. w katedrze w Modenie (XII w.) płaskorzeźba przedstawia uśpionego na wielkim kamieniu Adama, z którego boku Bóg wyprowadza pierwszą towarzyszkę mężczyzny. Obok tego widzimy Adama i Ewę, stojących pod drzewem wiadomości złego i dobrego. Tłem tego rajskiego obrazu, romańska kolumnada, wspierająca szereg kolistych arek sklepiennych, podobno, jak tego chce historya sztuki, w pierwotnéj siedzibie człowieka zupełnie nieznana.

Mikołaj Pisano odtwarza na płaskorzeźbie zdobiącéj katedrę w Siennie, aż trzy sceny, nie troszcząc się bynajmniéj o to, że współcześnie one miejsca mieć nie mogły. W środku obrazu, na łożu, rzymski sarkofag przypominającym, spoczywa Najświętsza Panna. Dwie kobiece postaci klęczą obok naczynia, w którém stoi Dzieciątko Jezus. Na drugim planie betleemska stajenka, ze żłobem, mieszczącym nowonarodzonego Jezusa, otoczonego skrzydlatymi aniołami. Zaraz obok nawiedzenie Maryi przez Elżbietę. Narożnik zaś obrazu zapelniony

jakąś architekturą, któréj styl rozpoznać trudno, w każdym razie ani rzymski ani hebrajski.

Kilkakrotne téjże saméj postaci powtarzanie na jednéj płaszczyźnie obrazu, widzimy znów w rzeźbie Ghiberti'ego.

Na obrazie Bernardino Luini: Ofiarowanie Jezusa w Świątyni, architektura ma czysto włoski charakter. Na ostatnim planie, w ramę arkady ujęty krajobraz z renesansowym kościołkiem. Przed nim Najświętsza Panna z Jezusem u łona, odbywa podróż z Betleem do Egiptu.

Przypatrzmy się teraz kostiumom i akcesoryom i wogóle otoczeniu, na obrazach za arcydzieła uznanych.

Na obrazie Zwiastowanie Donatella, tło stanowi architekturę renesansową. Na obrazie zaś Ghirlandaya Narodzenie Maryi, komnata udekorowana w stylu włoskiego renesansu. Wzdłuż kwadratowych filarów, korynckiemi zaopatrzonych kapitelami, wije się ornamentacya w czysto włoskim stylu. Ściany podzielone na kwatery, wypełnione ornamentacyą. Na tabliczkach na ścianach pozawieszanych, czytamy włoskie napisy. Przez fryz biegnie grono wesołych rzeźbionych amorków, z lirami, harmoniami i tacami owoców w rękach. Z boku kominek typowo włoskiéj konstrukcyi. Wszystkie postaci i akcesorya obrazu utrzymane ściśle w stylu XV wieku.

Mistrz Stefan na swym obrazie, znajdującym się w katedrze kolońskiéj, stroi Trzech Królów, hołd Jezusowi składających, w stroje XV wieku. Ich kaftany z wylotami, kontusze, miecze saraceńskie, trójkątne ze śpiczastemi daszkami kapelusze, przez biodra lite, haftowane, drogiemi kamieniami wysadzane pasy z trójkątnemi *à la Margueritte* zwieszającemi się torebkami, w odpowiednim stylu utrzymana architektura, to wszystko drobny anachronizm, dający się w cyfrze wyrazić: 1400 lat.

Zaślubiny Aleksandra z Roksaną Antonia Bazzi, odbywają się we wspaniałéj renesansowéj komnacie. Na łożu pod baldachimem na czterech koryncknich kolumnach wspartym, w zaniedbanym stroju siedzi Roksana, do któréj Aleksander ramiona wyciąga, w ręku trzymając koronę. Nad, pod i około baldachimu fruwają, to znów żwawo uwijają się całe zastępy skrzydlatych amorów.

Domek na tle obrazu Dürer'a Marya z Dzieciątkiem, wprost ze średniowiecznéj Norymbergi do Betleem przeniesiony. Józef z Arymatei, na obrazie tegoż mistrza Złożenie do Grobu, przystrojony w kostium XVI wieku i kapelusz formy cylindrycznéj.

Poważny Hans Holbein także niewiele troszczy się o logikę. Jakób Mayer, burmistrz Bazylei, na obrazie Adoracya Maryi przed-

stawiony, otoczony dwiema małżonkami: jedna, nieboszczka klęczy obok żyjącéj małżonki Mayera, bynajmniéj trwogą swéj sąsiadki nie przejmując.

Współbiesiadnicy Uczty Szymona Paolo Veronese'a, są w kostiumie i otoczeniu XVI wieku.

Chrzest Chrystusa v. d. Weyden'a, odbywa się w gotyckim kościele, Sąd Kambizesa David'a w gotyckiém otoczeniu, a osoby w strojach flamandzkich.

Wogóle mistrzowie holenderscy i niemieccy znani są z tego rodzaju anachronizmów i niekonsekwencyi. Dość przytoczyć dzieła Holbeina, Dürera, Rembrandta, Gerbandta v. d. Eeckhout'a.

Francuzi pod tym wzdlędem Niemcom, Włochom i Holendrom w niczém nie ustępują. Krajobraz M. Poussin'a, znajdujący się w Luwrze, przedstawia włoską okolicę, na któréj ostatnim planie widzimy fortyfikacye zamku Św. Anioła w Rzymie. Na pierwszym planie tego rzymskiego ze średniowieczną architekturę krajobrazu, na kamieniu siedzi Orfeusz, mając lirę w ręku śpiewa, u stóp jego siedzącéj Eurydyce.

Nieraz téż, jak we śnie, widzimy na obrazach sobowtóry samych autorów dzieł np. na obrazach Dürer'a.

Cudowne zjawisko, Najświętsza Panna z Dzieciątkiem, dzieło mistrza z Urbino, chórem głów cherubów wyłaniających z nieba swe boskie twarzyczki otoczona, ukazując się św. Sykstusowi, stoi na bardzo chwiejnym gruncie kłębiących się obłoków, ukazuje się to zjawisko z po za przed chwilą rozsuniętéj firanki. Zwyczajna więc tylko firanka oddziela siedzibę błogosławionych od ziemskiego padołu, powié widz, tak zw. trzeźwą logiką obdarzony.

Zasłonę taką możnaby jeszcze usprawiedliwić, ale któż wytłómaczy niezwykłe zgromadzenie, przez Rafaela do Szkoły ateńskiéj zwołane?

Pod okrągłém sklepieniem téj świątyni wiedzy, jakby za sprawą czarów, gromadzą się postaci otchłanią czasu oddzielone. W środku stoi Plato i Arystoteles, tuż Sokrates, Ptolomeusz, daléj nieco stryj Rafaela—Bramante, obok niego sam mistrz we własnéj osobie ze swym nauczycielem Perugino. Plato i Perugino — w jednêm zgromadzeniu!

To już nie dwuznacznie przypomina wędrówkę współczesnego nam człowieka z Hanibalem, którego pod ramię ująwszy, prowadzi po Tatrach śniegiem pokrytych.

Przypomnieniem żywém snów, jest także układ sam obrazów jak u wielu mistrzów widzimy.

U Dosso-Dossi, Moretto, Bognacavallo postaci układają się zawsze w doskonałéj, ale w naturze niemożliwéj symetryi W Śmierci

Ananiasza Rafaela, wszyscy téj tragicznéj scenie obecni, padając do tego stopnia symetrycznie się układają, że tę umiarowość jednostajne oddalenie od osi głównéj obrazu, możnaby zapomocą cyrkla nakreślić. Najlepiéj wyćwiczona armia, najzręczniejsi, w karności utrzymani teatralni statyści, na dany znak reżysera, nie byliby w możności takiego manewru wykonać.

W Adoracyi Baranka Bożego braci Jana i Huberta v. Eyck, widzimy na środku ołtarz Baranka Bożego, wokrąg którego grupują się nadzwyczajnie symetrycznym wieńcem zastępy aniołów. Tak samo grupują się prałaci, patryarchowie, męczennicy i męczenniczki na obrazie przedstawieni. Przed ołtarzem fontanna wytryskuje w liniach krzywych do tego stopnia symetrycznych, że raczéj za dzieło architekta od cyrkla nakreślone może być uważana, niż za dzieło malarskie, z natury odtworzenie.

To są jednak wszystko drobnostki w porównaniu z dziełem Leonarda da Vinci: Wieczerza Pańska, która w biały dzień ma miejsce!

Z kolei wypadałoby nam wstąpić do świątnicy sztuki polskiéj. Wypadałoby wykazać Matejce, Siemiradzkiemu i całemu zastępowi mistrzów polskich, przez nich spłodzone niedorzeczności, ale odkładamy to do drugiéj części następującego rozdziału.

Ten, według tak zwanéj chłopskiéj logiki, obraz niedorzeczności, zakończymy fryzem Muzeum berlińskiego, dzieło Kaulbacha.

Przez całą długość tego fryzu przebiega w kształcie wijącéj się falistéj linii ornament, z gałęzi którego tu i owdzie wyrastają jak owoce z drzewa tułowia dziecięcych postaci. Na jednéj z takich gałęzi siedzi chłopczyk, to Prometeusz. Trzyma w ręku posążek niemowlęcia. Z po za gałęzi wychyla głowę dziewczynka w hełmie Ateny. Daléj, jak kwiaty w śród liści wyskakują pęknięte jaja, z jednego wydostaje się na świat chłopiec, z drugiego dziewczynka, czynią wrażenie wykluwających się piskląt. Pod gałęzią historyczna niedźwiedzica karmi Romulusa i Remusa. Na zakończenie, z liści wyrastają popiersia dzieciaków, mających w ręku kości, któremi walczą, jakby zabójczemi maczugami.

Jestto istna parodya życia, maskarada, nieprawdopodobieństwo, we śnie widziany obraz.

Wszystkie rzeźbiarskie pomniki są pełną pomnikową niedorzecznością, mówi tak zwana zdrowa logika.

Weźmy pierwszy lepszy tego rodzaju utwór, za arcydzieło uznany, np. pomnik Fryderyka II w Berlinie.

Na niedostępnych dla człowieka stopniach, wznosi się piedestał

na trzy główne podzielony kondygnacye. Na czterech węgłach tego piedestału spiralne konsole stanowią grunt dla konnych posągów: ks. Ferdynanda Brunświckiego, ks. Henryka Pruskiego, oraz generałów Ziethena i Seidlitza. Bardzo to niewygodne dla tych bohaterów miejsce, o ich bohaterskiéj odwadze świadczące, wygodniejsze i bezpieczniejsze jednak niż postaci na wielkim gzymsie pomnika umieszczonych. Czynią one wrażenie lunatyków po dachu wędrujących. Gdybyż to przynajmniéj autor pomnika był pomyślał o poręczy chroniącéj te postaci od śmiertelnego skoku, który im co chwila grozi!

Tak zwana zdrowa i trzeźwa logika nigdy nie wyjaśni, jakim sposobem wszystkie te postaci zdołały dostać się na gzyms ośm stóp po nad poziom ulicy wzniesiony. Trudniejszą jeszcze do rozwiązania, zagadką, sama postać króla, który konno wskoczył na szczyt piedestału na 25 stóp wysokiego.

Niełatwém było także zadanie Piotra W., który na swym ognistym bucefale wskakuje na granitową, śliską skałę, sterczącą na Senackim placu w Petersburgu.

Albo téż podziwiać musimy Zygmunta III, który ze swego, zbyt niebezpiecznego posterunku, od dwóch wieków przeszło, na lud warszawski spogląda.

Sądząc, że przytoczone fakta dostatecznie przekonywają o bliskiém pokrewieństwie, łączącém senne z malarskiemi, rzeźbiarskiemi fantomami, słów kilka na zakończenie wypada poświęcić sztuce architektonicznéj.

Nie będziemy powtarzali wszystkich niedorzeczności architektury Indów, uczyniliśmy to już poprzednio.

Przejdziemy więc do innych mar sennych w świecie architektonicznym.

Kapitele kolumn egipskich ukształtowane na wzór papirusu, palmy, lotosu; inne znów tego rodzaju architektoniczne organa, w tymże stylu, mają kształt kobiecéj głowy, na któréj wsparty pilon; lub téż całe kolumny w postaci człowieka ukształtowane. Atoli, ani roślina wprost z gruntu wyrwana, ani tembardziéj głowa człowieka, lub téż cała jego postać, bynajmniéj nie jest zdolna do podpierania ciężaru. Udowadnianie téj prawdy byłoby zbyteczne, nielogiczność sama przez się widoczna. Perski kapitel utworzony jest z dwóch ze sobą tułowiem zrośniętych byków.

W stylu zaś, który stał się wzorem wzorów po wszystkie czasy i wieki, niewzruszony kanon twórczości architektonicznéj, z samych prawie niekonsekwencyi się składa. Mam tu na myśli architektonikę helleńską.

Najprzód trzy stopnie na których wznosi się świątynia dorycka, stopnie, jako na kilka stóp wysokie, niedostępne dla człowieka.

Nad temi stopniami wznosi się rząd kolumn cylindrycznych, każda kilkanaście razy wyżłobiona, co oczywiście osłabia moc organów, których przeznaczeniem dźwiganie pokrycia budowli. Błąd więc przeciw zwykłéj logice: stopnie tak wysokie, że na nie człowiek stąpić nie jest w możności, obok tego błąd przeciw wrodzonemu, nader prostemu poczuciu konstrukcyi, albowiem wyżłabianie wzdłuż kolumny tylko ją osłabić może. Kolumny zakończone kapitelem, który swym krzywolinijnym konturem, przez swą elastyczną krzywiznę, jakby spłaszczony jest pod działaniem ciężaru na nim spoczywającego. Zauważmy jednak, że kapitel ten wyciosany z twardego kamienia, a jak wszystkim wiadomo, kamień pod działaniem wielkiego ciężaru, może nawet na proch być zmiażdżony, nigdy jednak jako ciało nieelastyczne, z prostokreślnego na krzywolinijny przeobrażanym być nie może.

Nareszcie to arcydzieło sztuki helleńskiéj, trójkątnym zakończone frontonem, t. j. dwuspadkowym daszkiem, co jest bardzo racyonalne. Ale cóż pod tym trójkątnym dachem, co robią pod strychem bogowie Hellady?

Narożniki trójkątnego frontonu świątyni zakończają skrzydlate o ludzkich lub zwierzęcych głowach sfinksy i gryfy, lub téż ludzkie postaci, którym przeznaczono miejsce na szczycie budowli, błądzą one jakby lunatycy niespokojnemi dręczeni snami.

Takie niedorzeczności są regułą architektury helleńskiéj.

W Partenonie, posąg Ateny głową sufitu dotyka, a siedząca postać Zeusa w Olimpii, gdyby powstała, głowęby o belki kamienne sufitu rotrzaskać musiała. Posąg Ateny na ateńskim akropolu większe ma rozmiary na wysokość, niż sama świątynia na cześć tego bóstwa wzniesiona.

Na szczytach świątyń rzymskich i łuków tryumfalnych, rydwany w cztery rumaki zaprzężone, wprost przypominają głupi sen o huzarach, co po dachu sąsiedniego domu konne odbywają musztry.

Na bizantyńskich, perskich i nowszych budowlach Indostanu, dach zamiast być dwuspadkowym, kształt najracyonalniejszy, jeżeli chodzi o odprowadzenie wód deszczowych, zakończony czopkami w kształcie cebuli.

O senném pochodzeniu architektury maurytańskiéj, mówiliśmy w poprzedzającym rozdziale.

W architekturze ostrołukowéj, cała flora i fauna, nic nie ma wspólnego z celem budownictwa: pokryć i odgraniczyć przestrzeń, aby tym sposobem zabezpieczyć człowieka od zmian klimatycznych. Wąt-

pić jednak należy, czy temu zadaniu zadość czynią, jak koronka przezroczyste (*sic*) zakończenia wież w Burgos, Strasburgu, lub kościoła wotywnego w Wiedniu.

Te same niedorzeczności powtarzają się we współczesnéj nam architekturze.

Szczyt teatru w Berlinie zakończony posągiem Apollina, z lirą w ręku, umieszczonego na rydwanie, ciągnionym przez dwa skrzydlate o ptasich głowach gryfy. I to jest epokowe dzieło, utwór Karola Fryderyka Schinkel'a, któremu w naszych czasach wskrzeszenie istotnego poczucia piękna powszechnie jest przypisywane.

Na dach szczytowy, czyli fronton gmachu Nowéj-Opery w Paryżu, dzieło Karola Garnier'a, znakomitego architekta, jednego z grona czterdziestu Instytutu Francuskiego, na dach ten wskoczył Apollo, którego przecież właściwém miejscem nie szczyt dachu, ale szczyty olimpijskich wysokości.

Gottfryd Semper, najuczeńszy, najgłębszy myśliciel, jakich imiona historya sztuki zapisała, błędów podobnych, podobnych horrendów tyle w życiu swém spłodził, że nawet wyliczyć ich niepodobna!

Schody nieprzystępne dla człowieka zwykłego wzrostu, kolumny których moc rozmyślnie osłabiono, kapitele w kształcie zrośniętych ze sobą zwierząt, kamienne, jak gutaperka albo stal, elastyczne kapitele, postaci bóstw pod strychem umieszczone, inne znów po dachu odbywają harce, — wszystko to chyba w połączeniu z niedorzecznościami, przez malarzów i rzeźbiarzów spłodzonemi, dostateczne, aby nie jednę tylko, ale tysiąc i jednę noc, najdziwaczniejszemi zapełnić sennemi marzeniami.

Moglibyśmy nie jeden jeszcze dowód przytoczyć, stwierdzający wspólność sennych i artystycznych marzeń, ich nielogiczność, ale wolimy czytelnikowi zniecierpliwionemu têm na ideały ludzkości targaniem się, pokazać odwrotną stronę medalu téj zoilowéj krytyki.

III.

Logika marzeń.

a) Prawa kojarzenia są organiczną nicią snów i artystycznych utworów. — Stapiapianie oddzielnych cech wytwarza idealne typy, stwierdzenie tego za pomocą doświadczenia Galtona. — Dobroczynny daltonizm postrzegania i reprodukowania wrażeń.

Władza umysłu naszego, na mocy któréj zdolni jesteśmy reprodukować wrażenia, jest mar sennych i artystycznych tajemną ojczyzną.

O téj wspólności pochodzenia z jednego źródła wrażeń estetycznych, jakich nam sny i dzieła sztuki dostarczają, przekonał nas krótki przegląd identycznych warunków, wśród których marzenia senne i style sztuki powstały.

Czysta atmosfera, pobudzenie wrażliwości wzroku, odpowiednio odbiły się w plastycznych snach Hellena. Pół-zmrok, brak wzrokowych spostrzeżeń, zastąpienie ich umysłowemi wrażeniami, wydały zawikłane, wielce złożone, mnóstwem szczegółów najeżone gotyckie katedry, z całym zastępem rzeźbiarskich fantomów.

Pod brzemieniem na wszystkie zmysły działających potęg przyrody, wpływów atmosferycznych, widoków przepełnionych nadzwyczajném bogactwem fauny i flory, powstały szalone sny Indów.

Przegląd ten, jak również cały szereg w poprzedzającym rozdziale przytoczonych płodów względnéj niedorzeczności, w dziedzinie rzeźby, malarstwa i architektury, jest dowodem łączności sennych i artystycznych marzeń. To w ogólnych zarysach wykazane pokrewieństwo sprawdza się także w szczegółach.

Nicią organicznie łączącą spostrzeżenia, reprodukowane w snach i artystycznéj twórczości, są prawa kojarzenia.

Jak wiadomo, prawo to polega na tém, że pobudzona fantazya wysnuwa z siebie cały szereg obrazów, nie będących ze sobą w widocznym, bezpośrednim związku. Tak np. pieśń kiedyś słyszana, późniéj w lat kilka znowu powtórzona, może nam żywo dawno minioną uprzytomnić chwilę. Barwy względnie do symbolizmu, jakie im przypisujemy, wywołać mogą uczucie i obraz smutku, czy też wesela. Kiedy pomyślimy o jakiéj miejscowości, bezpośrednio nasuwa się wyobraźni inna okolica z nią granicząca, zamieszkujące tę okolicę osoby, krewni tych osób, ich znajomi i tak bez końca.

Widok Termopilów przenosi fantazyą artysty do kraju, *...gdzie widmo nadziei—Dla małowiernych serc podobne snowi.* (Słowacki).

Takie szybkie kojarzenie myśli, dla któréj ani czas, ani przestrzeń nie istnieje, jest sennych marzeń charakterystycznem znamieniem.

Radestock, w wymienionem już kilkakrotnie dziele, przytacza mnóstwo przykładów snów, w których rozmaite wyrazy, a zatém i pojęcia, nieskrępowane wymaganiami logiki, ze sobą się kojarzą. Przykład takiego kojarzenia we śnie w tłómaczeniu przytaczam.

„Maury (imię własne), idąc szosą, na kamieniu drogowym czyta wyraz *kilometr*. Nagle znajduje się on na wozie handlarza korzeniami, który kładąc na szale *kilogramy*, aby zważyć Maury'ego, mówi do niego: pan nie jesteś w Paryżu, tylko na wyspie G i l o l o."

Ze zwyczajnéj drogi bitéj, przez kamienie *kilometrowe, kilogramowe* wagi, Maury drogą kojarzenia dostają się na wyspę Gilolo.

Atoli takiemu kojarzenia podlega umysł nietylko podczas snu. Na jawie kiedy znajdujemy się w stanie nawpół czynnym, nawpół sennym, kiedy unosi nas t. zw. marzenie, lub téż, gdy nie chcemy utrzymać na wodzy inercyi fantazyi, wtedy w mgnieniu oka na skrzydłach fantazyi przebiegamy olbrzymie odległości czasu i przestrzeni.

Ostatecznym wynikiem kojarzenia jest w jedną całość stapianie oddzielnych spostrzeżeń przez fantazyą przyswojonych.

Podczas snu w wyobraźni naszéj przesuwają się krajobrazy, których jednak nie widzieliśmy w naturze, typy w przyrodzie nie istniejących zwierząt, lub téż ludzkich postaci, osób zupełnie nam nieznanych.

Po uważniejszym jednak rozbiorze tego rodzaju obrazów, przychodzimy do wniosku, że we śnie widziane postaci czy téż krajobrazy, złożone są z części tu i owdzie na jawie widzianych. Na tego rodzaju krajobrazy składa się, z takiéj okolicy dąbrowa, z innéj znów góra lub strumień, gdzieindziéj widziany. Postaci człowieka we śnie widzianego, uprzytomniającego nam znane lub nieznane osoby, nie są podobne do istniejących w naturze, nie są ich fotograficzném w fantazyi naszéj odbiciem, ale pewien typ pośredni przedstawiają. Dobrze nam znane osoby, które we śnie nam się zjawiają, niby do swych żyjących wzorów podobne, a jednak od nich różne. Tak samo w każdém innéin sennéin zjawisku. Krajobrazy np. mają pośredni charakter, nie należący wyłącznie do téj lub owéj okolicy, do tego lub owego przedmiotu; ale są stopieniem cech należących do kilku krajobrazów, do kilku osób, do kilku przedmiotów, które na jawie postrzeganie nasze silniéj uderzyły.

Stąd właśnie pochodzi owa nieokreśloność sennych obrazów. Mówimy, że widzieliśmy we śnie tę lub owę znaną nam osobę, ale w zupełnie odmiennéj postaci.

Zakrawałoby na paradoks zdanie takie, nie wytrzymałoby może ono najlżejszéj krytyki, gdybyśmy sami takich sprzecznych w swéj istocie wrażeń nie doznawali. Bo, że obszar podobny do pewnego pierwowzoru, ale zarazem niepodobny do niego, nie uwierzy, kto nigdy takich halucynacyi sam nie doświadczył.

Ta znamienna cecha płodów we śnie pogrążonéj fantazyi, jest jedném z najsilniejszych ogniw, łączących senne z artystycznemi marzeniami, i tego pokrewieństwa rzeczywistym dowodem.

Nawet psychologia, która tylko w ogólnych zarysach tłómaczy istotę sztuki, jako przykład ideału estetycznego podaje cen-

taura, t. j. zjawisko powstałe ze stopienia głowy i popiersia człowieka z końskiém tułowiem.

Fantazya artystyczna, jak w senném marzeniu, dwa kształty do siebie nie należące stapia w jednę całość. Wspólnym i bezwiednym celem, do którego senna i artystyczna fantazya zdąża, stapianie w jednę całość tu i owdzie pozbieranych części; a to dla zadośćuczynienia potrzebie dobitnego wytłómaczenia sobie w plastycznych obrazach uczuć, gęstą zasłoną tajemniczości osłoniętych, które nas dręczą smutkiem lub rozkoszą łechcą.

Stapianie więc oddzielnych cech jest nicią przewodnią sennéj artystycznéj fantazyi.

Takie krajobrazy, jak: Rembrandt'a, Ruysdael'a, M. Poussin'a i K. Lorrain'a, w przyrodzie nie istnieją.

Takich postaci człowieka, jak w helleńskiéj rzeźbie, nigdy w rzeczywistości nie było, niéma i nie będzie. Zeus olimpijski Fidyasza zespala w sobie spokój, jak wieczność cichą, boską pogodę ducha, niezrównaną siłę, która przez samo brwi zmarszczenie grom na świat sprowadza. Atoli ta postać władcy bogów jest tylko człowiekiem, starcem, ze zgrzybiałością nic nie mającym wspólnego. Cały boga-bogów olimpijski orszak, to postaci ludzkie, na świecie nie widziane. Wszystkie znamiona téj lub owéj postaci właściwe, zatarte w dziełach Fidyasza i Praksytela. Bóstwo i zwykły śmiertelny w jednem ciele stopieni, gdzie jednak tego połączenia granica, tego podobno nikt oznaczyć nie zdoła.

Że celem sztuki idealizowanie, że idealizowania tego osnową utworzenie postaci, która w naturze nie istniejąc, z naturą w ścisłém pokrewieństwie zostaje, tę prawdę oddawna na drodze umysłowéj spekulacyi nauka stwierdziła.

Stwierdziła więc ona bezwiednie organiczną łączność sennego i artystycznego marzenia.

Co jednak dotąd drogą rozumowania stwierdzono, dziś potwierdza proste fizyczne doświadczenie, dzięki pomysłowości psychologa Galtona.

Wszystkim wiadomo, że czas pozowania przed fotograficznym aparatem osoby, któréj chcemy zdjąć fotogram wielkości kartki wizytowéj, wynosi *minimum* 60 sekund. Poddając więc kliszę fotograficzną działaniu światła przez znacznie mniejszy przeciąg czasu, np. 3 sek., śladu na niéj nie otrzymamy. Atoli, jeżeli przed objektywem aparatu kolejno umieszczać będziemy 12 osób, każdą zatrzymując po 3 sek, wtedy otrzymamy tym 12-tu osobom typ wspólny, podobny do każdéj z nich

wziętéj oddzielnie, a jednak nie będący portretem żadnéj z pozujących osób.

Mam przed sobą próby takich doświadczeń, wykonane przez p. Artura Batut w Paryżu. Są to fotografie zdjęte z natury. Jedna z takich tablic daje zbiór fotografii siedmiu kobiet, mieszkanek Montagne-Noire, kobiet wcale nieurodziwych.

Przez stopienie tych siedmiu fotografii, sposobem, o którym powyżéj, p. Batut otrzymał typ pośredni, podobny do każdéj z pozujących osób.

Inna znów tablica przedstawia zbiór fotogramów, mężczyzn i kobiet, które razem fotograficznie stopione, w rezultacie dały typy nieporównanie piękniejsze od fizyognomii osób, które do wykonania doświadczenia posłużyły.

Kilka np. szpetnych, z głupowatym wyrazem twarzy mężczyzn lub kobiet, dają twarze o zupełnie poprawnych rysach.

Po bliższém i uważném przypatrzeniu się rysom typu, tym sposobem otrzymanego i po porównaniu go z oddzielnemi portretami, które do wytworzenia go posłużyły, przyszliśmy do wniosku, że w typowym portrecie utrwalone zostały tylko te rysy twarzy poszczególnych osób, które są ich najbardziéj charakterystyczném znamieniem. I tak, jeżeli np. linia brwi, oddzielająca czoło od oczodołów, powtarza się we wszystkich oddzielnych fizyognomiach w jednakiéj krzywiźnie, krzywa ta będzie widoczną także w typowym portrecie. Małe, o nie wyraźnych konturach oczy, znikają w typowym portrecie, natomiast utrwalonemi zostają te, które odznaczają się wyrazistością rysunku i barwy. Pomiędzy rozmaitemi owalami, kolejno przed aparatem pozujących osób, wytwarza się *sui generis* kompensata, w rezultacie dająca owal idealny, średniéj pomiędzy poszczególnemi owalami krzywizny. Kilka typów niekształtnych nosów zbyt opuszczonych lub zadartych, za pomocą fotografii w jedną całość stopione, dają „poprawny rysunek“ téj części twarzy.

Tym sposobem można wykazać, że typowy portret jest estetyczną składką cech znamiennych fizyognomii osób, które posłużyły do otrzymania typowéj fizyognomii.

Fizyognomia taka mogłaby być zatém istnym ideałem rysów pewnéj rodziny, rasy, albo téż typu ogólno-ludzkiego: bogów Hellady.

Inicyator owego doświadczenia, Galton, ze zlania sześciu medali Aleksandra W., w Muzeum Brytańskiém się znajdujących, otrzymał nieporównanie piękniejszy profil, niż te, które oddzielne medale przedstawiają. Takimże sposobem otrzymany typ Kleopatry, według

pięciu rozmaitych wzorów, dał obraz kobiéty o pięknych, w naturze nie widzianych rysach.

Opisane fizyczne (fotograficzne) doświadczenie, plastycznie, jak na dłoni, wykazuje rzetelność prawa, do którego drogą rozumowania doszli estetycy. Przekonywa ono, że w typowym portrecie pozostają tylko linie i rysy znamienne, wszystkim osobnikom wspólne.

Proces, jaki się odbywa na kliszy fotograficznéj, jest istną walką o byt sił potężniejszych ze słabszemi, cech wybitniejszych z mniéj znaczącemi. Że taka walka, takie pokonanie cech drugorzędnych przez cechy główne, wytwarza ideał typu, jest jego osnową, udowodnił Taine w swéj rozprawie: „O ideale w sztuce." Do téj więc pracy znakomitego estetyka odsyłamy czytelnika, któryby chciał sprawdzić rzetelność naszych wywodów.

Fotografia jednak nigdy nie zastąpi artystycznéj twórczości. Najprzód bowiem do wytworzenia idealnego typu trzebaby dobrać do tego ideału zbliżone postaci. Najdelikatniejsza bowiem zmiana rysów twarzy w porównaniu z ideałami, które nam historya sztuki przekazała, karykaturę ich sprowadza. Témbardziéj, układ oddzielnych figur w artystyczny całokształt, myśl twórcza, żadną miarą za pomocą takiego „*mixtum compositum*" nie da się zastąpić.

Fotograficzne więc doświadczenie, które nam dało typ idealny, jest zarazem jednym z licznych dowodów, że fotografia nigdy sztuki nie zastąpi.

Atoli, przytoczone doświadczenie obok poglądowego wytłómaczenia istoty ideału sztuki, *per analogiam*, wyświetla proces fantazyi twórczéj.

Już sama zdolność reprodukcyjna stanowi analogią z procesem, odbywającym się w fotograficznéj ciemnicy..

Wyobraźnia plastyczna, którą nasz umysł obdarzony, jest istném zwierciadłem, w którém odbijają się zebrane spostrzeżenia. Prawa sennemi marzeniami rządzące najlepiéj to tłómaczą.

Ktoś komunikuje mi sen, który przytaczam:

„Przez miejski rynek, w środku którego wznosi się budowla krużgankami otoczona, przesuwa się w jednego nędznego konia zaprzężony ubogi karawan, bez zwykle towarzyszącego pogrzebowego orszaku. Zdjęty żalem, chcę odprowadzić zwłoki biedaka na miejsce wiecznego spoczynku, ale egoistyczne uczucie gdzieindziéj myśl moję zwraca, gubię bowiem swoję ulubioną laskę i—w tém się budzę."

„Części składowe snu tego—mówi taż sama osoba — były reprodukcyą wrażeń doznawanych przez kilka dni, sen poprzedzających. Wrażenia te jednak odbiły się w odwrotnym ich następstwa porządku.

W wigilią snu bowiem długo zastanawiałem się nad budowlą, którą we śnie widziałem, dnia poprzedzającego przejął mnie pogrzeb ubogiego, a na trzy dni przedtém zgubiłem laskę, którą potém we śnie widziałem. Ostatnia scena snu, epizod zgubienia laski, było najdawniejszém, doznaném wrażeniem, rynek miejski najświeższém w wigilię snu doznaném wrażeniem, tymczasem scena z laską była kulminacyjnym punktem snu.

W przytoczonym więc śnie, który bynajmniéj za produkt indywidualnéj fantazyi uważany być nie może, wrażenia odbiły się, jak przedmioty na powierzchni zwierciadła. Najprzód więc odbicie przedmiotu najbliższego zwierciadła, potém daléj umieszczonych.

Po wyjaśnieniu podobieństwa, jakie istnieje pomiędzy zwierciadlanemi lub téż w *camera obscura* odbitemi obrazami, a w umyśle naszym reprodukowanymi, powracam do właściwego przedmiotu niniejszego rozdziału: postrzegania cech znamiennych zjawisk i stapiania ich w idealne całości.

Wiadomo, że przez czas dłuższy powtarzane czynności, ze sfery woli w sferę sił naturalnych przechodzą. Z początku tkanki nerwowe przystosowują się z trudnością do pewnych ruchów, po długiém jednak ich ćwiczeniu stają się podatnemi i wytwarzają ruchy z mechaniczną łatwością, przystosowują swą budowę [1]).

Im więc działanie siły częściéj się powtarza, lub téż im jéj natura potężniejszą, tém trwalsze i bardziéj znamienne w umyśle pozostawia ślady. Są to niby w mózgowych komórkach odciski, które zewnętrznym bodźcem pobudzone, występują w postaci reprodukowanego w fantazyi obrazu.

Psychologia wskazuje dwa warunki takiéj reprodukcyi: czas trwania, albo co na jedno wychodzi, wybitność cechy postrzeganego zjawisku.

Ten psychologiczny pewnik ilustruje znów doświadczenie fotograficzne, o którém powyżéj. Światło działające na kliszę fotograficzną w przeciągu 3 sekund, pozostawia tylko wtedy ślady, jeżeli to działanie będzie 12 razy powtórzone, czyli jeżeli pewien rys, pewien punkt twarzy u pozujących osób 12 razy się powtarza. Siły, czy téż rysy znamienne fizyognomii walczą tu wzajemnie. Jeżeli pomiędzy 12-ma osobami pewien rys powtarza się dajmy na to ośm razy, to osoby tym znamiennym obdarzone rysem nad czterema pozostałemi odniosą zwycięstwo. Jeżeli, dajmy na to, tym wspólnym ośmiu osobom rysem,

---

[1]) Porówn. „Psychologią Murray'a."

są oczy, to na typowym portrecie oczy te będą więcéj przypominały wyraz pierwszych ośmiu, niż następnych czterech.

Podobny proces przyswajania cech wybitnych, ogólnie panujących w pewnéj grupie zjawisk, musi odbywać się w umyśle artysty.

Jego fantazya instyktowo, bezwiednem gnana poczuciem, jak skrzydlaty motyl przebiega z kwiatu na kwiat, przyswajając sobie to, co najpożywniejsze, omijając trujące lub niepożyteczne dla odżywiania pierwiastki.

Do dziś widzimy jeszcze w Grecyi i we Włoszech typy ludzi, pięknością swą przypominających arcydzieła klasycznego dłuta i pędzla.

W braku świadectw pisanych, ten empiryczny dowód procesu analizy i syntezy, jaki odbywa się w umyśle artysty, musi się za wystarczający uważać.

Natomiast historya sztuki średniowiecznéj dostarcza pod tym względem mnóstwo zarówno żywych, jak piśmiennych dowodów, stwierdzających, że postaci dłuta i pędzla téj epoki, są średniowziętym typem ludności, pośród któréj artysta wzrósł i tworzył [1]. Nie są to jednak niewolnicze osób żyjących portrety, jeno idealizowane obrazy, typy. „Im większy artysta — mówi Taine — tém potężniéj ujawnia temperament swéj rasy,“ dodajmy, tém bardziéj czuły na zewnętrzne wpływy.

Czém się jednak dzieje, że w jedném i tém samém otoczeniu pewne osobistości przyswajają sobie z postrzeganych zjawisk, tylko tych zjawisk charakterystyczne znamiona i tym sposobem idealne stwarzają typy, inne znów osobistości, przyswajając sobie tylko drugorzędne cechy zjawisk, mierne produkują twory.

Pierwszą kategoryą typów nazywamy konstytucyami artystycznemi. Na czém polega tego rodzaju konstytucya, tego nauka dotychczas ściśle nie wyjaśniła. Nie wyjaśniła téż procesu plastycznéj produkcyi w tak dobitny i dotykalny sposób, jak np. fizyologia, tworzenie się obrazów na siatkówce oka. Można bowiem anatomicznie za pomocą skalpelu mózg badać, ale ani skalpel, ani chemiczna analiza, ani mikroskop nie uwidoczni tworzenia się idealnych postaci w wyobraźni artysty, nie wytłómaczy stopienia oddzielnych wrażeń w jednę typową całość.

Tylko więc przez porównanie ze zwierciadlaném odbiciem i fotograficzną ciemnicą, w przybliżeniu wyjaśnić można tworzenie się idealnych obrazów w umyśle artysty.

Przez porównanie też wytłómaczyć możemy, dlaczego taki umysł

---

[1]) Porówn. Viollet-le-Duc'a: *Dictionnaire*, VIII, str. 117 i. d.

przyswaja sobie cechy znamienne rzeczy widzianych, dlaczego znów te cechy w innym umyśle śladu nawet nie pozostawiają. Porównanie to może na pierwszy rzut myśli będzie się zbyt materyalistycznem wydawało.

Jak wiadomo, na fotograficznéj kliszy utrwalić możemy tylko kształty, nie zaś barwy, gdy tymczasem zwyczajna *camera obscura*, kształty i barwy reprodukuje.

Na tym opierając się fakcie, łącząc go przytém z fotograficzném doświadczeniem Galtona, przychodzimy do ogólnego wniosku, że podobnie jak te dwa przyrządy, z których pierwszy tylko czuły na kształty, drugi zaś na kształty i barwy, tak samo pewne indywidua obdarzone zdolnością przyswajania sobie takich cech, inne znów z cech drugorzędnych.

Zdanie to opieramy na właściwéj pewnym rasom zdolności do kształtowania, innym znów do poczucia kolorytu, jednych do takiego rodzaju, innych znów do wprost innego rodzaju wrażeń estetycznych.

Hellenowie, obok nadzwyczajnéj, z neuropatyą graniczącéj wrażliwości poczucia kształtów, poczucia po tysiąckroć stwierdzonego, mało byli obdarzeni wrażliwością i puczuciem w zakresie barw. Mógłbym na udowodnienie téj prawdy historycznéj przytoczyć pstrokaciznę polichromii świątyni, rzeźby i kostiumów helleńskich, ale to już zbyt znane dowody, wolę więc poprzestać tylko na wywodach lingwistów. Pomiędzy nimi Hugo Magnus lingwistycznie dowodzi, że zmysł odróżniania barw wyrobił się z biegiem czasu. Dowodzi on, że przed 4,000 czy 5,000 lat, przed naszą erą, człowiek odróżniał tylko: białe i czarne (światła i cienie). Angielski premier, Gladstone, znakomity znawca Homera, wykazuje, że barwy niewyraźnie są określone w Iliadzie i Odyssei.

Z drugiéj znów strony teorya Tomasza Younga wyjaśnia nam istotę tego braku poczucia pewnych barw, wyjaśnia istotę daltonizmu, kalectwa oczu, wskutek którego nie można odróżniać pewnych barw.

Według teoryi Younga, siatkówka oka składa się z trzech rodzajów włókien. Jedne z nich przyjmują tylko wrażenia barwy zielonéj, inne fiołkowéj, inne znów czerwonéj. Otóż, przy zaniku jednego gatunku włókien, indywiduum tém kalectwem dotknięte, nie jest zdolne spostrzegać barwy temu włóknu odpowiadającéj. Jeżeli np. nastąpi zanik włókien zielonych i niebieskich, albo też w przewadze czułości jednego gatunku włókien nad innemi, odpowiednio do takiego patologicznego stanu włókien, spostrzeganie barw odnośnych stanie się niemożliwém. Przy nadczułości zaś jednego rodzaju włókien np. czerwo-

nych wszystkie przedmioty będą się nam wydawały, jakby na czerwono zabarwione, lub też mające odcień téj barwy.

Nim jednak z téj teoryi odpowiednie wyciągniemy wnioski, zastanówmy się przed tém nad budową innego zmysłu, który podobnie jak oko gra w sferze estetycznéj pierwszorzędną rolę. Tym zmysłem jest słuch, który w głównéj skali doskonale odróżnia fale poszczególne. Podobnie jak pryzmat, promień światła, ucho roszczepia falę akustyczną. Odbywa się tu taki sam proces, jak w strunach fortepianu. Jeżeli przed fortepianem wyrzucimy z piersi pewną nutą, dźwięk ten, fala ta na wszystkie struny instrumentu działając, jednę z nich tylko wprowadzi w odpowiednie sympatyczne drganie. Każda bowiem struna dokonywa procès naturalnego doboru odpowiedniéj jéj nuty, przyswaja ją sobie, jak umysł pewne tylko wrażenia z pomiędzy wielu doświadczonych wrażeń. Wyrzucona nuta *a* wprowadzi tylko w drganie jéj odpowiadającą strunę.

Instrument więc złożony tylko z pewnych strun, będzie na inne dźwięki zupełnie nieczuły. Możemy więc łatwo wyobrazić sobie instrument w rodzaju harfy eolskiéj, tak zbudowanéj, aby tylko harmonijne, mile brzmiące reprodukowała dźwięki.

Widzimy więc tu jedność budowy oka i ucha. Jak pierwsze tak i drugie może być dotknięte d a l t o n i z m e m, może nie być zdolne do przyswajania sobie pewnych dźwięków i barw. Nerw akustyczny, jak to mikroskop wykazał, jest zakończony około 3000 włókien. Tak zwane fibry Cortiego są jakby strunami maleńkiego fortepianu.

Jedność budowy mechanizmu oka i ucha, pozwala nam wnosić, że jak dla barw i dźwięków, tak samo dla postrzegania kształtów istnieć musi *sui generis* d a l t o n i z m.

Pewne indywiduum zdolne jest do przyswajania sobie takiego rodzaju cech znamiennych, inne znów zdolne do przyswajania cech innego rodzaju.

Konstytucya artystyczna więc musi być tylko na cechy główne zjawisk wrażliwa; konstytucya taka, przyjmując do świadomości tylko to, co stanowi główną charakterystykę rzeczy widzianych, odrzuca ich drugorzędne, mniéj znaczące cechy.

Atoli pomiędzy pewną liczbą w danéj grupie powtarzających się cech, te jako znamienne uważać musimy, które powtarzają się największą liczbę razy. Są one wyrazem największéj siły, która zwalcza inne słabsze siły, które stały się w danéj grupie zjawisk panującemi. Doświadczenie Galtona wyjaśnia to sposobem poglądowym.

Dar postrzegania u artystów musi być właśnie obdarzony owym *sui generis* d a l t o n i z m e m, na mocy którego fantazya artysty zdolna

jest do przyswajania sobie tylko cech znamiennych; daltonizm taki czyni postrzeżenie artystyczną fantazyą niezdolną do postrzegania cech drugorzędnych, które do jego wyobraźni, że tak rzec można, nie przystają.

Życiorysy znakomitych artystów powyższe wywody ilustrują.

O Benvenuto Cellinim mówi Taine: „Podobne ciało i dusza zdają się być wykute z granitu lub porfiru, podczas gdy nasze ulepione z kredy lub gipsu“.

Kréda i gips wszystko w siebie wsiąka, gdy tymczasem granit i porfir podlegają tylko potężnym siłom; słabe działanie śladu na nich nie pozostawia.

Wogóle, gwałtowność, krewkość temperamentu, nadzwyczajna odporność jest właściwością jaźni mistrzów odrodzenia.

Osobliwie w dziełach Michała Anioła widoczną jest gwałtowność uczuć, niezwalczona wola, wrażliwość tylko na te objawy formy, które potężnéj siły są symbolem. Dość wymienić tu Mojżesza, Jeremiasza, postaci z olbrzymiemi rękoma i nogami, o nadzwyczajnie rozwiniętéj muskulaturze, z olbrzymiemi brodami. Dawid jest starożytnym gladyatorem. Nawet Bambino na posągu Madonny, silny jak efeb spartański. Głowy dłuta Michała Anioła, jak w starożytnéj rzeźbie, proporcyonalnie do muskułów ciała są zbyt małe.

W każdym muskule, w każdym załamku draperyi tkwi ogromna siła. Rysy miękie, drugorzędne cechy fizyonomii, snać jak groch o ścianę rzucony, odbijały się od reprodukcyjnéj wyobraźni twórcy tych dzieł potężnych.

Inne cechy charakterystyczne Michała Anioła, jednostronność jego wrażliwości, *sui generis* duchowy daltonizm, nadczułość dla jednych, obojętność znów zupełna dla innych wrażeń, ilustrują znów teoryą powyżéj wyłożoną.

Twórca Mojżesza i rzeźb grobowca Medyceuszów, był wrażliwy do zbytku, nieśmiały nawet, w sobie skupiony, towarzyskie małostki do tego stopnia go krępowały, że nigdy nie mógł się zdobyć na przyjęcie u siebie gości. „Ludzie niezwykli — mówi Taine — skupiają się w sobie, nie mogąc rozwinąć się nazewnątrz, z powodu ciasnego otoczenia. Od pierwszych chwil młodości Michał Anioł był nieprzyjacielem licznego towarzystwa. Nie znajdował bowiem innéj istoty, któraby mu odpowiadała. Znał tylko miłość dla sztuki, wiedzy i godnéj jego kobiety, zarówno, jak on dumnéj i szlachetnéj, przed którą bił czołem jak przed cnotą niebiańską“.

Te charakterystyczne rysy są wspólne innym mistrzom epoki odrodzenia.

Charakter taki bądź-to człowiek na świat ze sobą przynosi, bądź-to wytwarza w otoczeniu, w którém brak wszelkiéj sprawiedliwości, gdzie zatém sam musi o własnéj obronie myśléć, przyzwyczaja się do silnych i nagłych postanowień i tym sposobem wytwarza temperament sangwiniczny. Sangwinizm zaś osobliwie wpływa na zmienianie obrazów w fantazyi i jest szybkiego kojarzenia, nowych układów macierzą.

W umyśle takich artystów, jak Cellini, uczucia a za niemi w ślad idące obrazy, zmieniają się z kalejdoskopową szybkością. Płacz, śmiech, miłość i nienawiść, wciąż mieszają się w duszy Celliniego.

Wszystkie te cechy charakteru znakomitych artystów, są zarazem znamiennemi cechami stanu duszy, człowieka we śnie pogrążonego. We śnie, jakby w dziecięcym wieku, śmiech z płaczem się miesza. „We śnie jesteśmy wszyscy sangwinikami — mówi Radestock (str. 149). Dzieci téż i sangwinicy śnią żywiéj, niż flegmatycy i melancholicy. Poczas snu, jakby w wieku dziecięcym, myśl nasza z szybkością błyskawicy przelatuje od przedmiotu do przedmiotu, czas ani przestrzeń dla mar sennych nie istnieje. Jest to najszybsze kojarzenie właściwe umysłowi dziecięcemu, właściwe indywiduom obdarzonym t. z. bujną fantazyą, która z nadzwyczajną szybkością od przedmiotu do przedmiotu przeskakuje. Z błyskawiczną téż szybkością odbywa się kojarzenie w umyśle artysty. Poszczególne wrażenia, jakby po drucie telegraficznym przebiegając, w mgnieniu oka stapiają się w artystyczną całość.

Szybkość taką, takie poszczególnych wrażeń stapianie, możemy sobie uprzytomnić przez porównanie ze znaném fizyczném doświadczeniem, według którego, jak wiadomo, oddzielne barwy widma słonecznego na tarczy wachlarzowo rozłożone, dla wzrokowego postrzeżenia, zlewają się w jednę białą barwą. Albo téż, żarzący węgiel do sznurka przytwierdzony, przez szybki obrót opisuje w swych poszczególnych położeniach jednę ciągłą krzywiznę okręgu koła. Poszczególne wrażenia stapiają się tu w jednę całość, a to na zasadzie, jak wiadomo, t. zw. długości wrażenia.

Podobny proces musi odbywać się w umyśle artysty, z tą tylko różnicą, że szybkość obrotu samego punktu świetlnego, szybkość kojarzenia myśli zastępuje. Takie szybkie, jakby po telegraficznym drucie, kojarzenie jest właśnie sennych marzeń organiczną nicią.

Artysta w swéj twórczéj fantazyi nie widzi takiego a takiego kształtu, ale idealną tych poszczególnych postrzeżeń sumę. Im artysta bardziéj zdolny do takich uogólniań, tém genialniejszy.

Ideałem światła dla mieszkańca naszej planety, nie jest żadna z poszczególnych barw widma, ale ich suma, światło białe. Ideałem

kształtu w świecie artyzmu, nie jest to lub owo postrzegane w naturze istniejące zjawisko, ale wspólna pewnéj grupie, najczęściéj powtarzająca się tych zjawisk cecha.

Jak we śnie tak samo wtwórczości artystycznéj dokonywa się zbieranie tu i owdzie rozproszonych cech, w jednę idealną całość. Dzieje się to za pomocą téj zbierającéj soczewki, którą artysta ze sobą na świat przynosi. Przez takie zebranie cech wytwarzają się nie istniejące w naturze zjawiska.

Tworzenie odbywa się zawsze w chwili ekstazy duchowéj, pod wpływem gorączki, stanu do sennego marzenia zbliżonego.

Cellini dostaje gorączki, gdy we Florencyi tworzy swego Perseusza. Tartini tworzy swoję „Dyablą sonatę“ w chwili, kiedy we śnie ukazał mu się szatan. Goethe tworzy swego Prometeusza podczas sennego marzenia. „Co podczas czuwania—mówi on—w dzień spostrzegałem, kształtowało się często podczas snu w sny umiarowe; a z chwilą otworzenia oczu, zjawiały się mi nowe cudowne całości“.

O Rafaelu mówią, że jego Madonny, są kombinacyą stu pięknych widzianych kobiét.

Jean Paul twierdzi, że Rafael miał już w wyobraźni swój ideał, który w każdym razie we śnie widziéć musiał. Brierre de Boismont wspomina o malarzu, który z pamięci malował portret osoby raz tylko w życiu widzianéj, poczém wpadł w obłąkanie. Schopenhauer, Purkyńe i Wundt jeszcze daléj idą, dowodząc identyczności snu i obłędu [1]).

Benvenuto Cellini miał wizye, ukazywała mu się: Matka Boska, Chrystus i niebo z całym orszakiem. Coleridge zapewnia, że we śnie ułożył swój poemat Kubla-Khan [2]).

Tak tedy, przychodzimy do założenia na początku niniejszego rozdziału postawionego, że organiczną nicią, podstawą i źródłem powstawania sennych i artystycznych obrazów jest szybkie kojarzenie.

Kojarzenie to na jawie wciąż nowemi przerywane wrażeniami, wciąż trzeźwione, nie może się skupić w jednę artystyczną całość.

Stan duchowy właściwy sennéj i artystycznéj twórczości, tłómaczy nam także, że ludzie w młodych latach częstokroć za sennych marzycieli, za umysły nie mające wartości uważani, wyrastają późniéj na niepospolitych myślicieli lub artystów.

„Pospolitość ludzi—mówi Renan—sprawia, żesamotność duchowa

---

[1]) Porówn. wym. także dzieło Radestocka: Vergleichung des Traumes mit dem Wahnsinn. Cap. IX.

[2]) Więcéj szczegółów w tym przedmiocie podaje Chmielowski w swéj rozprawie, str. 85 i d.

jest koniecznêm przeznaczeniem tych, którzy ich (pospolitych ludzi) przewyższają geniuszem i sercem. Trzeba zatém utworzyć mały boski światek dla siebie, wyciosać sobie szatę nieskończoności, aby módz sobie powiedzieć: moja nieskończoność...“

Wzrok artysty, jak owa harfa eolska, tylko na harmonijne dźwięki czuły, a za wzrokiem dusza wydaje tylko dźwięki znamiennych głosów w koncercie otaczającego świata słyszanych. Przyswaja ona sobie tylko to, co najwybitniejszą cechę zjawisk stanowi. Wszystko co niewyraźne, dwuznaczne, ognia życia, siły potężnéj pozbawione, od tego wszystkiego, oko i myśl artysty się odwraca. Odwracając się od tego wszystkiego, co ani płomieniem nie grzeje, ani lodem nie mrozi, artysta bezwiednie powtarza w myśli słowa Danta: *Non ragioniam di lor, ma guarda e passa...*

(*D. n.*) *Kazimierz Kleczkowski.*





WIDOKI
HANDLU KRÓLESTWA NA WSCHODZIE.

Przystępując do wyłożenia naszego poglądu na środki najodpowiedniejsze, jakich handel Królestwa użyć powinien w celu większego rozpowszechnienia towarów swoich na t. z. rynkach wschodnich, uznajemy z góry potrzebę zdobywania owych rynków za dowiedzioną przez rok rocznie wzrastające cyfry wywozu.

Wychodząc z tego założenia, postaramy się wskazać, które z rynków wschodnich uważamy za odpowiednie do eksploatacyi przez nasz handel, zwracając uwagę nietylko na te rynki, na których wyroby przemysłu naszego znalazły zbyt już obecnie, lecz i na te, na których zdobycie można rachować w bliskiéj przyszłości, lub bezwłocznie. Przegląd tych rynków zupełnie dokładnym być nie może, ze względu na brak odpowiedniego materyału, zebranego na miejscu. Ścisłe dane cyfrowe przywozu na Wschód, oraz ceny miejscowe nie mogły być w dostatecznéj ilości zebrane za pomocą korespondencyi, i to właśnie stanowi największy brak naszego materyału. Wobec tego musieliśmy często poprzestawać na ogółowém wyliczeniu towarów, nie będąc w możności robienia poszczególnych zestawień, czy to cen, istniejących w Królestwie z cenami praktykowanemi na Wschodzie, czy téż zapotrzebowania na pewien towar na tamecznych rynkach z możnością dostarczenia takowego z Królestwa. Chodzi nam tu jednak nie o dokładne studyum statystyczne, lecz jedynie o zwrócenie uwagi naszego świata przemysłowego i handlowego na owe rynki i wskazanie w ogólnych zarysach racyonalnych sposobów eksploatacyi tych nowych pól zbytu, a do tego celu ogólne dane, jakie posiadamy, mogą nam wystarczyć.

Zaczniemy od rozpatrzenia handlu w kraju Zakaukaskim, i przechodząc od Batumu przez Kutais, Tyflis, Akstafę i t. d., dojdziemy do Baku. Przy przeglądzie jarmarku bakińskiego zwrócimy téż uwagę na znaczenie Baku dla handlu Rosyi z Persyą. Następnie wska-

żemy pobieżnie znaczenie handlowe południowych portów morza Kaspijskiego, tak ruskich, jak perskich, oraz zwrócimy uwagę na Astrabad i Szachrud. Późniéj zastanowimy się nad donioslością kolei żelaznéj zakaspijskiéj, tak dla handlu z krajem Zakaspijskim, Chiwą, Bucharą, Turkiestanem i prowincyą siemireczeńską, jako téż i dla handlu z Persyą. Daléj, zwracając się na północ, przejdziemy na Kazalińsk, Orenburg, Troick, Irbit, ażeby ocenić zmiany, jakie koléj zakaspijska wywarła w tych miejscowościach, jako punktach handlowych. Nadmienić tu musimy, że z umysłu pomijamy tak ważne punkty handlowe, jak Rostów nad Donem, Taganrog i inne porty morza Czarnego i Azowskiego z jednéj strony, oraz z drugiéj Carycyn i Astrachań. Wartość tych miejscowości dla naszych stosunków handlowych rozpatrzymy na innén miejscu.

Stosunki handlowe z krajem Zakaukaskim. Już w lipcu 1886 roku zwracano z Batumu uwagę warszawskiego oddziału Towarzystwa powierania przemysłu i hanlu na zniesienie *porto-franco* i na skutki, jakie to zniesienie wywrze na miejscowe stosunki handlowe. Istotnie, do czasu zniesienia wolnego tranzytu przez Kaukaz i do czasu zniesienia *porto-franco* w Batumie, odbywała się w kraju Zakaukaskim istna orgia przemytnicza. Cały handel był spekulacyą na nieoclonych towarach. Rok 1886 położył temu tamę i firmy, prowadzące ów handel, wycofały się już wszystkie prawie z interesów, korzystając z przysługującego im prawa wywozu bez cła znajdujących się u nich towarów. Obecnie stosunki handlowe kraju Zakaukaskiego z Europą przez Batum, weszły na drogę normalniejszą. O ile jednak korzystniejsze warunki handlu tamecznego zostały przez warszawskich przemysłowców i kupców wyzyskane, tego dokładnie nie wiemy. Rozwój bardzo znaczny tych stosunków widnieje z danych o przewozie w bezpośredniéj komunikacyi zamorskiéj przez Odesę, bo zamiast 39 tysięcy pudów, wysłanych z Królestwa do Batumu w r. 1886, znajdujemy, że w roku 1888 przez Batum posłano 95,100 pudów. Ciągłe starania o zawiązanie nowych stosunków z krajem Zakaukaskim, otwieranie agentur, czy to zbiorowych, czy też przez oddzielne fabryki, dowodzą, że stosunki te nie zostały całkowicie wyzyskane, i że rozwój w tym kierunku postępuje jeszcze naprzód. Batum przedstawia rzeczywiście punkt nadzwyczaj dogodny, tak dla wwozu towarów naszych do kraju Zakaukaskiego, jako téż dla wywozu surowych płodów i wyrobów tego kraju. Przedewszystkiem port Batumski jest dostępny w każdéj porze roku, a przytém bardzo dogodny dla tego, że posiada naturalną, doskonałą zatokę. Prócz tego Batum ma duże znaczenie, jako punkt początkowy, a więc punkt, przez który przechodzi większość towarów

polskich, wysyłanych do kraju Zakaukaskiego. Tamtędy też idą towary skierowane do Azyi środkowéj, na Baku i Uzun-Adá i daléj przez koléj zakaspijską.

Przedmioty wywożone przez Batum z kraju Zakaukaskiego, są następujące: wino, skóry, łój którego cena w niektórych razach spada do 3 rs. 20 kop. za pud, drzewo kokosowe, narośle orzechowe (w znacznéj ilości idące do Francyi), drzewo orzechowe, podobne do machoniu, nadzwyczaj ciężkie, kolby orzechowe do strzelb, drzewo palmowe, ruda żelazna (miliony pudów do Anglii), miedź w płytach bardzo dobrego gatunku, w cenie *franco* Warszawa rs. 10 kop. 60 za pud, wyroby jedwabne, ręczne z surowego jedwabiu, chustki jedwabne siatkowe, dywany, ryż, owoce wszelkiego rodzaju, pszenica i t. d. Wywóz powyższych towarów całkowicie prawie jest skierowany zagranicę. Przywóz dotychczas dochodził również w znacznéj części z zagranicy. Przedmioty jego są następujące: żelazo, ćwieki, stal, blacha, kléj, oleje, blejwas, ultramaryna, żelazo na obręcze do beczek, płótna białe i kolorowe, przeważnie jaskrawe, perkale w tureckim guście, obuwie przeważnie warszawskie, lampy, szkło wszelkiego rodzaju, przyrządy piśmienne, obicia, towary wonne w bardzo znacznéj ilości, sukna, ubrania gotowe, ubiory damskie, naczynia emaliowane, wyroby rękodzielnicze wogóle i wyroby galanteryjne. Towary, wyliczono powyżéj, dotyczą, rzecz naturalna, całego kraju Zakaukaskiego. Największą pozycyą w przywozie zajmują wszelkie wyroby żelazne, późniéj żelazo nieprzerobione, blacha, stal, następnie wyroby rękodzielnicze, lampy, wyroby porcelanowe i fajansowe, oraz szklane i galanterya. Cyfry przywozu co do tych przedmiotów rosną rok rocznie stale; nietylko w kierunku przez Batum, ale wogóle przez inne dowozowe pukty dla kraju Zakaukaskiego. Cyfr, dokładnie malujących wysokość dowozu do kraju Zakaukaskiego, brak jest zupełnie; ponieważ jednak najpoważniejszą część wywozu w bezpośredniéj komunikacyi zamorskiéj przez Odesę, stanowi wywóz do kraju Zakaukaskiego, a wywóz przez ten port rok rocznie i bardzo znacznie wzrasta [1]), możemy przeto wywnioskować, że handel z krajem Zakaukaskim wzrasta stanowczo, témbardziéj, że cyfry wywozu na Kaukaz i do kraju Zakaukaskiego w bezpośredniéj komunikacyi towarowéj warszawsko-wołżsko-kaspijskiéj przez Brześć - Smoleńsk - Carycyn, oraz warszawsko - carycyńskiéj przez Brześć-Smoleńsk rosną również stale. Handel tedy Królestwa z kra-

---

[1]) W r. 1885 — 326,754 pudów.
„ 1886 — 539,293 „
„ 1887 — 809.817 „
„ 1888 — 879,326 „

jem Zakaukaskim znajduje się w ciągłym rozwoju. Innym dowodem tego rozwoju jest ciągły ruch i usposobienie wśród przemysłu polskiego, do otwierania w kraju Zakaukaskim, czy to pojedyńczych czy też zbiorowych agentur, udawanie się tam osób, które przedsiębiorą handel z Królestwem na własny rachunek i t. d. Kilkanaście bardzo poważnych firm naszych posiada w kraju Zakaukaskim swoich przedstawicieli a niektóre nawet własne magazyny i składy. Zbyt takich towarów, jak wyroby platerowane, szkła, lampy, papier, naczynia emaliowane, wyroby ze skóry i t. d., jest już stanowczo i poważnie zabezpieczony. Gorzéj się dzieje z galanteryą, bo handel nią spoczywa w rękach dość wątpliwych, narażających często nabywców na przykre zawody. Ognisko handlu zakaukaskiego znajduje się w Tyflisie, to też dowóz towarów polskich do Tyflisu przechodzi w r. 1888 ilość 200 tysięcy pudów [1]). Tyflis posiada też największą ilość poważnych przedstawicielstw i sklepów polskich.

Trzecim bardzo ważnym punktem w handlu zakaukazkim jest Baku. Dowóz polski do Baku w roku 1888 wyniósł w bezpośredniéj komunikacyi zamorskiéj przez Odesę 225,000 rs. [2]). Samo już położenie geograficzne tego miasta wskazuje na wielkie w przyszłości jego znaczenie w handlu nietylko zakaukaskim, lecz i całego Wschodu z Rosyą. Ogromne bogactwa przyrodzone południowo-wschodniéj części Rosyi, Kaukazu i Azyi środkowéj, że wskażemy tylko na źródła nafty, plantacye bawełny, oraz na olbrzymie kopalnie rud metalicznych, ściągają przy rozwoju środków komunikacyjnych ognisko życia ekonomicznego Rosyi na południe. Baku, przy przemieszczaniu się tego ogniska, odbywającém się już obecnie powoli, lecz stanowczo, stanie się miejscem bardzo dogodném, ze względu właśnie na swe położenie geograficzne, dla scentralizowania niejako handlu, przynajmniéj jarmarcznego, południo-wschodu Rosyi. Wówczas to jarmarki bakińskie, jako targowisko wogóle dla wymiany z jednéj strony towarów Rosyi europejskiéj, a z drugiéj towarów, pochodzących z Azyi środkowéj, Persyi i Syberyi zachodniéj, oraz towarów kaukaskich i zakaukaskich, nabiorą wielkiego znaczenia. Jest to przyszłość, lecz przyszłość niedaleka, i z tego właśnie względu, jak również ze względu, że rozwój w kierunku tego ukształtowania przyszłego, odbywa się już obecnie, handel nasz powinien zwrócić należytą uwagę na Baku. Dotych-

---

[1]) Kiedy w r. 1885 wynosił tylko 55 tysięcy pudów.

[2]) W r. 1885 — 109,221 pudów.
„ 1886 — 68,398 „
„ 1887 — 257,861 „

czas jednak, pomimo zwiększającego się stale znaczenia tego rynku, jako targowiska stałego, jarmarki bakińskie w ostatnich trzech latach wypadły bardzo nieświetnie.

Mały udział kupców jarmarku, oraz sprzedanie trzeciéj zaledwie części przywiezionych na jarmark towarów, wystawiają wcale niepożądane świadectwo ożywienia tego rynku. Pierwsza przyczyna jego niepowodzenia leży w przyzwyczajeniu do jarmarków niższo-nowgorodzkiego i irbickiego, które się stały uprzywilejowaném targowiskiem zamienném dla handlu zakaukaskiego, czego dowieść można, wykazując udział kupców zakaukaskich w tych jarmarkach.

Otóż w r. 1884 przywieziono na jarmark niższo-nowgorodzki towarów z Kaukazu na sumę 451,000 rs., w 1885 r. 425,000 rs. W tym ostatnim roku dla Kaukazu i kraju Zakaukaskiego kupcy tameczni zakupili towarów za całą sumę, otrzymaną ze sprzedaży swéj dostawy na jarmark, i prócz tego kupili różnych wyrobów bawełnianych na sumę 150,000 rs.

„W r. 1886 po raz pierwszy przybyli na jarmark nabywcy rękodzielniczych i innych towarów, Ormianie z kraju Zakaukaskiego, którzy objaśniali swój przyjazd zniesieniem batumskiego *porto-franco*. Rzecz niewątpliwa, że ze zniesieniem *porto-franco* popyt na ruskie wyroby rękodzielnicze w kraju Zakaukaskim musi się zwiększyć, któremu to powiększeniu dotychczas stawał na przeszkodzie przywóz do tego kraju z Batumu fabrykatów zagranicznych. Ponieważ *porto-franco* zniesiono bardzo niedawno, więc popyt na towary rękodzielnicze nie mogł w r. 1886 dojść do tych rozmiarów, do jakich dojdzie bezwątpienia, na przyszłym na jarmarku (r. 1887), gdy wyczerpią się zapasy tych zagranicznych towarów“. Tak brzmi sprawozdanie z jarmarku w r. 1886. Istotnie, przewidywanie to sprawdza się, bo gdy w r. 1886 przywóz kraju Zakaukaskiego i z Kaukazu już się powiększył o 70 tysięcy rs., przy powiększeniu odpowiedniém robionych dla tych miejscowości na jarmarku zakupów, w r. 1887 suma wartości przywiezionych ztamtąd towarów wynosi już 653 ½ tys., t. j. zwiększa się o 160 tysięcy rs. Sprawozdanie zaś z jarmarku niższo-nowgorodzkiego mówi prócz tego, „że kaukascy i zakaukascy Ormianie, Tatarzy i Żydzi kupili na jarmarku przeważnie wyrobów bawełnianych, żelaza i papieru do pisania za całkowitą sumę sprzedażną, otrzymaną za swe towary. Prócz tego zakupili jeszcze różnego rodzaju towarów rękodzielniczych za 250 tysięcy rs., przeważnie za gotówkę i w części na terminy 6-cio i 12-to miesięczne“. Wogóle zaś zwiększenie obrotów towarami bawełnianemi i manufakturą na wzmiankowanym jarmarku przypisać należy zniesieniu *porto-franco* w Batumie, które się odbiło

nietylko na zwiększeniu obrotów handlu zakaukaskiego, lecz również na handlu z Chiwą, Bucharą, Taszkientem i Persyą, działając w jednakowym kierunku ze zmniejszeniem do tych krajów przywozu angielskiego.

Udział w jarmarku irbickim kupców kaukaskich i zakaukaskich. również się powiększa w tym samym mniéj więcéj stosunku, chociaż wogóle jest mniejszy od udziału w jarmarku niższo-nowgorodzkim.

Z powyższych cyfr widoczne przyzwyczajenie kupców zakaukaskich do wspomnianych jarmarków. Nie korzystamy z tych cyfr dla wykazywania zwiększenia handlu rosyjskiemi i jednocześnie polskiemi towarami na Kaukazie, lecz przychodzimy natomiast do bliższego przyjrzenia się Baku, jako punktowi handlowemu.

Odległość od centralnych okręgów fabrycznych Cesarstwa do Baku, jest równą odległości od naszych ognisk przemysłu do tegoż miasta. Istnieje nawet pewna różnica w tych odległościach na naszą korzyść. Ujednostajnienie jednak taryf nie pozwala nam korzystać z téj różnicy, w każdym razie wszakże mamy przynajmniéj pewien zysk na czasie. Zły przebieg jarmarków bakińskich, spowodowany rozwojem handlu zakaukaskiego na jarmarku niższo-nowgorodzkim i irbickim, i rozwojem kontrabandy zagranicznéj na Kaukazie, nie powinny nas zrażać. Rozwój środków komunikacyjnych i rozwój ekonomiczny tamecznych okolic usunął pierwszą przyczynę, a druga została usuniętą wraz ze zniesieniem tranzytu i *porto-franco* w Batumie. Tak więc Baku staje się jednym z najważniejszych punktów w handlu z tym nowootwartym rynkiem.

Baku, jako port dogodny, punkt wyładowywania towarów dowożonych przez koléj zakaspijską, jako punkt łączny i pośredniczący w handlu z Persyą, należy, po Tyflisie, do najważniejszych ognisk kraju Zakaukaskiego.

Tak więc, przejrzeliśmy pobieżnie Batum, Tyflis i Baku; wspomnimy zaś tylko o Kutaisie i Akstafie, która według wszelkiego prawdopodobieństwa, stanie się punktem środkowym i najważniejszym w handlu kaukasko-perskim; następnie o Elizawetpolu, Szusze, Erywaniu i Szemasze. Te ostatnie mają, również znaczenie ze względu na handel z Persyą i na produkcyą bawełny. Produkcyi téj, jako téż produkcyi jedwabiu należy się słów kilka.

Bawełna kaukaska, erywańska, odznacza się długością włókna i dobrém oczyszczeniem; mówimy tu o bawełnie kaukaskiéj, otrzymywanéj z nasion amerykańskich; cena jéj jest niższą od ceny oryginalnéj bawełny amerykańskiéj o 50 kop. do 1 rs. na pudzie, co pochodzi ztąd, że bawełna erywańska ma mniéj równe włókna i mniejszą jedwabistość,

aniżeli amerykańska oryginalna, przytém jest grubszą wskutek suchego klimatu; w dodatku często w doskonałéj bawełnie znajduje się towar gorzéj oczyszczony i z krótszém włóknem. Braki te pochodzą w części z niezrozumienia ze strony producentów bawełny tego, że kilkoma złemi pakami zniżają wartość całéj partyi i otrzymują wskutek tego niższą cenę. Z czasem sortowanie bawełny będzie się odbywało prawdopodobnie staranniéj; przynajmniéj już obecnie można zauważyć znaczne polepszenie stosunków w porównaniu z têm, co było przed 5—6 laty. Bawełna kaukaska używa się na $^{30}/_{3}$, *medio* i 40; ze znanych w Rosyi gatunków jest uznawana za najlepszą po amerykańskiéj.

Oto jest w ogólnych zarysach wszystko, co nam Kaukaz dać może, i co my tamtejszym rynkom zaofiarować możemy. Gdyby towarami, przez nas wzmiankowanemi, był prowadzony handel poważnie, innemi słowy, gdyby udało się skoncentrować handel ten w rękach jednego poważnego przedsiębiorstwa, to rynki kaukaskie przyniosłyby dla nas nie małą korzyść. Należy jednak zwrócić uwagę na to przedewszystkiem, że dopóki interesy z Kaukazem będą prowadzone na gotówkę, dopóty nie dosiągną one nigdy należytego rozwoju. Przedsiębiorstwo więc, o którém mówimy, a którego dokładne zarysy podamy poniżéj, byłoby zmuszone część znaczną nawet swych kapitałów poświęcić dla dyskonta weksli kaukaskich. Powstaje obecnie, co prawda, t. zw. Bank kaspijski o dość znacznym, bo 5 milionów wynoszącym, kapitale zakładowym i otwiéra swe filie w Batumie i Baku, mieszcząc główny zarząd w Moskwie, lecz kapitały tego banku służyć będą dla eksploatacyi przemysłowéj Kaukazu, a jeżeliby nawet zajęły się dyskontem, to z pewnością nie weksli, mających u nas obrót. W sierpniu r. b. pewien kupiec kaukaski, znający tamtejsze stosunki doskonale, zwracał się do Warszawskiego Oddziału Tow. popierania przemysłu i handlu z projektem założenia instytucyi dyskontowéj, któréj filia istniałaby w Tyflisie, a jego zarząd—w Warszawie. Projektodawca uważa taką instytucyą za konieczną. Jestto chyba najlepszy dowód na potwierdzenie słuszności naszego, już uprzednio wyprowadzonego wniosku. Powtarzam, że powrócimy do tego projektu, dając zarys przedsiębiorstwa, mającego na celu eksploatacyą handlu z krajem Zakaukaskim; tymczasem zaś dodam, że Rosya prowadzi tam interesy na długie terminy, że weksle kaukaskie dyskontują w Moskwie bardzo poważne domy handlowe, i że Łódź, która odważyła się naśladować Moskwę, co do udzielania kredytu, wychodzi na têm bardzo dobrze.

Stosunki handlowe z Persyą. Zanim przyjdziemy do rozpatrzenia dokładnego warunków handlu z Persyą, musimy podać kilka

ogólnych rysów i uwag o Persyi, rozpatrzéć konkurencyą angielską i wskazując niektóre prowincye Persyi, gdzie się takowa zbyt silnie rozwielmożniła, ażeby inne towary zbyt tam znaleźć zdołały — wyliczyć tém samém rynki, na których handel Królestwa na powodzenie liczyć może. Następnie przejdziemy do szczegółowego rozbioru zobopólnych stosunków handlowych.

Statystyka zachodnio-europejska wykazuje w Persyi przestrzeń 22 tysiące mil kwadratowych geogr.; w téj ilości znajdujemy zaledwie 10% pól uprawnych, 10% łąk i pastwisk, oraz 5% lasu; reszta, t. j. ¾ przestrzeni Persyi, składa się z pustyń, skał, ziemi nieuprawnéj i t. d. Okolice zaludnione Persyi są to przybrzeża tylko i pasy nadgraniczne. Przestrzeń ta, mieszcząca 5,500 mil kw., liczy 7 milionów ludności, która dzieli się prawie w równéj mierze na ludność koczującą, osiadłą wiejską i osiadłą miejską.

Nie będziemy tu mówili o rządzie i administracyi perskiéj. Znajdują się one w okropnym stanie. Gubernator kupuje swój urząd i wyzyskuje podległą mu prowincyą, jak chce i umié. Jeżeli dochody rządu pokryć nie mogą wydatków, rząd ratuje się w ten sposób, że zaprasza gwałtownym sposobem swych poddanych do robienia prezentów państwu. Niekiedy jednak nawet ta forma grzeczności zachowywana nie bywa i rząd konfiskuje wprost majątki poddanych, podwyższa podatki w téj lub owéj prowincyi, albo wprost przestaje płacić pensye urzędnikom. Jakie zaś są podatki, sądzić można z tego, że własność ziemska płaci 25% od dochodu. Bicie monety stanowi przywiléj rządu, który robi z niego antrepryzę, oddając mennicę w dzierżawę. Pomimo tego, że przedsiębiorcy otrzymują 2% ustępstwa za bicie monety, nie zaniedbują oni wcale nadawać téj monecie jaknajmniejszéj wartości, do tego stopnia, że po za granicami Persyi monety tamtejsze nie mają wcale obiegu i wartość ich zależy od stosunku podaży do popytu. Monetą obiegową w Persyi jest toman, zawierający 10 kranów albo 200 szachów. Nominalny kran powinien miéć wartość 28½ kop. złotem, lecz tak nie jest, bo niedawno jeszcze cena jednego tomana w Baku wynosiła 3¼ rubli kredytowych. Wypłaty jednak odbywają się najczęściéj w monecie srebrnéj, skutkiem braku złota. Wobec tego handel zamienny dla firm cudzoziemskich ma więcéj szans powodzenia. Procent prawny Persyi wynosi 12 rocznie. Bankierzy płacą ten procent za otrzymane wkłady, pożyczają jednak na 24%. Rząd pożycza na 18%, przyczém dla większéj pewności wierzyciela, weksel bywa wystawiany na imię cudzoziemskiego poddanego [1]). Dla téj téż pewności, wierni

[1]) „Ruski handel z Persyą.“ Moskwa, 1889 r.

poddani szacha, jeżeli tylko mają możność uciec się pod protektorat przedstawiciela obcego mocarstwa, nie omijają téj sposobności, bo inaczéj lada chwila spodziewać się mogą, że rząd w najprostszy w świecie sposób odbierze im pieniądze lub posiadłość. Rzecz naturalna, że w takich i t. p. warunkach, przemysł perski krajowy kwitnąć wcale nie może. To téż olbrzymia większość towarów, spożywanych przez Persyę, przychodzi z zagranicy, a w kraju produkują się tylko wyroby ręczne, które w żadnym razie konkurować z produktami przemysłu fabrycznego nie mogą.

Handel w Persyi natrafia również na znaczne przeszkody, pochodzące przedewszystkiém ze złego stanu dróg komunikacyjnych. Handel obcokrajowców nie znajduje już jednak więcéj przeszkód. Gdy cudzoziemiec zapłaci za wwieziony przez siebie towar 5% od jego ceny na komorze celnéj, otrzymuje w Taurysie np. t. zw. *diewaz*, t. j. pozwolenie na przejście towarów i następnie nie ponosi już żadnych ciężarów, bo opłaty za prawo handlu w Persyi nie istnieją. Ponieważ jednak komory celne znajdują się w ręku przedsiębiorców, którym, naturalnie, chodzi o to, żeby towar przechodził przez komorę, wydzierżawioną przez nich od rządu, cudzoziemcy wytargowują często z pięciu urzędowych procentów jeden lub nawet dwa na swoję korzyść. Dla perskich poddanych istnieje ulga w handlu zewnętrznym. Płacą oni mianowicie 3%; lecz korzyści z téj ulgi są mocno wątpliwe, bo perski poddany obowiązany jest, prócz tych 3%, płacić w każdéj wewnętrznéj komorze celnéj pewną kwotę, nie licząc rozmaitych „*peszkesz'ów*“ ofiarowywanych gubernatorom tych miast i prowincyi, przez które towar przechodzi. Prócz „*rahdari*“ (3% cło), inne opłaty bywają pobierane, stosownie do wielkości i znaczenia miasta, i zależnie od wartości towaru,—od całéj karawany. Naturalnie, że wyniesie to wszystko więcéj, aniżeli 5% opłata cudzoziemców.

Tranzakcye towarowe odbywają się w następujący sposób: w handlu hurtowym towary sprzedają po największéj części na długie terminy, t. j. na 20, 30 a nawet 40 miesięcy. Dyskonto w interesach towarowych wynosi 1% na miesiąc. Tak długie terminy, o jakich wspomniałem, istnieją jednak tylko nominalnie; stałym zaś zwyczajem jest, że kupujący płacą pieniądze po 4, 6 lub 8 miesiącach, i w takim razie odejmują procenty za cały czas pozostały.

Cena towaru wyznacza się, rzecz naturalna, zależnie od terminu, np. za pakę perkalu, sprzedaną za 1,000 kranów na termin 20 miesięczny przy wypłacie po 4 miesiącach, sprzedający otrzymuje należność zmniejszoną o 16% (za pozostałe 16 miesięcy po 1%), czyli 840 kranów. Jeżeli cena towaru podniosła się, przypuśćmy, o 2%, to cena téj

samej paki perkalu będzie 1,000 kranów, na termin 18 miesięczny, przy wypłacie zaś po 4 miesiącach z ustępstwem 14% za pozostające 14 miesięcy, wyniesie 860 kranów. Cena wyrobów rękodzielniczych oznacza się wogóle w ten sposób, chociaż bywają zresztą wypadki, w których handlujący zmieniają cenę, nie zmieniając terminu.

Kończąc ten przegląd ogólny warunków handlowych Persyi, przejdziemy do przyjrzenia się drogom, któremi przychodzą towary zagraniczne do Persyi, ażeby z nich wyprowadzić wnioski, co do konkurencyi zachodnio-europejskiéj w Persyi.

Otóż, przedewszystkiém zwrócić winniśmy uwagę na t. zw. drogę azerbejdżańską. Droga ta, rozpoczynając się od Trebizondy, dąży na wschód i przechodzi przez Erzerum, Bajazet, Tauryz, Każwin i dosięga Teheranu. W Każwinie schodzi się z drogą, idącą od zatoki Enzelijskiéj morza Kaspijskiego, od Enzeli przez Reszt, Każwin do Teheranu. W Teheranie droga azerbejdżańska spotyka się z drogą, łączącą drugi port morza Kaspijskiego, Meszedeser przez Barfrusz z Teheranu. Daléj na wschód od Teheranu droga azerbejdżańska ciągnie się przez Szachrud, Sebzewar i Niszapur do Meszchedu. W Szachrudzie łączy się z drogą, idącą od zatoki Giażskiéj przez Astrabad do Szachrudu i stamtąd już do Meszchedu. W Niszapurze schodzą się drogi azerbejdżańska i bender-buszyrska, idąca od Bender-Buszyru na Sziras, Ispahan, Yezd, Niszapur do Meszchedu, a stamtąd na Aschabad, Chiwę, Kazalińsk, Irgisk, Karabutak, Orsk do Orenburga, a daléj do Troicka i Irbitu. Do Meszchedu prowadzi również droga od Uzun-Ada koleją zakaspijską do Aschabadu, a stamtąd na Kuczan do Meszchedu. Jeszcze jedna droga do Meszchedu od Duszaku, stacyi kolei zakaspijskiéj, łączy Meszched z koleją zakaspijską, a co zatém idzie z krajem Zakaspijskim.

Prócz dróg tych, po których dowozy idą do północnéj, północno-zachodniéj i północno-wschodniéj Persyi, mamy jeszcze drogi następujące: od Bender-Busziru na Basra, Bagdad, główny punkt składowy towarów angielskich na Tygrze. Towary te przychodzą z zatoki Perskiéj na parostatkach kompanii angielskich Lynch, kursujących po Tygrysie i Eufracie. Od Bagdadu towary idą jukami na Kermanszach i Hamadan. Druga droga idzie od Bender-Abassi na Kerman do Yezdu, a stamtąd na Kaszan, Kum—do Teheranu. Jest jeszcze nowa droga, którą Anglicy otworzyli w r. 1888-ym po rzece Karun: od Achłasu do Mohammeri statki płyną swobodnie i dochodzą do Mohammeri, a nawet do Basry, gdzie następuje przeładowanie na parostatki angielskiéj kompanii Lynch; do Szusteru dochodzić mogą parostatki

o 5 stopowém zagłębieniu; stamtąd zaś mogą iść wielką drogą karawanową na Burudżizel, Sułtan-Abad i Kum, lub téż skierować się na Ispahan przez góry Bachtiarskie. Ta droga jednak jest mało znana, chociaż musi być korzystną, kiedy Anglicy od 30 przeszło lat starali się u rządu perskiego o pozwolenie na prawo nawigacyi po rzece Karun.

Oto są drogi ważniejsze, przez które przechodzi wywóz i przywóz rosyjsko-perski i niemiecko-francusko-angielsko-perski. Jest jeszcze zresztą droga, przebiegająca równolegle z drogą od Szachrudu na Sebzewar i Niszapur do Meszchedu. Rozpoczyna się ona od Astrabadu i przebiega łukiem przez Budżnurd do Meszchedu. Obecnie jednak droga ta ma bardzo małe znaczenie, wobec tego, że łącząca te same miejscowości droga Szachrud-Szebzewar-Niszapur-Meszched, a przechodząca przez najurodzajniejsze w tym kraju okręgi, przyciąga towary, dążące z Astrabadu do Meszchedu, z powyższéj przyczyny, jak również dlatego, że jest dogodniejszą.

Z wymienionych dróg handlowych, azerbejdżańską posługuje się handel francusko perski i niemiecko-perski; bender-buszirską zaś — angielsko-perski. Towary francuskie i niemieckie idą jednak również na Basrę, Bagdad do Teheranu i na Bender-Abassi przez Kerman, Yezd — do Teheranu. Koszt przewozu od Trebizondy do Teheranu wynosi 390—580 kranów ze 100 batmanów [1]). Wskutek wysokich kosztów transportu, nie można przewozić tą drogą towarów małocennych; dlatego téż towary przywiezione do Persyi przez Trebizondę, rzadko idą na wschód daléj po za Teheran, a na południe daléj po za Hamadan.

Największe z miast leżących na drodze azerbejdżańskiéj, Tauryz, utraciło swe uprzednie znaczenie i służy tylko jako centrum handlu prowincyi azerbejdżańskiéj. Należy tu zwrócić uwagę na to, że towary ruskie z Kaukazu przez Dżulfę taniéj i łatwiéj dochodzą do Tauryzu, aniżeli wyroby francuskie, niemieckie lub angielskie z Europy. Odległość od Dżulfy do Tauryzu wynosi około 60 kilometrów. Wogóle przez zakaukaskie południowo-wschodnie komory i przykomorki celne przechodzić może wiele towarów do Persyi, korzystając z dogodniejszéj komunikacyi.

Angielska droga, jak mówiliśmy, idzie od Basra po Tygrysie do Bagdadu, a stamtąd po drodze karawanowéj na Kerman-Szach i Hamadan do Teheranu. Długość drogi karawanowéj od Bagdadu do Teheranu wynosi 940 kilometr., cena przewozu od 200 do 240 kranów za

---

[1]) 1 batman = 6 kilogramom.

100 batmanów. Droga ta ma ważne znaczenie dla towarów małocennych w stosunku do wagi. Druga droga angielska zajmuje od Bender-Assi do Yezdu około 815 kilomtr., od Yezdu do Teheranu około 655 kilom. Płaca za pierwszą przestrzeń pobieraną jest w stosunku 50 do 85 kranów, za drugą — w stosunku 80 do 140 kranów za 100 batmanów.

Do czasu zamknięcia tranzytu kaukaskiego, najwygodniejszą dla towarów europejskich drogą do Teheranu, była droga przez morze Czarne, kraj Zakaukaski, morze Kaspijskie, a stamtąd od zatoki Enzelijskiéj przez Reszt do Teheranu, lub też od portu Meszedeser i Aszurade w głąb Persyi. Towary lgnęły do kraju Zakaukaskiego i korzystały z portów morza Kaspijskiego. Gdy tranzyt zamknięto, porty te służą tylko dla wwozu do Persyi towarów ruskich. A odległości i ceny od tych portów były i są bardzo dogodne. Tak np. za odległość od Resztu do Teheranu, wynoszącą w przybliżeniu 300 do 310 kilometrów, cena przewozu wynosi, zależnie od pory roku, 100 do 150 kranów za 100 batmanów; z Meszedeseru zaś do Teheranu od 100 do 120 kranów.

Rozpatrując powyższe wskazówki na mapie i porównywując koszty przewozu na wskazanych wyżéj drogach, łatwo przyjść można do wniosku, że Rosya eksploatować może tylko północno-zachodnie, północne i północno-wschodnie prowincye Iranu, dlatego że te, z powodu swojéj bliskości i stosunkowego udogodnienia środków komunikacyjnych, są dostępniejsze dla niéj, aniżeli dla Europy zachodniéj, dla któréj znowu stoi otworem całe południe Persyi za pomocą drogi przez zatokę Perską. Otóż prowincye: Azerbejdżan, Gilan, Mazanderan, okolice Teheranu i Astrabadu, oraz prowincyą Orasan. Istotnie, wniosek ten wyprowadzony przez rozpatrzenie środków komunikacyjnych potwierdzają najświeższe dane [1]). Mr. Law, agent handlowy rządu angielskiego, zapewnia, że np. perkale angielskie nie znają współzawodniktów, poczynając na południe od Ispahanu, ani nawet w Tauryzie. Teheran za to, Meszched, Mazanderan i t. d. stanowczo są zajęte przez towary ruskie.

Z kolei rzeczy należy nam przyjrzéć się handlowi prowincyi, które podlegają eksploatacyi handlu ruskiego. Rozpoczniemy od Gilanu,—prowincyi, przeważnie pośredniczącéj w handlu Rosyi z prowincyami północnemi i północno-zachodniemi Persyi. Ogólna cyfra war-

---

[1]) Mr. E. F. Law, agent rządowy angielski: „Sprawozdanie do ministeryum spraw zewnętrznych o położeniu handlu angielskiego w Persyi w porównaniu z ruskim.“ „Economist.“ 1889, Monthly Trade, supplement. Saturday March 9.

tości handlu przywozowego z Rosyi przez Gilan podniosła się od 992 tysięcy rubli w r. 1882, w którym to czasie nastąpiło zamknięcie tranzytu przez Kaukaz, w ciągu lat 5 do 3 milionów rubli, t. j. więcéj, aniżeli potroiła się. O ile suma ta jest zadawalającą, co do ogólnéj sumy, o tyle nie zadawalnia oddzielnych pozycyi przywozu. Tylko 6 kategoryi towarów wzrastało w przywozie prawidłowo w ciągu tych lat; co do innych miały miejsce silne wahania [1]).

Pierwsze i najważniejsze miejsce, co do wywozu towarów ruskich do Persyi, zajął cukier rafinowany i mączka cukrowa. Wywóz ten w r. 1888 dosięgnął 300 tys. pudów, t. j. od 1882 r. wzrósł więcéj, aniżeli 4 razy. Nastąpiło to wskutek tego, że z zamknięciem tranzytu przez Kaukaz, cukier europejski, jako tani i niewygodny do ładowania produkt, stał się niedostępnym dla północnych i północno-wschodnich rynków Persyi przy dostawie przez Trebizondę, Erzerum i Tauryz, albo przez Bagdad i Hamadan, wskutek drożyzny przewozu. Prócz tego, podczas kryzysu cukrowego ruskiego od 1885 do 1887 roku, ceny cukru ruskiego spadły na rynkach wewnętrznych, i wywóz za granicę zaczął otrzymywać akcyzę i premię, wskutek czego jest sprzedawany na bardzo nawet oddalonych rynkach taniéj, aniżeli na rynkach wewnętrznych ruskich, ba, nawet po cenach niższych od cen normalnych fabrycznych w Rosyi. Naturalnie, że są to warunki, których dłuższe trwanie usunie zupełnie cukier francuski nietylko z północnych, lecz nawet ze środkowych rynków perskich, gdzie obecnie już powstaje zapotrzebowanie na cukier ruski. Podczas istnienia tranzytu kaukaskiego, cena na cukier francuski na najbliższych przykaspijskich rynkach Persyi wynosiła od 19 do 20 kranów za pud, a na wewnętrznych od 23 do 25 kranów, kiedy obecnie cena na cukier na najbliższych rynkach waha się od 13½ do 15 kranów, a na wewnętrznych wynosi 18 kranów, przy jednoczesnéj cenie francuskiego cukru 21 kranów za pud. Cukier polski znajduje coraz szersze pole zbytu w Persyi i przedsiębiorcy, prowadzący ten interes, wychodzą na nim bardzo dobrze.

Drugie miejsce w sumie wywozu ruskiego do Persyi, zajmują towary rękodzielnicze, przeważnie perkaliki, płótno i perkale wogóle. Od r. 1882 przywóz podwoił się i doszedł w r. 1888 do 30 tys. pudów. Zniesienie tranzytu, otwarcie składów hurtowych towarów manufakturnych w Tyflisie i Baku, dało możność kupcom perskim obznajmić się osobiście i nabywać towary bezpośrednio, bez usług komisyonerów i w każdéj porze roku, niezależnie od zamknięcia nawigacyi na Wołdze. Przytém producenci ruscy zmienili desenie, powiększyli szero-

---

[1]) Sprawozdanie konsula ruskiego z Gilanu.

kość wyrobów, postarali się obznajmić Persów za pomocą licznych i różnorodnych wzorów, dostarczanych w r. 1884-ym przez dom handlowy „Konszyna“ w Moskwie. Dom ten również zobowiązał się wykonywać zamówienia po cenach fabrycznych, z dodaniem tylko kosztów przewozu do Persyi.

Pomijam tu naftę, zajmującą trzecie miejsce w przywozie z Rosyi [1]) i przechodzę do 4-éj kategoryi towarów. Kategorya ta zwraca uwagę, z powodu zmniejszenia i wahań, jakie w jéj przywozie zachodziły w latach 1882—1888. Ostatecznie w r. 1888 przywóz z Rosyi dosięgał 30,000 pudów, t. j. utrzymał się na jednakowym poziomie z rokiem 1882. Chociaż Persya jest biédną, to jednak zapotrzebowanie przedmiotów pierwszéj konieczności musi się w niéj zwiększać rokrocznie, tak wskutek przyrostu ludności, jako téż z przyczyn ekonomicznych; zadowolnić zaś swe zapotrzebowanie na metale nieobrobione, nie posiadając takowych u siebie, może tylko w Rosyi, a nie w Europie, dlatego, że dostawa stamtąd kosztowałaby ją zbyt drogo. Wobec tego trudno jest przypuścić, ażeby i téj kategoryi handlu ruskiego z Persyą mogła zagrażać poważna konkurencya z zagranicy. Istotnie, sprawozdania konsulów angielskich przemawiają na korzyść dowozu tego towaru z Rosyi [2]).

Piąte miejsce, co do sumy zbytu, zajmują towary galanteryjne, których dowóz jednak tylko w r. 1883 dosięgnął znacznéj cyfry, a to wskutek zatrwożenia kupców perskich zniesieniem tranzytu przez Kaukaz. W innych latach konkurencya zachodnio-europejska stanowczo zabiéra w swe ręce dowóz towarów galanteryjnych, tak że w r. 1888-ym dowóz tych towarów z Rosyi dosięgał zaledwie kilka tysięcy pudów.

Dość poważne miejsce zajmuje dowóz naczyń porcelanowych, fajansowych i kryształowych, oraz szkła do okien i lamp. W tym towarze również daje się zauważyć zmniejszenie dowozu z Rosyi na skutek pomyślnéj konkurencyi wyrobów tego rodzaju, pochodzących z zachodniéj Europy. Persowie przekładają te ostatnie nad ruskie, wskutek wyższéj jakości, oraz niższych cen takowych. Wyroby z porcelany, fajansu i kryształu, dowożone z Rosyi do Persyi, są bardzo ordynarne, nie wiele warte co do jakości, i wskutek tego odpowiadają zapotrzebowaniu tylko biédniejszéj klasy ludzi. Klasa zamożniejsza przekłada natomiast wyroby fabryk zachodnio-europejskich, jako daleko lżejsze, ładniejsze i więcéj wyszukane pod względem formy i rysunku, oraz do-

---

[1]) Według komunikatu konsula ruskiego w Gilanie.

[2]) Mr. Abbot, Law i inni.

boru i żywości farb. Tylko imbryczki, filiżanki, szklanki, spodeczki, najprostsze i najtańsze lampy wyrobu ruskiego znajdują zbyt; lampy zaś lepszych gatunków i tak bardzo ulubione przez Persów kandelabry kryształowe, lichtarze ogrodowe, wytworne filiżanki i serwisy miniaturowe do herbaty, a szczególniéj do kawy, sprowadzane są wyłącznie z Europy zachodniéj. W celu skutecznéj konkurencyi z Europą zachodnią, należałoby robić dla Persyi niezbyt drogie, lecz wytworniejsze przedmioty z kryształu, które zawsze tam chętnie są nabywane.

Zasługuje jeszcze na uwagę zbyt świec stearynowych, papieru i bibuły. Cyfra tego dowozu z Rosyi wzrasta pomyślnie, lecz na większe ilości rachować niepodobna, dlatego że zapotrzebowanie tak jednego, jak drugiego produktu nie może się w Persyi zwiększyć.

Zatrzymaliśmy się dłużéj nad sprawozdaniami konsula ruskiego w Gilanie, dlatego że ze sprawozdań tych śmiało możemy wyprowadzić wnioski, co do tego, jakie towary nasze mogą znaleźć większy zbyt na północnych rynkach Persyi. W tym samym celu dodamy jeszcze kilka uwag, co do handlu zachodnio-europejskiego w Gilanie i uwag, pochodzących od tamecznego konsula ruskiego.

Otóż z porównawczo zestawionych za ostatnie lata cyfr, dotyczących handlu ruskiego w Gilanie, widzimy, że w tym samym czasie, gdy przywóz ruski do téj prowincyi podniósł się o 5 milionów kranów, przywóz zachodnio-europejski zmniejszył się o 9 milionów. Nie znaczy to jednak, że Persya otrzymała o 9 milionów kranów mniéj towarów zachodnio-europejskich; towary te poszły inną drogą, co już jednak jest korzyścią, bo pójść inaczéj, aniżeli przez zatokę Perską nie mogły, a to znaczy, że przeważna część ich przeznaczona być musiała dla południowych prowincyi Persyi. Przywóz cukru z Europy zachodniéj ustał zupełnie, przywóz towarów rękodzielniczych zmniejszył się znacznie, a przywóz innych towarów spadł również do rozmiarów zaledwie godnych uwagi.

Konsul w Gilanie uważa, że obecne warunki są bardzo pomyślne dla podniesienia i rozwoju wywozu ruskiego do Persyi. W tym celu, według niego, konieczne jest przedewszystkiém zawiązanie bezpośrednich stosunków fabrykantów ruskich z konsumentami na rynkach perskich: należy więc usunąć wszelkie pośrednictwo, otworzyć składy cukru i towarów rękodzielniczych, a szczególniéj perkalików i innych bawełnianych wyrobów w saméj Persyi, nie zaś na granicy perskiéj, zmieniać częściéj rysunki, modyfikując je zgodnie z gustem konsumentów, powiększyć szerokość niektórych tkanin, otworzyć składy dobrego, lecz nie najlepszego gatunku sukna, kortu i aksamitu. Co się ty-

czy cukru, to trzeba go wysyłać w jaknajmniejszych główkach, ważących siedm do ośmiu funtów, zapakowywać nie w płócienne worki i nie w beczki i beczułki, lecz w pudła wagi nie większéj nad 4$^1/_2$ pud. brutto, papier dawać cieńszy i, jeżeli można, robić cukier miększy. Jeżeli te warunki zostaną u nas wypełnione, to popyt na towary nasze rękodzielnicze i na cukier stanie się niewątpliwym, dlatego że konsumenci wyrobów rękodzielniczych angielskich są bardzo złego przekonania o wyrobach angielskich, zawierających częstokroć 42% apretury, składającéj się przeważnie z glinki. Zbyt galanteryi, oparty na dokładném zbadaniu gustu konsumentów, czy to na miejscu, czy za pomocą próbek, zbyt kryształów, wyrobów metalicznych, szkieł, lamp i t. d. można byłoby również dla Królestwa zapewnić. W tym celu należałoby otworzyć w Teheranie, Meszchedzie, Ardebilu i Barfruszu składy hurtowe i detaliczne.

Eksport z Persyi przez Gilan przedstawia się bardzo poważnie i liczy następujące najpoważniejsze kategorye: ryż, suche owoce, produkty rybne, skórki owcze (mierłuszki), bawełna, narośle orzechowe, jedwab surowy, węgiel drzewny, *chamchałat*, *chena*; co do wywozu farbników szczególniéj, należy zaznaczyć, że rynki ruskie i polskie nie eksploatowały dotychczas wielu produktów, które eksploatować byłoby można z wielką korzyścią, chociażby dlatego, że istnieje bardzo znaczna różnica między cłem przywozowém z Persyi, a tém wysokiém cłem, jakie opłacają towary, przychodzące do Cesarstwa i Królestwa przez granicę europejską.

Towary, przychodzące z Rosyi przez prowincyą Gilan do Persyi, dochodzą w znacznych partyach do Teheranu; dotyczy to przeważnie wyrobów bawełnianych. Chcielibyśmy tutaj właśnie powtórzyć opinie konsulów ruskich i angielskich co do tego, jak stoi handel perkalikami ruskimi. Będą one zarazem stanowiły pewne wskazówki dla naszéj produkcyi bawełnianéj.

P. Abbot, generalny konsul angielski w Trebizondzie, utrzymuje, że Moskwa może w pewnym stopniu pomyślnie konkurować z Manchesterem, tak co do jakości perkalu, trwałości i żywości barw, jak co do rozmaitości i doboru rysunków. Największa przeszkoda zawiera się w wytwarzaniu towaru o wymaganéj w Persyi szerokości; ażeby to osiągnąć, należy postawić osobne warsztaty tkackie, dlatego że znajdujące się obecnie w fabrykach nie są odpowiednio przygotowane. Rynek perski potrzebuje perkali i perkalików szerokości 30 do 32 cali, a ruscy fabrykanci wyrabiali dotychczas perkaliki o 26 — 27 calach szerokości.

Konsul ruski w Azerbejdżanie komunikuje, że ostatniemi czasy

wszystkie domy handlowe europejskie, sprowadzające perkaliki angielskie wprost z Manchesteru, skarżą się na ich zły gatunek. Należy przytém dodać, że wady tych perkali nie są zjawiskiem przygodném, lecz przeciwnie, stają się coraz to powszechniejszém. Z porównania ruskich perkali z angielskiemi, widzimy następujące zalety pierwszych: trwałość samej materyi, trwałość i delikatność farb i staranne odbicie rysunków; angielskie znowu perkale mają nad ruskiemi tę wyższość, że sztuki są szersze i dłuższe, rysunek jest lepiéj przystosowany do gustu konsumentów, zarówno jak sposób składania sztuk w paki i sposób opakowania. Zalety te, stanowiące przewagę perkali angielskich, mogą być z łatwością osiągnięte przez fabrykantów Królestwa. Co do téj kwestyi przytaczamy zdanie konsula ruskiego, dotyczące fabryk ruskich, a dające się zastosować do fabryk naszych. Uwagi te dotyczą: 1-o, szerokości materyi i przystosowania rysunku do gustu perskich konsumentów, oraz 2-o, długości sztuk, sposobów ich składania, upakowania i wagi paki.

Co do pierwszego, konsul mówi, że perkale w Persyi muszą miéć szerokości od 30 do 32 cali angielskich [1]), perkale zaś ruskie, jak już mówiliśmy, miały dotychczas szerokości 25 cali ang., ostatniemi jednak czasy, jeden z miejscowych (azerbejdżańskich) kupców przywiózł z jarmarku niższo-nowgorodzkiego wzory materyi żądanéj szerokości. Wzory te zostały rozchwytane przez miejscowe firmy poważne i zasłużyły na ogólne uznanie ze względu na wzmiankowane już przez nas przymioty. Kwestya więc szerokości perkali jest już w fabrykach ruskich do pewnego stopnia rozwiązana. Co do przystosowania rysunków do gustu konsumentów, niektóre perkale ruskie zupełnie odpowiadają wymaganiom miejscowym. Wady jednak w tym względzie są jeszcze wogóle ogromne, a trudność ich przezwyciężenia zawiéra się w tém, że przystosowanie się do rysunków, odpowiadających gustowi miejscowemu, jest możliwém tylko przy poważniejszych zamówieniach, tych jednak osiągnąć na razie niepodobna. Należy więc przystosowywać rysunki stopniowo, poznając zarazem jaknajdokładniéj gust miejscowy za pomocą zbierania odpowiednich wzorów rysunkowych, tymczasem zaś należy rozpowszechniać na miejscach zbytu jaknajwiększą ilość wzorów perkali, już obecnie wyrabianych. Jeżeli fabryki moskiewskiego okręgu fabrycznego umieją usuwać te wady, które stały na przeszkodzie zbytowi ich wyrobów, to sądzimy, że i fabryki naszego okręgu bawełnianego potrafią zrobić to samo.

Druga kategorya uwag konsula azerbejdżańskiego da się stre-

[1]) W ruskim arszynie jest 27 cali angielskich.

ścić, jak następuje: długość każdéj sztuki wynosić winna 36—42 metrów, co zaś do sposobu składania, to szerokość paki winna być zastosowaną do szerokości samego perkalu, długość zaś takowéj wynosić ma 37 cali angielskich; przeciętna waga każdéj paki towaru razem z opakowaniem nie powinna przenosić 100 do 220 fun. ang.; nareszcie przy upakowaniu należy zwracać uwagę na to, żeby każda paka towarów była zawinięta w t. zw. amerykańską materyą bawełnianą (*biaż = T'cloths*), o długości 24 yardów, przy wadze od 6 do 7 funt.; następnie obwijać należy pakę w bibułę niższego gatunku i nareszcie w płótno żaglowe, nasycone smołą; paka powinna być ściągnięta 3 obręczami żelaznemi. Należy więc przystąpić do starań w tym kierunku i przedewszystkiém wysyłać próbki długości nie mniéjszéj od jednego metra a całkowitéj szerokości sztuki, z oznaczeniem wartości metra, według cen fabrycznych przy sprzedaży hurtowéj.

Rozejrzyjmy się obecnie w warunkach handlowych prowincyi mazanderańskiéj i astrabadzkiéj, leżących na wschód od Gilanu. Otóż, przez dwie zatoki, które służą do przewozu towarów z Rosyi do tych prowincyi Persyi i z Persyi do Rosyi, przez t. zw. zatokę Giażską i Meszedeserską idą przeważnie wyroby rękodzielnicze, różne naczynia, w téj liczbie wyroby porcelanowe, kryształowe i szklane, metale nieobrobione, cukier rafinowany, wyroby metalowe, papier, różne towary drobne, świece stearynowe, płótna i rawentuch; wyroby jedwabne, kufry drewniane i wyroby z drzewa, lampy, nitki złote i srebrne, wyroby pasmanteryjne ze złota i srebra, bursztyn, ubiory kobiece, skóry, wyroby szychowe, bibuła, tytoń, mączka cukrowa, zapałki, wyroby ze skóry.

Najważniejsze zwiększenie w przywozie tych towarów daje się zauważyć w latach 1886 i 1887, a rozpoczyna się od r. 1883, t. j. po zniesieniu tranzytu przez Kaukaz. Najważniejsze miejsce zajmują wyroby rękodzielnicze, następnie naczynia porcelanowe, kryształowe i szklane, i szkła wszelkiego rodzaju; inne zaś kategorye towarów idą w powyżéj podanym porządku. Wartość ogólnego przywozu z Rosyi dosięga rocznie 3 milionów rubli [1]). Konsul astrabadzki donosi pod datą 13 (25) lutego r. z., że przywóz towarów z Rosyi do Astrabadu w r. 1888 dosięgnął 277,322 pudów, wartości 1,233,255 rs., wywóz zaś

---

[1]) Według sprawozdania konsula w Astrabadzie. Napozór zdawałoby się, że cyfry, podawane przez konsulów stają w niezgodzie z cyframi, podawanemi przez wydział celny. W gruncie rzeczy jednak przewyższają one cyfry wydziału tylko bardzo nieznacznie.

w tym samym roku przez Astrabad doszedł do 351,786 pudów, wartości 2,262,060 rs.

Wywóz z prowincyi mazanderańskiéj i astrabadzkiéj obejmuje te same rodzaje towarów, co i wywóz z prowincyi Gilan, za dodaniem dywanów, turkusów, wosku, oleju kunżutowego, opium, mazanderańskiego cukru surowego i ołowiu. Wywóz do Rosyi ze wzmiankowanych prowincyi wzrasta również, lecz nie w tym rozmiarze, jak przywóz ruski.

Te same mniéj więcéj, co do gatunku, towary przechodzą przez komory w Nachiczewaniu i Dżebrailu, oraz przez Astarę, Belasuar, Ordubad i Szarurę. Są to miejscowości, leżące przeważnie na pograniczu kraju Zakaukaskiego, na które należałoby zwrócić uwagę, zawiązując stosunki z Persyą przez Akstafę, będącą już obecnie bardzo ważnym punktem w handlu zakaukasko-perskim. Za wyłączeniem Astary, która sama przez się ma duże znaczenie, jako punkt przechodni i pośredniczący w handlu rusko-perskim, pozostałe z powyżéj wyliczonych miejscowości zasługują na mniejszą stosunkową uwagę.

Handel okręgu astrabadzkiego, koncentruje się w Astrabadzie i Szachrudzie, a najważniejszym punktem handlowym Mazanderanu jest Barfrusz.

Prócz tych dwóch miast w północnych prowincyach Persyi, zasługuje na uwagę Enzeli, port perski na morzu Kaspijskiém. Przywóz z Rosyi przez ten port do prowincyi Gilan, wynosi 4/5 ogólnego przywozu ruskiego do téj prowincyi. Z Enzeli idą téż towary ruskie na Pir-Bazar, Reszt, Każwin do Teheranu.

Drugi, również znacznéj wagi, port Meszedeser, służy dla przywozu ruskiego do prowincyi Mazanderan. Z Meszedeseru towary idą na Barfrusz do Teheranu.

Jak widzimy więc, dla towarów ruskich od morza Kaspijskiego do Teheranu istnieją dwie drogi: na Enzeli i na Meszedeser. Pierwsza długa jest przeszło 400 wiorst, druga 200. Na pierwszéj płaca za przewóz waha się od 1 rs. 15 kop. do 2 rs. za pud, a na drugiéj od 1 rs. 15 kop. do 1 rs. 60 kop. Tak znaczna różnica w cenie przewozu w stosunku do przestrzeni pochodzi stąd, że droga Enzeli - Teheran jest znacznie lepsza i dogodniejsza od drogi Meszedeser-Teheran.

Przechodząc daléj na wschód, napotykamy port Aszur-Ade, przystań Astrabadu. Towary ruskie, wchodzące do Persyi przez Aszur-Ade, skierowywują się przeważnie na Astrabad, Szafrud, Majamaj, Abbasabad, Sebzewar i Niszapur do Meszchedu, najważniejszego ogniska handlowego prowincyi Chorassan. Do czasu otwarcia kolei zakaspijskiéj, droga ta była jedyną dla towarów, skierowanych do Cho-

rassanu. Obecnie coraz więcéj towarów, idących do Meszchedu i wogóle do Chorassanu, wysyła Rosya przez zatokę Michajłowską, stamtąd koleją zakaspijską do Aschabadu i daléj wielką drogą na Kuczan do Meszchedu. Ponieważ droga na Aschabad jest dogodniejsza i będzie coraz to dogodniejsza z unormowaniem taryfy na kolei zakaspijskiéj, a szczególniéj z wybudowaniem zamierzonéj szosy od Aschabadu do Kuczanu, przyciągać więc będzie do siebie coraz więcéj towarów, tak, że z czasem prawdopodobnie droga na Szachrud służyć będzie tylko dla przywozu do północno-zachodnich okręgów Chorassanu, okręgów zresztą bogatych bardzo i urodzajnych. Przywóz zaś do pozostałych okręgów omawianéj prowincyi stosuje się i do wywozu z tych miejscowości do Rosyi.

Generał Anienkow podaje dane procentowe co do przewozu towarów do Chorassanu rozmaitemi drogami. Ponieważ w stosunkach handlowych z Rosyą, Chorassan posiada największą wagę z pomiędzy prowincyi perskich, przyjrzyjmy się bliżéj tym danym. Otóż według obliczeń generała Anienkowa, 10% wywozu z okręgu Meszchedzkiego idzie przez drogę azerbejdżańską, t. j. przez Trebizondę, Tauryz, Teheran, Szachrud, Sebzewar, najważniejszy punkt składowy dla północnego i środkowego Chorassanu, do Meszchedu, stanowiącego również centralny punkt handlowy dla wschodniego i południowego Chorassanu. Przez tę samę drogę azerbejdżańską 5% ogólnéj sumy przywozu do okręgu Meszchedzkiego skierowuje się przeważnie z Niemiec i Francyi. Rozpoczynamy tu rozpatrzenie handlu chorassańskiego od okręgu Meszchedzkiego dla tego, że jednocześnie z tym okręgiem rozpatrzymy okręgi Dżadżerm, Sebzewar i Niszapur, stanowiące wraz z okręgiem Meszchedzkim, środkowy pas Chorassanu, pas najurodzajniejszy, a więc z tegoż względu przedstawiający największe wyrachowania, co do eksploatacyi handlowéj. Otóż te okręgi, znajdujące się prócz tego w bardzo dogodnych w stosunku do Rosyi warunkach komunikacyjnych, zajmują najważniejsze miejscowe w handlu rusko-chorassańskim; bo chociaż północny pas Chorassanu, leżący nad samą granicą ruską, jest bliższym kolei zakaspijskiéj, to jednak okręgi górzyste, pas ten składające—Budżnurd, Kuczan, Deregez i Kellad, mają dotychczas, stosunkowo do pasu środkowego, bardzo mało rozwiniętą produkcyą rolną, oraz ruch handlowy, zbyt mało ożywiony. Południowe znowu okręgi Chorassanu—Turszyz, Turbet, Hejdara i Kain, zbyt są stosunkowo oddalone od Rosyi, tudzież zbyt przyzwyczajone do nabywania towarów zachodnio-europejskich, ażeby mogły przedstawiać na razie szersze wyrachowania co do eksploatacyi handlowéj. Dowóz do tych ostatnich okręgów odbywa się przeważnie drogą bender-buszirską,

którą też przechodzi około 10% wywozu z okręgów Meszchedzkiego, Niszapurskiego i Sebzewarskiego. Przywóz do tych okręgów również przeważa na drodze bender-buszirskiéj.

Zwracaliśmy już uwagę na drogę astrabadzką, poczynającą się od zatoki tegoż imienia. Od Szachrudu, dokąd ta droga dosięga, po przebyciu niedogodnych pod względem komunikacyjnym miejscowości, idzie jedna jéj odnoga na Sebzewar, Niszapur do Meszchedu. Jest to odnoga najważniejsza i jedynie w tym razie zasługująca na uwagę. Od czasu zniesienia tranzytu przez Kaukaz, droga astrabadzka służy wyłącznie dla przewozu towarów, idących z Rosyi. Wychodzi nią z okręgu Meszchedzkiego około 15% ogólnéj sumy wywozu, z południowego Chorassanu około $^1/_2$, a z okolic Sebzewaru i Niszapuru około 70%. Wywóz z tych miejscowości na Astrabad wogóle wynosi około 60%; przywóz przez Astrabad do Meszchedu 35—46%; do południowych okręgów Chorassanu 45—56%, a do okręgów Sebzewarskiego i Niszapurskiego 55—66% ogólnéj sumy przywozu; wogóle więc przywóz do Chorassanu drogą astrabadzką dosięga 55—60% ogólnéj sumy. Stąd widocznem jest znaczenie drogi astrabadzkiéj dla handlu z Chorassanem, a szczególniéj ze środkowemi jego okolicami.

Drugą drogą przywozu ruskiego jest koléj zakaspijska. Z wybudowaniem téj drogi, przebiegającéj na znacznéj przestrzeni bardzo blisko od granicy perskiéj, najbardziéj ożywiły się północne okolice Chorassanu, tudzież okręg Meszchedzki, posiadający dawną dogodną komunikacyą z Kuczanem. To też wywóz z okręgu Meszchedzkiego wynosi 75% ogólnéj sumy, podczas gdy ze Sebzewarskiego i Niszapurskiego okręgu zaledwie 10%, i to dopiéro w ostatnich czasach. Południowy Chorassan dotychczas z téj drogi wcale nie korzysta.

Po tym przeglądzie dróg przywozu do Chorassanu, porównajmy ceny przewozu od Meszchedu, Sebzewaru i Turszizu do zatoki Perskiéj z jednéj strony, oraz ceny przewozu z tych samych miejscowości do Astrabadu i Aschabadu—z drugiéj strony. Ceny przewozu do zatoki Perskiéj z Anglii, Francyi i Niemiec przyjmujemy za jednakowe z cenami przewozu ruskich i naszych ognisk przemysłowych do Astrabadu i Aschabadu, chociaż w rzeczywistości tak nie jest, bo ceny te są znacznie niższe. Po zestawieniu otrzymujemy następującą tabliczkę:

	do Bender-Buszirn	Astrabadu	Aschabadu
Od Meszchedu . . .	2—3 rs.	75— 85 kop.	40—50 kop.
„ Sebzewaru . . .	2—3 „	52—118 „	54 kop. *maximum*
„ Tuszira—*minimum*	1 rs. 60 kop.	około 80 i więcéj	około 75 kop. i więcéj.

Cena przewozu od Warszawy i Łodzi do Astrabadu wynosi 1 rs. 60 kop. do 1 rs. 80 kop., od Warszawy do Aschabadu 1 rs. 75. kop

Od Warszawy więc do Meszchedu przewóz jednego puda na Astrabad kosztuje najwyżéj 2 rs. 50 kop., a na Aschabad 2 rs. 20 kop. Droga na Aschabad jest nietylko tańsza, lecz i bez porównania dogodniejsza ze względu na teren; za drogą astrabadzką może tylko przemawiać mniejsza ilość przeładowywań, którym muszą podlegać towary, idące tą drogą.

Jak widzimy, ceny przywozu z Królestwa do Chorassanu są znacznie niższe od cen przewozu do Chorassanu z zachodniéj Europy. Koszt przewozu z Rosyi jest niewiele niższy od przewozu z Królestwa.

Przy rozwoju środków komunikacyjnych, jak np. przy zamierzoném zbudowaniu szosy od Aschabadu do Kuczanu, przy powiększeniu taboru kolei zakaspijskiéj, zniżeniu taryfy przewozowéj na téj kolei i t. d., towary idące z Cesarstwa i Królestwa, będą więc miały bardzo znaczną po swéj stronie przewagę w konkurencyi z towarami zachodnio-europejskiemi, przewagę, pochodzącą z różnicy w kosztach przewozu. Stanowczo więc konkurencya towarów ruskich w Chorassanie z zachodnio-europejskiemi jest możliwa, a znowu towary nasze znajdują się w warunkach dogodnych, w stosunku do towarów Cesarstwa.

Poprzednio już wyliczyliśmy towary, jakiemi prowadzą handel północno-wschodnie prowincye Persyi z Rosyą. Dodamy tu jeszcze krótki wykaz towarów, będących na liście ruchu handlowego chorassańsko-ruskiego. Otóż, do Chorassanu Rosya wywozi około 5 tys. pak towarów bawełnianych w cenie 250,000 tomanów. W grupie towarów rękodzielniczych znaczne miejsce zajmują również wyroby jedwabne (za 10,000 tomanów) i wełniane (za 8,000 tom.); następnie idzie cukier i mączka cukrowa — około 150,000 pudów. Poważne też miejsce zajmują wyroby kryształowe, żelazo, towary galanteryjne, towary aptekarskie, oraz korzenne. W mniejszych ilościach dowożone są świece, szkło, tace, samowary z bronzu, mosiądz, blacha żelazna, towary futrzane, wyroby z żelaza lanego, tytoń i papierosy.

W wywozie chorassańskim pierwsze miejsce zajmuje bawełna około 500,000 pudów, następnie wełna—przeszło 300 tys. pud. i dywany za 60,000 tomanów. Podrzędniejsze miejsca przypadają na wyroby wełniane, wyroby jedwabne, suche owoce, skóry owcze, materyały farbierskie, naczynia i wyroby z kamienia oraz turkusy.

Jak przywóz, tak i wywóz chorassański zwiększają się ciągle, szczególniéj od czasu otwarcia ruchu na kolei zakaspijskiéj. Ruch ten ożywił w znacznym stopniu północne szczególniéj okolice Chorassanu, tak pod względem przemysłowym, jakotéż handlowym.

Streszczając to wszystko, cośmy wyżéj powiedzieli, przyjść mu-

simy do wniosków następujących: handel eksportowy Rosyi może się odbywać z powodu dogodnych warunków komunikacyjnych z prowincyami północnéj, północno-zachodniéj i północno-wschodniéj Persyi, t. j. z Azerbejdżanem, Gilanem, Mazanderanem, okręgiem Astrabadzkim, Teheranem, okręgiem Sebzewarskim, Niszapurskim i Meszchedzkim, oraz z pozostałemi częściami Chorassanu.

Skuteczna konkurencya zagranicy ma miejsce w południowych prowincyach Persyi. Towary Królestwa z towarami Cesarstwa, ze względu na koszty przewozu — konkurować mogą. Do konkurencyi téj wystąpić przedewszystkiom powinny wyroby bawełniane, cukier i mączka cukrowa, następnie wyroby wełniane, wyroby kryształowe, naczynia porcelanowe, emaliowane i inne, towary galanteryjne, aptekarskie, korzenne, towary wonne, świece stearynowe (w niewielkich ilościach), szkła wszelkiego rodzaju, wyroby pasmanteryjne, roboty szychowe, papier do pisania, bibuła, guziki szklane i z macicy perłowéj, ubiory damskie, obuwie, wyroby metalowe, wyroby ze skóry i t. d.

Najważniejszemi przeszkodami handlu z Persyą są: przedewszystkiem niedokładna znajomość gustu konsumentów i charakteru zapotrzebowania wogóle; brak wiadomości o warunkach zbytu i brak instytucyi dyskontowéj lub przynajmniéj odpowiedzialnéj firmy, któréj *del-credere* byłoby wystarczającém dla naszych firm.

Bliższe zbadanie popytu miejscowego powinno dotyczyć następujących miejscowości, rozpoczynając od Akstafy w kraju Zakaukaskim, Astary, Gilanu, Enzeli, Meszedeseru, Aszur-Ade, Czikiszlaru, Resztu, Kaźwinu, Teheranu, Barfruszu, Astrabadu, Szachrudu, Sebzewaru, Niszapuru, Meszchedu i Aschabadu. Uwzględnić także należy takie miejscowości, jak Batum, Baku i Uzun-Ada, a to w celu dokładnego zbadania ilości i charakteru eksportu i importu. Mówiliśmy o tém, że jedną z przeszkód do rozwoju handlu z Persyą jest brak instytucyi dyskontowéj dla weksli tamtejszych; powrócimy do tego, rozpatrując ogólny zarys projektu, takiéj instytucyi, jakaby eksploatacyą handlu ze Wschodem przeprowadzić najlepiéj potrafiła.

(*D. n.*) *Tadeusz Zaleski.*





Z DZIEDZINY PSYCHOLOGII.

J. Wł. Dawid: „Szkice psychologiczne.“ Warsz., nakładem Teodora Paprockiego i S-ki, r. 1890, str. 239.

Szereg psychologicznych rozpraw, pomieszczonych w tém dziele, rozpoczyna krótki szkic zatytułowany „*Psychogeneza.*“ Tytuł ten nie określa dokładnie pytania, które autor na tém miejscu rozstrząsa. Przedmiotem szkicu nie jest zagadnienie, jak i na którym szczeblu w rozwoju istot pozostaje dusza,—chociaż i na nie pośrednio otrzymujemy odpowiedź, — lecz jak należy pojmować stosunek duszy do ciała (względnie ducha do materyi) w świetle współczesnéj nauki.

Najwyższe uogólnienie, do którego ścisła wiedza się wzniosła, jest prawo zachowania siły. W myśl tego prawa nie wolno nam zjawisk świadomości pojmować, jako następników molekularnego ruchu materyi, i odwrotnie, czynności cielesnych jako następników zmian duchowych. W pierwotnym bowiem przypadku musielibyśmy przyjąć, że ruch *rozciągły* przeobraził się w zjawisko *nierozciągłe*, t. j. że pewna ilość ruchu znikła bez śladu; w drugim zaś, że pewna zmiana *nierozciągła* przeobraziła się w ruch *rozciągły*, t. j. że pewna ilość ruchu powstała z niczego. Wynika stąd bardzo ważna wskazówka dla należytego pojmowania stosunku ducha do materyi. Skoro bowiem zjawiska psychiczne nie są równoważnikami ruchu fizycznego i naodwrót, przeto między materyą a duchem nie może zachodzić stosunek przyczynowości, lecz współbytności. Stąd zaś wynika drugi wniosek, że duch nie może się zjawiać na tym lub owym szczeblu rozwoju materyi, lecz musi być wszędzie i tak samo od wieków jak materya; w przeciwnym bowiem razie należałoby przypuścić, że zjawienie się ducha poprzedziło, jako jego *przyczyna* jakieś zjawisko materyalne, co się wprost sprzeciwia prawu zachowania siły. Pojęcie więc powszechnie „uduchowionéj“ materyi jest prostą konsekwencyą pod-

stawowego prawa współczesnéj nauki. Słusznie utrzymuje autor, że pojęcia tego nie można opierać na analogii, w takim bowiem razie istnienie duchowego czynnika moglibyśmy przyjąć tylko w istotach do nas podobnych, lub najwyżéj we wszystkich istotach zorganizowanych. Również nie podobna czynnika tego upodobniać z jakimkolwiekbądź stanem psychicznym, znanym nam z zewnętrznego doświadczenia; nazywać go wolą, jak Schopenhauer, uczuciem jak Noiré, mówić o wstrętach, pociągach i t. d. atomów — jest niczém nie usprawiedliwioną analogią. Jesteśmy uprawnieni do negatywnego tylko określenia tego czynnika, mianowicie jako nierozciągłego w przeciwstawieniu do rozciągłéj materyi. Pozytywnie wiedza nasza przez pojęcie to nie zostaje wzbogacona, ale zyskujemy w niém bardzo ważną zasadę metodologiczną. Skoro bowiem czynnik duchowy materyi jest pierwotny, przeto zjawisk psychologicznych nie możemy wyprowadzać z procesów fizyologicznych; tylko pośrednio na podstawie analogii, popartéj wewnętrzném doświadczeniem, możemy z ostatnich wnioskować o pierwszych. Odnośnie zaś do filozoficznego całokształtu naszéj wiedzy hypoteza uduchowionéj materyi, a więc—co za tém idzie—uduchowionego atomu daje nam możność wytworzenia jednolitego poglądu na świat, jako na sumę zjawisk, dających się wytłómaczyć mechanicznie na podstawie powszechnego prawa zachowania siły.

W celu dokładniejszego wyrażania swéj myśli, przeprowadza autor paralelę między swém filozoficzném *credo*, a filozofią Spinozy. W saméj rzeczy i Spinoza nie uznawał przyczynowego związku między duchem a materyą: materya i duch istnieją i dla Spinozy tylko współrzędnie i współcześnie, jako dwa różne atrybuty Boga. Ale jego „matematyczny panteizm“ (według trafnego orzeczenia Windelband'a: „*Geschichte der neueren Philosophie*,“ t. I, str. 200 i nast.), nie zna ani atomu, ani mechanizmu zjawisk. Natomiast dwa te zasadnicze pierwiastki nowoczesnéj myśli możemy odnaleźć u Leibnitz'a w jego „monadach“ i „prestabilizowanéj harmonii“; dlatego, zdaniem naszém, słuszniejsze miałby autor prawo myśl swą przyoblec w wyrażenia, zapożyczone u autora monadologii.

W szkicu p. t. „Uzdrowieni przez wyobraźnią“ stara się autor rzucić światło na pewną stronę stosunku umysłu do ciała, dotychczas mało zbadaną, a nawet zaniedbywaną. Jakkolwiek pytanie o stosunku dwóch tych składników naszego życia dotychczas mało jest wyjaśnione, z tém wszystkiém można jako pewnik przyjąć, że żaden z tych czynników nie góruje na drugim, lecz że każdy z nich może za-

początkować i początkuje zmiany i czynności drugiego: z jednéj strony ogólny stan naszego ciała, jak i zmiany, zachodzące w niém, mają swe odpowiedniki w ogólnym stanie i czynnościach umysłu, a z drugiéj stan i zmiany umysłu odzwierciadlają się w funkcyach cielesnych. Pierwsza połowa tego pewnika nigdy w istocie wątpliwości nie podlegała; natomiast druga dopiéro wnajnowszych czasach została ustalona. Materyału dowodowego dla niéj dostarczały psychologom zaburzenia wfunkcyach ciała, spowodowane niewątpliwie wyłącznie tylko pewnemi czynnościami umysłu bez udziału fizycznéj przyczyny chorobotwórczéj. Na odwrotną stronę téj kwestyi, t. j. na leczniczą siłę umysłu, mało zwraca się w ogole uwagi. Nie wątpimy o prawdzie przysłowia, że „wiara uzdrawia“, i danych, stwierdzających bezspornie możność uzdrowienia działaniem na umysł chorego, jest dość pokaźna liczba, wszakże nikt nie zajął się ugrupowaniem ich w celu wyjaśnienia, wśród jakich warunków uzdrowienie takie jest możliwe i jakie czynności umysłowe w celach leczniczych pobudzić należy. Ten to właśnie leczniczy mechanizm ducha jest przedmiotem zacytowanego szkicu.

Rozbierając różne fakty uzdrowienia przez umysł, odnajduje autor następujące lecznicze czynniki ducha: 1) uwagę, 2) wzruszenia radości i przestrachu, 3) wyobraźnią, 4) wiarę. Ostatniemu czynnikowi poświęca najwięcéj miejsca i zastanawia się szczegółowo nad warunkami powstawania i umocnienia wiary. W gruncie rzeczy, jeśli się zgodzić na takie określenie wiary, jakie autor daje (str. 23), to należy ją uznać tylko za pewien objaw wyobraźni i nie ma powodu uważać jéj za odrębny leczniczy czynnik ducha. „Wiara, utrzymuje autor (str. 24), przypuszcza stałe i niezmienne trwanie jednego wyobrażenia z wyłączeniem innych“... „w parze z nią iść musi silne natężenie tego jednego wyobrażenia: wyobrażać przedmiot jakiś długo i wyłącznie, znaczy to wyobrażać go żywo“..... „w stanie wiary zatamowanie wszystkich wyobrażeń na korzyść jednego, w które człowiek wierzy... powoduje odnośnie do niego to, co w zwykłéj mowie nazywamy podniesieniem wyobraźni.“ Nie spieramy się z autorem o istotę wiary lub, jak on się wyraża, stanu wiary. Niewątpliwie jednak między taką wiarą a wyobraźnią nie ma żadnéj różnicy. Sam autor to przyznaje, utrzymuje jednak, iż w konkretnych wypadkach różnica taka istnieje zależnie od tego, czy powodującym momentem jest wiara, czy wyobraźnia. Jest to nieporozumienie; albo bowiem w stanie wiary ma miejsce spotęgowanie żywości wyobraźni, a w takim razie mamy do czynienia z wyobraźnią, albo takiego spotęgowania nie ma, a w takim razie wiara nie jest tym aktem umysłowym, o jakim autorowi chodzi. W ogóle z wywodów autora zyskujemy to przekonanie, że umysłowym czynnikiem

leczniczym może stać się tylko wyobraźnia, podniecona już to uwagą, już to wzruszeniami, już to zewnętrznemi pobudkami. Autor nie łudzi się co do doniosłości takiego rezultatu swych dociekań, i wyraźnie oświadcza, że wyjaśnienia jego nie dotyczą zgoła zasadniczego pytania, dlaczego i w jaki sposób pewne stany naszego umysłu sprowadzają pewne określone zmiany w naszém życiu fizycznėm. Łudzi się jednak, gdy utrzymuje, iż mu się udało wykazać wspólność zjawisk, przez się omawianych, z grupą innych na pozór zupełnie odrębnych zjawisk, bardziéj ogólnych i lepiéj znanych. Sądzi mianowicie, iż uzdrowienie przez umysł w niczém się nie różni od halucynacyi. W jednym i drugim bowiem razie odtworzony zostaje, jak mniema, pewien rzeczywisty stan nerwów pod wpływem natężonych stanów umysłowych, a „mniejsza o to, że w jednym razie (t. j. halucynacyi) téj istotnie odtworzonéj rzeczywistości nerwowéj towarzyszy i pozornie odtworzona rzeczywistość jakiegoś przedmiotu zewnętrznie umiejscowionego, w drugim (t. j. uzdrowienie) zaś — nie" (str. 26 n.). Wistocie, gdyby między objawami halucynacyi, a wypadkami uzdrowienia przez umysł tylko ta zachodziła różnica, mielibyśmy w obu grupach tylko różne formy tego samego procesu psychicznego. Gdy jednak odtworzona w halucynacyi pozorna rzeczywistość istnieje tylko dla podmiotu, ulegającego złudzeniu i nie ma dla niéj sprawdzianu przedmiotowego, w uzdrowieniu przez umysł odtworzona rzeczywistość przestaje być pozorną tylko, gdyż jest zjawiskiem, sprawdzanym przedmiotowo. Dwa ogniwa mechanizmu halucynacyi i uzdrowienia przez umysł są w istocie identyczne: natężenie umysłowe i odtworzenie realnego stanu nerwów; lecz ostatnie ogniwo: w pierwszym wypadku — złudzenie podmiotowe, w drugim — przedmiotowa rzeczywistość należą do dwóch tak odrębnych światów, że nie widziemy podstawy dla utożsamienia obu mechanizmów.

To nieuzasadnione, zdaniem naszém, uogólnienie nie ujmuje jednak zgoła wartości całemu szkicowi. Moglibyśmy tylko mieć pretensyą do autora za to, że nie określił granic leczniczego wpływu umysłu, ku czemu nagromadzony przezeń materyał daje pewne wskazówki. Rozglądając się bowiem w wypadkach uzdrowienia przez wyobraźnią, podanych przez autora, łatwo dostrzedz, iż wszystkie, z wyjątkiem jednego, bardzo wątpliwego (zacytowanego na wiarę d-ra Hack'a Tuke'a, str. 17), polegają na usunięciu zaburzeń czynnościowych; wypadków leczniczego wpływu umysłu na choroby, wynikające ze zmian anatomo-patologicznych np. w mięśniach przy długotrwałym paraliżu nie spotykamy. Okoliczność ta upoważnia do wniosku, że wyobraźnia

może się stać czynnikiem uzdrawiającym tylko w takich wypadkach, w których zboczenia w systemie nerwowym nie wywołały jeszcze zmian anormalnych w tkance mięśni. Wniosek taki wydaje się nam tém prawdopodobniejszym, że według poglądu współczesnéj psychologii naukowéj, przyjętego także przez autora, pomiędzy wyobrażeniem t. j. stanem idealnym a wrażeniem, t. j. stanem realnym ze strony fizyologicznéj nie ma istotnéj różnicy: jeden i drugi jest psychicznym odpowiednikiem tego samego procesu nerwowego (str. 24). Spotęgowanie więc pewnego wyobrażenia, uznane jako niezbędny warunek uzdrowienia przez umysł, może pociągnąć za sobą zmiany tylko w czynnościach nerwów.

Następny z kolei szkic „o poddawaniu uczuć jako środku narodowego wychowania", ze wszystkich najdonioślejszy ze względu na przedmiot, odznacza się wszystkiemi zaletami dobréj monografii psychologicznéj: dokładnością analizy zjawisk psychicznych, śmiałém a zasadném zastosowaniem analogii, wreszcie wszechstronném i oględném tłómaczeniem faktów, popierających teoretyczne wywody. Niepodobna nam dla braku miejsca śledzić krok w krok za autorem i przytaczać wszystkie ogniwa w łańcuchu jego rozumowania. Możemy tylko w najogólniejszych rysach przedstawić jego metodę i streścić ostateczny wynik badania.

Chodzi autorowi o wyświetlenie natury stosunku, zachodzącego między ruchami a uczuciami, a w szczególności o odpowiedź na pytanie czy i w jaki sposób ruchy wywołują uczucia. Prosta obserwacya zjawisk życia normalnego, w którychby związku tego dopatrzéć się można, nie daje wystarczającego dowodu. Wobec wielkiéj bowiem ilości i powikłania możliwych przyczyn, nie podobna nawet rozstrzygnąć, czy zaobserwowany ruch wpłynął na obudzenie skojarzonego z nim uczucia. Fakt poddawania uczuć w śnie hypnotycznym zapomocą nadawania uśpionemu ruchów i postawy ekspresyjnéj dowodzi, że w stanie normalnym ruchy mogą wywołać uczucia. Wypada zatém wzmiankowane zjawisko rozłożyć na składowe jego czynniki i wyśledzić działanie każdego z osobna, aby następnie oznaczyć prawdopodobieństwo ich skutku w stanie normalnym. Ponieważ zaś zjawienie się uczuć w śnie hypnotycznym na skutek ruchów jest jednym z przypadków kojarzenia się stanów świadomości na zasadzie przyległości, przeto zadanie, jakie sobie autor postawił, redukuje się w pierwszym rzędzie do wykazania okoliczności, wśród których prawo to działa w śnie hypnotycznym i w stanie normalnym. Zapomocą takiéj analizy wykrywa autor czynniki, warunkujące w stanie normalnym skuteczność i stopień kojarzenia się przyległych stanów świadomości,

a więc i poddawania uczuć przez ruchy. Uzyskany w taki sposób, odnośnie do ruchów ekspresyjnych, wniosek, ma jednak znaczenie daleko ogólniejsze i obejmuje dziedziny, nie mające napozór nic wspólnego z tą kategoryą ruchów. Z jednéj bowiem strony dotyczy on tak zwanego postępowania t. j. szeregu świadomych i celowych ruchów, a z drugiéj wszelkich wyobrażeń ruchowych, które co do swéj istoty są tylko niższym stopniem ruchów rzeczywiście wykonanych. Przez takie podwójne rozszerzenie pojęcia ruchu, otwiéra sobie autor szerokie pole obserwacyi, i może stwierdzić empirycznemi faktami rzeczywistość swego apriorycznego dowodu, a więc nadać mu znaczenie prawa empirycznego. Prawo to formułuje autor w następujący sposób: „Wyraz, postawa ekspresyjna i postępowanie, czy to rzeczywiste, czy wyobrażane (widziane, słyszane), zawsze dążą, a przy przyjaznem lub tylko obojętnem ustosunkowaniu się względem nich innych wyobrażeń, uczuć i aktów woli, oraz pod wpływem powtórzeń, rzeczywiście wywołują w umyśle te uczucia, popędy i wyobrażenia, które w zwykłym porządku były ich poprzednikami i pobudkami“ (str. 85).

Praktyczne konsekwencye tego prawa są bardzo doniosłe. Wykazuje ono bowiem możność oddziaływania na najmniéj podatne stany świadomości, jakiemi są uczucia, za pomocą ruchów, które przeciwnie są najdostępniejsze dla woli zarówno samego osobnika jak i innych ludzi. Ponieważ zaś uczucia, jak to wskazuje nietylko analogia z innemi stanami świadomości ale i obserwacya, zdolne są przetrwać wywołujące je pobudki, a w miarę powtórzeń z coraz większą odradzają się łatwością po wpływem już nie tych samych, lecz analogicznych tylko pobudek, przeto łatwo pojąć, iż z czasem stają się stałemi usposobieniami, a więc samoistnemi pobudkami postępowania. To nam wyjaśnia, dla czego szkoła, sytuacye życiowe, profesye wychowują człowieka i stałe piętno na charakterze jego wyciskają.

„O drugorzędnych źródłach miłości“ traktuje szkic następny.

Miłość jest ze stanowiska teoryi ewolucyjnéj popędem płciowym, zróżnicowanym przez dobór naturalny i płciowy. Dwie te siły, działające stale i w określonym kierunku, są źródłem indywidualnych pociągów i wstrętów w miłości. Gdyby dwóch tych sił brakło, instynkt płciowy pozostałby nie zróżnicowany t. j. zadawalniałby się bez wyboru każdym przedmiotem, posiadającym cechę „niezbędną“. Łatwo dostrzedz, że związki miłosne nie dokonywają się stale i powszechnie przez wybór miłosny, że przeciwnie nawet u osobników, stojących na bardzo wysokim stopniu rozwoju, instynkt płciowy często występuje w swéj pierwotnéj, niezróżnicowanéj formie, zadawalniając się bez wyboru swemi przedmiotami. Widoczna zatém, że czynniki doboru

naturalnego i płciowego (częściowe powinowactwo, częściowy kontrast i panujący w danéj grupie osobników ideał) nie zapanowały dotychczas zupełnie w związkach miłosnych. Mając na względzie to powszechne prawo w rozwoju czynności psychicznych, że przy powstaniu nowych, wyższych organów, dawniejsze i niższe nie zanikają, lecz tylko podporządkują się pierwszym, wylicza autor wypadki, w których dobór miłosny ustępuje przed zasadą równéj przydatności wszystkich przedmiotów miłości. Wypadków takich odnajduje pięć: 1-o zbyt niski poziom rozwoju całego gatunku, 2-o niedostateczny rozwój niektórych osobników danego gatunku, 3-o zmiany sposobu życia całego gatunku, 4-o bezwzględny lub względny brak przedmiotów dla wyboru miłosnego i 5-o natężenie instynktu do stopnia naglącéj żądzy. Ponieważ w tych wypadkach nie działa żaden z właściwych czynników miłosnego wyboru, przeto, wnioskuje autor, działają tu inne wpływy, i te właśnie wpływy nazywa drugorzędnemi środkami miłości. Wniosek ten, mający rozstrzygające znaczenie w sformułowaniu całego zadania, wydaje się nam błędny. W saméj rzeczy, jeśli miłość jest instynktem płciowym, zróżnicowanym przez dobór naturalny i płciowy, w takim razie w wypadkach, w których czynniki doboru nie działają, albo wybór miłosny wcale nie ma miejsca, albo téż jest wybór, ale bez miłości. Innego wniosku nie mamy prawa wyprowadzić z danych przesłanek. Jeśli zatém spotykamy w życiu liczne przykłady wyboru miłosnego, dokonywanego bez w i d o c z n e g o udziału kryteryum, wytworzonego przez dobór naturalny i płciowy, to należałoby w myśl teoryi ewolucyjnéj nie odszukiwać czynników zastępczych („drugorzędnych źródeł“) wyboru, lecz zbadać, czy w tych wypadkach miłość wogóle w grę wchodzi, a jeśli wchodzi, to wykryć u t a j o n e wpływy czynników właściwych, działających obok wpływów ubocznych. Teorya naturalnego i płciowego doboru nie wyklucza bowiem myśli, że w wyborze miłosnym mogą brać udział i te czynniki, które autor nazwał drugorzędnemi źródłami miłości. Przy tém jednak obstawać musi, że gdzie miłość istotnie się ujawnia, tam muszą na zróżnicowanie instynktu płciowego wywierać swe wpływy i czynniki powinowactwa, kontrastu i ideału. Jako rezultat długotrwałego i stale działającego doboru, są one czynne w każdym przejawie miłości; widoczna jednak, że wpływ ich na instynkt płciowy, tak co do stopnia jak i kierunku zróżnicowania, pozostawia dość szerokie dla wyboru granice. W tych to dopiéro granicach działają owe „drugorzędne źródła miłości“; one dokonywają ściślejszy wybór i ostatecznie rozstrzygają o przedmiocie miłości. Innemi słowy: w każdym rzeczywistym wypadku wyboru miłosnego (nie doraźnego zaspokojenia instynktu płciowego) wypada z punktu widze-

nia teoryi ewolucyjnéj przyjąć współczesne działanie i czynników właściwego doboru i czynników przypadkowych, drugorzędnych. Że w konkretnych przejawach miłości częstokroć trudno wykryć wpływy właściwego doboru, to nie dowodzi, żeby w przejawach działały zastępczo wyłącznie czynniki drugorzędne. Dobór właściwy działa jako siła organiczna i rzadko się uświadamia dla zakochanego osobnika; dla postronnego zaś widza szerokie granice tego doboru utrudniają wydanie stanowczego sądu. Godzi się jednak przypuszczać, że gdyby materyał faktyczny lepiéj był przez obserwacyą zbadany, niż to ma obecnie miejsce (prawdopodobnie, niż może mieć wogóle miejsce), a zwłaszcza gdyby podobna było różnorodne objawy miłości wydzielić z pośród masy innych uczuć, często nie mających nic wspólnego z miłością, — a można to odnieść także do niektórych wypadków, cytowanych przez autora—w takim razie mielibyśmy możność dokładniéj określić udział stałych i ubocznych czynników w wyborze miłosnym. Nie jednę ważną wskazówkę daje nam autor w swym szkicu; zestawił w nim bowiem różne przejawy miłości i uwydatnił udział różnych czynników psychicznych w ich genezie.

W krótkim szkicu zatytułowanym „rozkosz cierpienia" tłómaczy nam autor naturę i genezę tego mało zbadanego stanu. Uczucie przyjemności, jakie w tym psychicznym objawie łączy się z cierpieniem, jest, według wyjaśnień autora, natury pochodnéj. Pierwotném jest cierpienie; uczucie zaś przyjemności łączy się z nim jako objaw wtórny pod wpływem skojarzonych z niém wyobrażeń o charakterze przyjemnym. Wyobrażeń tych zwykle sobie jasno nie uświadamiamy, lecz bezwiednie ulegamy ich wpływowi, wskutek czego „rozkosz cierpienia" wydaje się nam uczuciem jednolitém. Obok tego źródła „rozkoszy cierpienia" przyjmuje autor jeszcze drugi czynnik — formalny, nie leżący w treści skojarzonych wyobrażeń, lecz w przyjemności, jaką nam wszelkie wrażenia przez samą swą obecność sprawiają. Udział tego czynnika w omawianém uczuciu wydaje się nam wątpliwy. W gruncie rzeczy i autor nie przyznaje wrażeniom zdolności budzenia uczuć przyjemnych przez sam tylko fakt zapełnienia sobą duszy. Z własnych wywodów autora okazuje się, że wrażenia nieprzyjemne mogą stać się pobudką dla uczuć przyjemnych tylko, albo przez uświadomienie kontrastu pomiędzy spowodowanym przez nie ruchem i pełnią psychiczną, a panującą przedtém w duszy martwotą i pustką, albo przez skojarzenie się z takiemi wyobrażeniami, jak wspomnienia przeszłych powodzeń, nadzieja przyszłych lub wreszcie widok obecnych, któreśmy osiągnęli dzięki bodźcowi, jaki wola nasza właśnie w danem cierpieniu znalazła. Zatém i ten drugi rzekomy czynnik redukuje się w istocie

do wpływu wyobrażeń, skojarzonych z pierwotném uczuciem cierpienia. Postępując więc konsekwentnie za wskazówkami autora, wypada źródła „rozkoszy cierpienia“ szukać wyłącznie w treści, nasuniętych nam przez uczucie bólu wyobrażeń. Co więcéj, grupa wyobrażeń, objętych przez autora nazwą formalnego czynnika, splata z cierpieniem przyjemność w ten sam sposób, jak i grupa pierwsza, a mianowicie przez to, że nasuwa cierpiącemu pojęcie jego wyższości bądź to w porównaniu z otoczeniem; bądź to z samym sobą w czasie, kiedy go cierpienie nie przygniatało. Na ten rys „rozkoszy cierpienia,“ że przyjemność jego płynie z pojęcia wyższości, jakie cierpiący ma o sobie, zwrócił uwagę Spencer. Niesprawiedliwy więc jest autor względem tego filozofa, gdy utrzymuje, że o uczuciu tém on wprawdzie wspomina, „lecz nazywa je wogóle niezrozumiałém, pojmuje je przytém tylko jako uczucie niesprawiedliwego losu, przyjemność krzywd, które znosimy bez własnego przyczyniania się“ (str. 143). Spencer nie zadawalnia się takiém określeniem „rozkoszy cierpienia,“ lecz tłómaczy, acz w krótkości jego genezę, twierdząc, iż prawdopodobnie człowieka, owładniętego tém uczuciem, przenika myśl o jego wyższości nad innemi (t. II „Psychologii w tłóm. franc.,“ str. 620). Zasadniczą zatém myśl hypotezy autora znajdujemy także u Spencera. Nie zmniejsza to naturalnie bynajmniéj zasługi p. Dawida. Myśl, rzuconą przez filozofa angielskiego w formie wątpliwego domysłu, rozwinął on dokładniéj i wzmocnił jéj prawdopodobieństwo przez wykazanie na przykładach, iż cierpienie w wieloraki sposób może nasuwać pojęcie wyższości, a nie wyłącznie wskutek wyobrażenia kontrastu pomiędzy rzekomemi zasługami cierpiącego, a położeniem, jakie mu w zamian za nie zgotowali ludzie i los, jak to przypuszcza Spencer.

W chwilach niepewności co do rezultatu zamierzonego przedsięwzięcia, albo téż oczekiwania jakiegoś ważnego wypadku, ludzie często przypisują zdarzeniom błahym, nie pozostającym w żadnym przyczynowym związku z przedmiotem ich niepewności i oczekiwania, znaczenie wskazówek, to napełniających ich otuchą, to przejmujących ich obawą. Zdarzenia takie mają zatém w tych warunkach znaczenie prognostyków. Jak powstają prognostyki téj kategoryi? jakie stany duchowe są ich źródłem? Zawiłe to zjawisko stara się autor rozwikłać w szkicu p. t.: „O niektórych prognostykach.“ Odszukując wyobrażeń, które stale w takich prognostykach się ujawniają, i analizując powodujący je nastrój uczuciowy, odnajduje autor następne czynniki, składające się na powstanie prognostyków. Przedewszystkiém natężony stan umysłu, warunkujący odnoszenie wszystkich bieżących zdarzeń do panującego w danéj chwili wyobrażenia przedmiotu oczekiwa-

nego, a niepewnego. Daléj, dwa stany intelektualne: bezwiedne skojarzenie, zawierające sąd o łączności i przyczynowéj zależności drobnych przyczyn i wielkich skutków, oraz wiara w powtórzenie się tego, co się raz zdarzyło; wreszcie pewien stan uczucia i przewaga wewnętrznego zadowolenia lub przygnębienia ducha, które uspasabiają człowieka do zatrzymania się nad niektóremi tylko zdarzeniami i do wyciągania raczéj tych prognostyków, niż innych“ (str. 161, n.). Przytoczyliśmy rezultat poszukiwań autora dosłownie, aby nie spaczyć jego myśli. Rozumowanie bowiem, które go do przytoczonego powyżéj wyniku doprowadziło, jest nieco zawiłe i nie zawsze ścisłe, zwłaszcza w kwestyi powstania dwóch wzmiankowanych stanów intelektualnych. Natomiast niepodobna zaprzeczyć, że odnalezione przez autora czynniki mogą stać się źródłem prognostyków.

O pozostałych szkicach nie będziemy się rozwodzić, już to z obawy zbytniego rozszerzenia ram sprawozdania, już to dlatego, że treść ich nie wymaga szczegółowego rozbioru. Najbardziéj interesujący z nich jest szkic „O snach i ich tłómaczeniu.“ Nie znaleźliśmy w nim wprawdzie jakiegoś oryginalnego szczegółu, lub nowego punktu widzenia, ale bardzo dobre streszczenie wszystkiego, co współczesna psychologia naukowa wypowiedziała o powstawaniu snów, ich mechanizmie, oraz znaczeniu w ekonomii życia. A takie przedstawienie rzeczy ma z pewnością większą wartość, niż uganianie się za oryginalnością, która na szczęście przestała być w dziedzinie badań filozoficznych jedynym tytułem do zasług. To samo można powiedzieć o następnym szkicu, zatytułowanym „Tworzenie się pojęć,“ z tą wszakże różnicą, że nie dorównywa on poprzedzającemu pod względem dokładności i systematyczności opracowania. Umieszczone na końcu dzieła dwa rozbiory estetyczno-literackie pomijamy w niniejszém sprawozdaniu; przedmiot ich bowiem nie wchodzi w zakres ściśle psychologicznych badań.

H. G.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Essai comparatif sur l'origine et l'histoire des rythmes par Maximilien Kawczyński, docteur ès lettres. Paris. E. Bouillon, 1889, 8-o, str. 220. — Tegoż autora: Porównawcze badania nad rytmem i rytmami (w Pamiętniku krak. Akademii Umiejętności, wydz filol. i histor.-filozof., tom VI i VII).

Pod koniec ubiegłego roku, na jedném z posiedzeń poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, znany badacz naszéj muzyki kościelnéj, ks. dr. J. Surzyński miał odczyt o wymienionych tutaj dziełach i wyraził przytém swój żal, że zasługi d-ra Kawczyńskiego na polu rytmiki nie zostały u nas jeszcze należycie ocenione. Żal zapewne był słuszny, tembardziéj, że np. Francuzi, dla których dzieła podobnéj treści nie są zbyt wielką rzadkością, wkrótce po ukazaniu się książki naszego uczonego, zwrócili na nią uwagę, oddając autorowi przynależne uznanie [1]). Trudno się jednak dziwić, że u nas tymczasem jest—inaczéj. Dr. K. bowiem występuje przed publicznością polską i francuską z teoryami, które mają sprowadzić zasadniczą zmianę, można powiedzieć nawet — przewrót w dotychczasowych poglądach na początki i dzieje rytmiczności w sztukach „muzycznych" (poezyi, muzyce i tańcu), reformuje on naukę rytmiki i stara się zwrócić takową na nowe tory, przy których dojście do prawdy historycznéj byłoby łatwiejszém. Tymczasem, co tu reformować w naszéj literaturze rytmicznéj, skoro wiadomo, że porównawczy sposób badania form wersyfikacyjnych znajduje się nawet na zachodzie jeszcze prawie w kolebce, u nas zaś do niedawna żadna gałąź wiedzy filologicznéj nie była tak mało uprawianą, jak właśnie metryka wogóle? Wszak dopiéro w przeszłym roku doczekali-

[1]) Zob. choćby obszerną recenzyą, zamieszczoną przez V. Henry w tygodniku „Revue critique" Nr. 39 za r. 1889.

śmy się oryginalnego podręcznika metryki łacińskiéj i greckiéj (M. Sasa). Niżéj podpisany nie może na tém miejscu wdawać się w szczegółowy rozbiór wszystkich punktów teoryi dra K. i pisać ich wyczerpującéj oceny, ważność bowiem poruszonych przez autora kwestyi wymagałaby wielu kart rozbioru. O ile jednak starczy miejsca i sił, pragnąłbym przed czytelnikami „Ateneum“ zdać chociaż w krótkości sprawę z poglądów naszego uczonego.

Główna treść i osnowa badań rytmicznych dra K. jest mniéj więcéj następująca. Uczucie poetyczne w człowieku jest rezultatem długiéj umysłowéj kultury, a wiersz jest wytworem sztuki w całém znaczeniu tego wyrazu; ani wiersz, ani śpiéw, ani taniec nie powstają w jakiémś społeczeństwie same przez się (*spontanément*), jako wynik, że tak powiem, naturalnéj konieczności, lecz zawdzięczają swoje pochodzenie świadoméj wynalazczości pojedyńczych, wyjątkowo uzdolnionych osób; rola zaś szerszych tłumów polega tylko na naśladowaniu i konserwowaniu rzeczy przyswojonych. Jeżeli to ogólne założenie zestawimy z danemi historyi, to jakiż wniosek stąd wyniknie? Oto, ponieważ czasy przedhistoryczne ludów aryjskich były najprawdopodobniéj epoką barbarzyństwa czyli braku wszelkiéj kultury umysłowéj, ponieważ daléj pozytywnych dowodów istnienia wspólnéj poezyi aryjskiéj wcale nie posiadamy, wreszcie ponieważ pierwsze próby wersyfikacyjne u nowożytnych narodów europejskich datują dopiéro z czasów, kiedy te narody już się zetknęły ze światem grecko-rzymskim — więc stąd autor nasz wnosi, że ani ogólna aryjska forma wiersza nigdy nie istniała, ani téż nowoczesne narody europejskie oryginalnych, tubylczych (*autochthones*) form metrycznych nie posiadają. Pierwsi wierszotwórcy zarówno francuscy, jak i niemieccy, włoscy i angielscy, hiszpańscy i skandynawscy, polscy i serbscy — nie przyoblekali swoich utworów w takie kształty wersyfikacyjne, któreby już przedtém mogły być w użyciu ludu prostego, jako wytwór miejscowy, samodzielny, lecz naśladowali jedynie średniowieczne rytmy łacińskie lub romańskie. Co więcéj, nietylko wszelkie nowoczesne formy wierszowe, ale nawet muzyka nasza powstała sposobem mniéj lub więcéj uczonym: te sztuki piękne upowszechniły się niegdyś wśród nowożytnych narodów albo dzięki działalności pojedyńczych wyjątkowo ukształconych ludzi, albo téż dzięki propagandzie organistów i zakrystyanów, wędrujących po kraju.

Rzecz oczywista, że teorya taka staje w sprzeczności z powszechnie przyjętemi poglądami nowszych uczonych, według których nietylko najznakomitsi poeci staro-greccy udoskonalali jedynie formy wiersza, rozpowszechnione już u ludu, i wprowadzali je do literatur

kunsztownéj, ale i z pośród innych narodów np. klasyczni Rzymianie posiadali niegdyś swoje **własne**, choć nieokrzesane wiersze „saturnijskie“, a wiersz, dajmy na to, w najdawniejszych pomnikach poezyi staro-niemieckiéj był specyficznym wytworem ludów germańskich; wiadomo także, że narody europejskie posiadają mniéj lub więcéj bogatą poezyą ludową i nikomu zapewne dotychczas nie przychodziło na myśl twierdzić, jakoby np. poezya serbska zawdzięczała swoje pochodzenie wpływom obcym. Otóż dr. K. dowodzi, że zaznaczone tutaj nowoczesne poglądy mają źródło jedynie w „miłości własnéj narodów“ (*l'amour-propre national*) i w nieprzebrzmiałych jeszcze wpływach romantyzmu; wobec jednak świadectw historycznych, poglądy te ostać się nie mogą, i rzetelna nauka musi je odrzucić jako fałszywe. Narody europejskie nie są wprawdzie upośledzone od natury, możeby i wytworzyły kiedyś samodzielnie coś rzeczywiście oryginalnego; na nieszczęście jednak dla naszéj miłości własnéj, wystąpiliśmy na scenę dziejową dopiéro po Grekach i Rzymianach, i ci przyczynili się do powstania i rozwoju naszéj wersyfikacyi i muzyki w większym stopniu, aniżeli nasze zdolności przyrodzone; stąd oryginalność nasza na każdém polu jest tylko względną. Taką jest myśl przewodnia badań dra K., oś, około któréj obracają się wszystkie jego wywody i rozumowania; w całéj jego teoryi jest to punkt najważniejszy.

Zabierając się teraz do szczegółowego zbadania kolei, jakie przechodziła rytmiczność u ludów europejskich, autor przedewszystkiem twierdzi, że starożytni Grecy byli jedynymi „wynalazcami“ prawdziwego rytmu w poezyi. Jak u innych narodów, tak i u Greków najpierwotniejszą formą wiersza były proste zdania, używane w modlitwach i hieratycznych formułach, które na razie mogły się znacznie różnić pomiędzy sobą pod względem długości. Ponieważ jednak najważniejszą zasadą estetyczną w sztukach pięknych jest, według autora, „zrównanie części“ (*l'égalisation des parties*), więc w następném stadyum rozwoju wersyfikacyi człowiek dążył do tego, ażeby zdania te, o ile można, wyrównać co do ich rozciągłości; kiedy się zaś nauczono rozróżniać w języku wyrazy i zgłoski, wtedy postarano się, ażeby naprzód zdania wierszowe zawierały w sobie jednakową liczbę słów i nareszcie — jednakową liczbę zgłosek. Jakkolwiek tego rodzaju wersyfikacya nie może być nazwana prawdziwie rytmiczną, to jednak musiała ona niegdy istnieć i u Greków, dopóki wreszcie „jakiś bystry i twórczy umysł“ (*un esprit sagace et créateur*) nie zrobił spostrzeżenia, że prawidłowe luzowanie się w wierszu zgłosek długich i krótkich które istniały w języku greckim, może się bóstwu bardziéj podobać: dzięki zastosowaniu téj nowéj zasady zostały „wynalezione“ tak zwane stopy

rytmiczne i zarazem powstała znana nam wszystkim iloczasowa metryka grecka. Przy badaniu i objaśnianiu zjawisk tėj metryki, nowożytni filologowie-klasycy używają bardzo często wyrazu *ictus*, rozumiejąc pod nim wzmocnienie głosu na pewnych sylabach. Otóż dr. K. powstaje stanowczo przeciwko tėj teoryi „iktycznėj“ i dowodzi na wielu miejscach swojėj pracy, że „ikt głosowy“ ani w nowoczesnėj wersyfikacyi i muzyce nie istnieje, ani w starożytności nie mógł miéć żadnego zastosowania, wszystkie bowiem świadectwa przemawiają za tém, że u Greków i Rzymian *ictus* był jedynie znakiem taktowym, wybijanym ręką lub nogą: to jest właśnie drugi najważniejszy punkt w badaniach naszego autora. Co się tyczy muzyki greckiéj, to takowa wzięła początek z samych akcentów języka, które pierwotnie stanowiły jedyny rodzaj melodyi u Greków. Późniéj muzyka rozwinęła się jako sztuka osobna, a abstrahowane z niéj prawidła rytmu sprowadziły dość ważną zmianę w systemie wersyfikacyi, nadawszy prawo obywatelstwa i takim postaciom, które odpowiadały wymaganiom oderwanėj teoryi (muzycznėj), ale nie były rytmami w pierwotném znaczeniu (jako metra czyli uporządkowano wiersze). W takim stanie metryka grecka przeszła do Rzymian. Kiedy iloczas w językach klasycznych zaginął, wtedy poeci średniowieczni poczęli naśladować formy starożytne o tyle, że wierszom swoim nadawali tradycyjną liczbę zgłosek i zatrzymywali cezurę, ale wewnątrz wierszy nie zachowywali jakiejś prawidłowości stóp, wskutek czego wiersze ich były „rytmami“ jedynie o tyle, o ile odpowiadały abstrakcyjnym pojęciom rytmu muzycznego. Co się tyczy takich właściwości wersyfikacyi średniowiecznėj, jak rym, alliteracya, przestrzeganie prawidłowych spadków rytmicznych tylko na końcu wierszy i przed cezurą, to powstały one głównie pod wpływem łacińskiéj retoryki czyli teoryi wymowy. Tym więc sposobem autor nasz obala hypotezę najgłośniejszego badacza początków wersyfikacyi średniowiecznėj — prof. Wilhelma Meyera (z Getyngi), który utrzymuje, że pierwsi poeci chrześciańscy zapożyczyli formę swoich utworów od ludów semickich. W końcu dr. K. dowodzi, że wszystkie formy wersyfikacyi romańskiéj, nie wyłączając takich, jak ballada, sonet, rondo, romansa — powstały przez naśladowanie wzorów poezyi kościelnėj (wierszy jednopostaciowych i sekwencyi). Podobnież najdawniesi wierszotwórcy germańscy nie przyoblekali swoich utworów w szatę jakichś wierszy miejscowego pochodzenia, tubylczych i oryginalnych, lecz starali się jedynie o odtworzenie średniowiecznych wzorów łacińskich. Wreszcie, co się tyczy akcentu, to autor nasz twierdzi, że poetom średniowiecznym (łacińskim) akcent

służył tylko do odszukania końcowych zgłosek długich, a u nowożytnych narodów ma on tylko charakter melodyjny.

Starałem się streścić, o ile można, najdokładniéj poglądy d-ra K., gdyż tym sposobem czytelnikowi będzie może najłatwiéj osądzić, jak wielkiém było jego przedsięwzięcie, i jak ważne kwestye rozbiéra on w swoich „Badaniach.“ Praca jego jest bodaj czy nie pierwszą poważną próbą wykazania wewnętrznéj łączności pomiędzy wersyfikacyą różnych narodów na podstawie sumiennego badania świadectw historycznych, z uwzględnieniem charakteru samych języków i praw psychologii. Rozumowania naszego uczonego mają pewien odcień filozoficzny i historyozoficzny, przytém jednak stara on się ani na chwilę nie spuszczać oka z faktów rzeczywistych. Jeżeli zaś przy objaśnieniu zjawisk rytmicznych dochodzi czasem do wniosków wręcz przeciwnych dotychczasowym teoryom, to nie robi tego przez naciąganie faktów, lecz jedynie przez zastosowanie nowéj metody i odmienne wyzyskanie materyału, którym operowali już i inni uczeni. Można téż śmiało powiedzieć, że „Badania“ d-ra K. są ważnym, niepospolitym nabytkiem nietylko dla naszéj literatury naukowéj, ale że i na zachodzie poglądy jego nie przejdą zapewne bez śladu. Próby organicznego powiązania różnych zjawisk rytmicznych zasługują na całkowite uznanie, rozróżnienie dwóch prądów rytmicznych w starożytnéj Grecyi jest słuszne, pogląd na nowoczesną muzykę świecką i kościelną, i rozróżnienie dwóch typów w śpiewie liturgicznym jest także, według mojego mniemania, zupełnie trafne, z hypotezą W. Meyera autor rozprawił się dobrze,—co więcéj, nawet w tak drażliwéj i trudnéj kwestyi, jaką jest „tubylczość“ nowożytnéj muzyki i wersyfikacyi i rola rytmicznego „iktu,“ — pogląd d-ra K. zasługuje na uwzględnienie, choć pewne zastrzeżenia i ograniczenia są tu konieczne. Zresztą niepodobieństwem jest wykazywać tutaj wszystkie miejsca, w których poglądy autora wzbudzają wielkie zajęcie i zmuszają do głębszego zastanowiesię nad poruszonemi kwestyami.

Ponieważ własne (*qualiacumque sunt*) zapatrywania pragnę wyłożyć gdzieindziéj, więc na tém miejscu nie będę wyliczał wszystkich szczegółów, w których na zdanie sz. autora całkowicie zgodzić się nie mogę. A szczegóły takie są, i dr. K., jakkolwiek sam przekonany o prawdziwości swoich twierdzeń, bynajmniéj nie łudzi się, że hypotezy jego zostaną przyjęte bez protestów. Oto np. samo uzasadnienie i określenie rytmu w słowie ludzkiém, jak je czytamy u naszego autora, choć jest może głębsze i zrozumialsze niż gdzieindziéj, wydaje mi się jeszcze nie zupełnie kompletném: brak mu żywiołu pamięciowego albo raczéj społecznego, na który co prawda i inni teoretycy nie zwra-

cają należytéj uwagi, o którym jednak już starożytni wiedzieli. Autor najsłuszniéj wciągnął do swoich badań teorye starożytnych retorów; pomimo tego jednak zdaje mi się, że stosunek mowy wiązanéj do prozy zasługiwałby na jeszcze szersze uwzględnienie. Co się tyczy owéj rodzimości i tubylczości naszéj wersyfikacyi i muzyki, to teorya d-ra K. stoi w niejakiéj zgodzie z kierunkiem tegoczesnéj nauki, nakazującym przedewszystkiém poszukiwać wszędzie wzorów, źródeł i wpływów; uczony nasz jednak poszedł w tym kierunku chyba nieco za daleko, wydając ogólny sąd już nie o pojedyńczych osobistościach, ale o całych narodach,—co jest kwestyą niezmiernie zawiłą. Prócz tego zdaje mi się, że teorya powstawania wierszy, jak ją przedstawia dr. K., jest cokolwiek może za sztuczną; jeżeli samodzielne utworzenie wiersza jest dla człowieka rzeczą zbyt trudną, jak wykazuje nasz uczony, to dzieje i praktyka dowodzą, że naśladowanie i odtworzenie wzorów obcych bywa niekiedy sprawą bodaj czy nie trudniejszą. Rzecz zaś oczywista, że jeżeli najdawniejsze wiersze germańskie były tylko naśladowaniem średniowiecznéj wersyfikacyi łacińskiéj, to o rodziméj, oryginalnéj formie wiersza Niemcy nie mogą nawet mówić, sztuczność bowiem i obcość późniejszych form jest powszechnie znana i nie ulega żadnéj wątpliwości. Wobec tego jednak, że starodawne „*Knittelverse*“ z pewnemi modyfikacyami utrzymały się wśród ludu i u niektórych poetów aż do dziś dnia; możnaby zrobić zapytanie: czy najdawniejsi wierszotwórcy niemieccy nie nadali swoim wierszom mimowolnie cechy swojskiéj, tubylczéj? Bądź co bądź, szan. autor dobrze wié, że pod względem tubylczości inaczéj musimy oceniać wersyfikacyą Otfryda z Wissemburga, a inaczéj znowu metrykę Opitza lub Klopstocka.— O polskim wierszu trzynastozgłoskowym dr. K. wyraża się okolicznościowo (*Essai comp.*, str. 12), że jest on niewolniczo skopiowany (*calqué*) z rytmicznego wiersza łacińskiego. Mnie jednak sprawa ta przedstawia się trochę inaczéj. Wiadomo, że przed Trediakowskim i Łomonosowem w ruskiéj literaturze panowała przez niejaki czas „sylabiczna“ wersyfikacya polska. Otóż, jeżeli zwrócimy uwagę na trzynastozgłoskowy wiersz w satyrach Kantemira, to zobaczymy, że wiersz ów, mający być naśladowaniem trzynastozgłoskowca polskiego, wygląda właśnie jak zupełna kopia rytmicznych wierszy łacińskich, trzynastozgłoskowce zaś Reja, Kochanowskiego, Mickiewicza, podobniejsze są w swéj budowie do znacznéj liczby wierszy saturnijskich, aniżeli do wierszy średniowiecznych. Co się wreszcie tyczy „iktu“ rytmicznego, to w istocie trzeba podziwiać odwagę naszego autora, który pod tym względem nie zawahał się zająć stanowiska tak niezależnego i niezgodnego z powszechnie przyjętemi poglądami. Z kwestyą

tą niepodobna załatwić się tutaj w paru słowach. Przy wygłaszaniu utworów homerycznych „ikt głosowy“ miał zapewne niejakie zastosowanie, gdyż inaczéj trudno sobie objaśnić niektóre zjawiska prozodyjne w Iliadzie i Odyssei (skracanie długich końcowych samogłosek w *tezie*, czyli słabéj części taktu i przedłużanie krótkich zgłosek w *arsis*). Przy śpiewaniu utworów lirycznych np. ód Pindara „ikt głosowy“ mógł nie występować wcale; dla nas jednak jest on prawie niezbędny, gdyż inaczéj w czytaniu takich utworów człowiek nowoczesny nie potrafi utrzymać żadnego rytmu. Wyobraźmy sobie zresztą Greka klasycznéj epoki, dorabiającego tekst np. do melodyi znanych naszych pieśni kościelnych: „Twoja cześć, chwała“ i „Gwiazdo śliczna, wspaniała:“ do pierwszéj pieśni musiałby on użyć samych zgłosek długich, do drugiéj — stóp jońskich (⏑⏑— — i ⏑⏑⏑⏑). Gdyby teraz owe melodye zaginęły (a tak się właśnie stało ze wszystkiemi melodyami klasycznemi), a my zechcielibyśmy przy czytaniu tekstów odtworzyć rytm zaginionego śpiewu, to w pierwszéj pieśni (odnoszącéj się do *cantus planus*) „ikt głosowy“ byłby dla nas zgoła zbyteczny; w drugiéj jednak pewne wzmocnienie głosu na sylabach długich posłużyłoby nam tylko do lepszego odtworzenia rytmu w nieistniejącéj melodyi. Żeby nowoczesnéj muzyce „ikt głosowy“ był zupełnie obcy, na to chyba się muzycy nie zgodzą: jakież bowiem znaczenie będą miały wtedy tak zwane mocne i słabe części taktu? Jedném słowem, ażeby dojść do zupełnie zadawalających rezultatów, tyczących się „iktu,“ potrzebaby rozpatrzéć osobno każdy rodzaj utworów poetycznych i sposób ich wygłaszania tak w starożytności, jak i w czasach nowszych. Zdaje mi się także, że sz. autor niesłusznie odmawia nowoczesnemu akcentowi znaczenia rytmicznego: wszak nawet w średniowiecznéj wersyfikacyi greckiéj i łacińskiéj akcent nie zawsze służy do odszukania jedynie iloczasu,—co łatwo sprawdzić na wierszach, mających zakończenie proparoksytoniczne.

Na tém kończę swoje uwagi o „Badaniach“ d-ra Kawczyńskiego, gdyż szczegółowy rozbiór całego dzieła jest tutaj niemożliwy. Jeden z krytyków niemieckich (E. Voigt), dotknięty cokolwieczek i tém, że autor nasz, prosząc o protekcyą p. Gastona Paris, oddał swoję pracę „na sąd nauki francuskiéj“ (Essai, str. 32),—przyznał rozebranym tutaj „Badaniom“ pewne dobre strony, nazywając jednak całość—chybioną. Sąd taki jest w moich oczach niesprawiedliwy; prędzéj możnaby powiedziéć, że główne tezy naszego uczonego mają zbyt może ogólny charakter, i że w przyszłości trzeba do nich przedewszystkiém zastosować zasadę *distinguendum*,—uwzględniając szczegółowiéj różne typy wersyfikacyi. Jeżeli więc ze względu na owe typy musimy to

i owo twierdzenie d-ra K. ograniczyć, to przez to nie o wiele zmniejszy się dla nas wartość „Porównawczych badań,“ które bądź co bądź pozostaną dla naszéj literatury pierwszą naukową i prawdziwie samodzielną pracą w dziedzinie rytmiki.

Wrocław, 12 stycznia 1890 r.

M. Rowiński.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— Rozległego wydawnictwa **Wielkiéj encyklopedyi powszechnéj ilustrowanéj**, podjętego nakładem p. Saturnina Sikorskiego, ukazał się zeszyt 1-szy, obejmujący wyrazy od *A* do *Absorbcya.* Widać z niego, że nie szczędzono starań, ażeby pod względem zewnętrznym i wewnętrznym uczynić zadość wymaganiom obecnym. Dano papier dobry, druk wyraźny, nowy (w dwie kolumny na dużéj stronicy), ilustracyami uprzytomniając wizerunki osób i gmachów, pomniki sztuki, widoki natury, wywody matematyczne i t. p., opracowaniem rzeczy krajowych obszerném i szczegółowém, uwzględniając zarówno dawne, jak i najnowsze nawet stosunki. Może ten lub ów rysunek pozostawia nieco do życzenia, może niektóre artykuły o obcych osobistościach są nieco przydługie, ale byłoby niesprawiedliwością kłaść na te usterki zbyt wielki nacisk przy samém rozpoczęciu wydawnictwa, nastręczającém tak wiele trudności. Natomiast należy oddać sprawiedliwość stronom dodatnim tam, gdzie było można okazać dbałość o istotnie dobre i rzetelne informacye, że wymienimy tylko w porządku abecadłowym artykuły obszerniéj a samoistnie opracowane: *Abbasydzi* przez p. T. Korzona, *Abecadło* przez p. A. A. Kryńskiego, *Aberacya światła* p. S. Kramsztyka, *Abrewiacye* przez p. A. Pawińskiego, *Abisynia* przez p. W. Nałkowskiego, *Absorbcya* p. J. Aleksandrowicza. Grono redakcyjne, w którego skład wchodzą przedstawiciele różnych specyalności daje gwarancyą, że pod względem naukowym nowa „Encyklopedya“ będzie zawierała informacye, zgodne z dzisiejszym stanem umiejętności. Wydawcy dbać powinni bardzo o staranną korektę, gdyż nawet drobne pomyłki (np. niewłaściwie położone cudzysłowy i t. p.) w takiém dziele, jak „Encyklopedya,“ liczyć się muszą do ujemności. Życzymy wydawnictwu jaknajszerszego rozpowszechnienia, gdyż w takim razie i rzecz sama zyska, mając możność należytego rozwinięcia się i ciągłego ulepszania. Szczególniéj też pragnąć wypada, ażeby prenumeratorzy wytrwali w swéj chęci posiadania całości wydawnictwa i nie przyzostawali po drodze, jak to się zdarzało już nieraz.

— *Józef Kuczyński*, **Poezye. II.** (Warszawa, 1890, str. 159). Z nowym zbiorkiem utworów swoich występuje p. Kuczyński po latach kilku, w których, jak wyznaje sam, dużo przeżył i doświadczył, pozbywając się wybujałości młodzieńczéj, a zarazem i złudzeń wielu. Staje teraz przed czytelnikami chłodniejszym i rozważniejszym, ale tak samo jak dawniéj marzycielskim, w sobie i swoich uczuciach przeważnie żyjącym, myślą rozleglejszą rzadko natchnionym. Trafnie ogólny charakter swych pieśni określa autor, mówiąc, że im „dość skrawka nieba i na tém niebie gwiazdki jedynéj", że im potrzeba tylko „słowiczego głosu dziewczyny i sielskiéj przyzby, świętéj niedzieli", że one tak się wiją „pomiędzy sady i dworki małe, jak strumyk, który wokół lilie obsiadły ciche" (str. 86). Inaczéj mówiąc, są to poezye malujące usposobienie, nastrój chwilowy poety, który lubi przedewszystkiém widoki wiejskie, tęskni za życiem rodzinném, chociaż może gdyby wśród najprostszych, patryarchalnych stosunków dłużéj pobył, znudziłby się i szukał roztargnienia w szałach wielkomiejskiego zepsucia, co się mianowicie w szeregu pieśni o „Ruru" bardzo wyraźnie pokazuje. Piękne są obrazki nakreślone przez autora, jeżeli się je bierze oddzielnie, same dla siebie, lecz, że powtarzają się nieraz, że w nich rzadko kiedy błysk potężniejszy myśli widnieje, łatwo sprowadzają znużenie. Na większą kompozycyą autor i teraz jeszcze zdobyć się nie potrafił. Najdłuższy poemacik: „Mój pierwszy kochanek" ma miejsca ładne, ale ani nowéj sytuacyi, ani nowego jéj obrobienia nie przedstawia; dwoje młodych na wsi, w ogrodzie całuje się w upojeniu... Są i humorystyczne, a raczéj satyryczne obrazki, niektóre nawet zręczne („Antysemita"), lecz znać w nich wogóle trochę wymuszenia, naginania się do rodzaju literackiego, który nie leży w naturze talentu p. Kuczyńskiego. Ze spółczuciem odczytuje się wiersz „*Cupio*" streszczający się w zwrotce:

Twórczości łaknie mój duch, jako chleba,
Czuje, że karm ta zolbrzymi go jeszcze,
Ale niestety! — do tego potrzeba
Wyrwać z mych piersi powszednich nędz kleszcze.

— **Szatan** (powieść wschodnia) *Lermontowa*. Z wydania szóstego przełożył Michał Koroway-Metelicki (Warszawa, 1889, str. 35). Nowy przekład głośnego w ruskiéj literaturze poematu tém się przedewszystkiém odznacza, że zachowuje starannie miarę wierszową oryginału, nadającą mu wielką polotność i zmuszająca do zwięzłości w wyrażeniach. Tłómacz pragnął widocznie oddać wiernie nastrój, myśli i wyrażenia autora; w wielu miejscach udało mu się to niewątpliwie, ale często wymagania rymowe zmuszały go do odstępstw, które wy-

szły na szkodę poematowi. Szczególniéj cierpi na tém prześliczna w oryginale rozmowa Demona z Tamarą. Niewłaściwe użycie wyrazów, tworzenie ich dowolne (*aniołowy* zam. anielski), wtrącanie wyobrażeń dziwnie brzmiących w przekładzie obcego utworu (Demon nazywa siebie między innemi „zgasłym zniczem"); wreszcie całkiem niestosowne do sytuacyi słowa, osłabiające, a nawet unicestwiające siłę wrażenia (gdy Demon mówi: „Opuścić ciebie?... nie! téj *roli* Nie spełnię w żarze namiętności) — wszystko to razem obniża wielce wartość tłómaczenia. Rymowanie też wogóle nie należy do wykwintnych; częstokroć nawet trzeba je wprost słabém nazwać. Język wogóle nie jest wprawdzie bardzo niepoprawnym, lecz obce zwroty znajdują się w nim od czasu do czasu; wyraz np. *mierny* brany jest nieraz w znaczeniu *miarowy*, a *brodzić* używane bywa nie we właściwém znaczeniu.

= W XII tomie wydawanego w Berlinie pod redakcyą p. Jagić'a „*Archiv für slavische Philologie*" znajdują się między innemi dwie rozprawki p. Aleksandra Brücknera, dotyczące literatury polskiéj. Jedna z nich p. n. „*Ueber die aelteren Texte des Polnischen*" jest dalszym ciągiem sprawozdania, pomieszczonego w tomie X-ym, i zawiéra już to ocenę wydań tekstów polskich z przed r. 1550, już to własne autora przyczynki wydobyte z rękopismów (mianowicie z manuskryptu przechowującego się w bibliotece seminaryum duchownego w Pelplinie). Druga p. n. „*Polnische Literaturgeschichte; die Publicationem der letzten Jahre*" na 23 stronach ścisłego druku, podaje zwięzły zarys ruchu na polu badań historyczno-literackich i wydań naszych pisarzy dawniejszych. W przeglądzie tym autor opiéra się cześcią na studyach własnych, częścią na ocenach podawanych w „Kwartalniku historycznym". Widocznie śledził p. B. starannie rozwój naukowo-literacki w obranéj dziedzinie, jakkolwiek nie starał się o wyczerpanie przedmiotu, ani o równomierne jego opracowanie. Uwagi jego, zawsze bystre i jasno sformułowane, noszą na sobie raczéj cechę przygodności, niż systematyczności; na pewne strony działalności literackiéj wogóle i dzieł poszczególe zwraca większą baczność, inne milczeniem pomija. Widzi się to mianowicie najlepiéj w najobszerniejszym, jaki tu zamieścił, rozbiorze „Pisarzów politycznych XVI wieku" prof. S. Tarnowskiego. Bądź-co-bądź, przyznać należy p. Brücknerowi wielką znajomość przedmiotu, umiarkowanie w sądach i wielką dbałość o ścisłość w wyrażeniach, o oddanie każdemu należnéj sprawiedliwości. Pozwoli jednak autor zrobić sobie uwagę, która będzie trochę *oratio pro domo.* Zazwyczaj p. Brückner notuje starannie prace innych autorów, którzy przed nim jakąś myśl wypowiedzieli, przyczém powołuje

się nie tylko na książki osobno wyszłe, ale i na artykuły, w czasopismach naukowych pomieszczone. Zdaje się jednak, że nie czytuje „Ateneum“, albo też tak pobieżnie je przegląda, iż w pamięci nie pozostają mu wspomnienia z lektury. Tak sobie tłómaczymy fakt, iż wydane przez p. Korzeniowskiego „Nieznane polskie i łacińskie wiersze politycznéj treści“ przyznaje Mikołajowi Rejowi, nie wzmiankując wcale, iż już w roku 1886 „Ateneum“ (tom II, str. 558—561) domniemanie to wypowiedziało i udowodnić się je starało. A nie jestto przykład osamotniony. W jednym z dawniejszych artykułów (o Janie Kochanowskim) p. Brückner podał sprostowanie tekstu w „Pamiątce Janowi Tęczyńskiemu“, nie wiedząc, że przed nim na dwa lata już to sprostowanie w „Ateneum“ zrobiono. Niepodobna tu w najzwięźlejszych nawet słowach powtarzać tego, co autor mówi o pracach historyczno-literackich: niepodobna podnosić trafnych spostrzeżeń i cennych wskazówek; ale jeden punkt ogólniejszéj natury musi tu być zaznaczony. P. Brückner w kwestyi dzielenia historyi literatury na okresy, wypowiada pogląd, iż najlepiéj byłoby przyjąć podział na stulecia, od 1500 do 1600 i t. d. Wié on, że ten podział jest sztuczny i sam porównywa go do podziału biegu rzeki według stopni długości, ale sądzi, że takie „całkiem mechaniczne“ uczłonkowanie najmniéj jeszcze jest przeciwne ciągłości rozwoju historycznego. Zdaje nam się, że byłoby to tylko zakrycie trudności, a nie ich usunięcie. Ustalenie okresów, na któreby się większość zgodziła, jest zapewne rzeczą niełatwą do wykonania; pochodzi to głównie ze stosunkowo małéj jeszcze znajomości całéj masy objawów literackich; tyle ich atoli już wyświetlono, że posługiwanie się „całkiem mechanicznem“ uczłonkowaniem dat chronologicznych jest już chyba niewłaściwém, gdyż bywało ono pierwszą, elementarną próbą uporządkowania faktów, kiedy jeszcze nie zbadano najważniejszych czynników wywierających stanowczy wpływ na rozwój ducha pewnego narodu. Z tych powodów sądzimy, że proponowany przez p. B. podział historyi literatury według stuleci jest spóźniony i nie znajdzie uznania u pracowników na tém polu, którzy będą woleli posługiwać się chociażby ułomnym układem, wskazanym przez jakąś myśl, niż prostym jedynie mechanizmem.

Sorel. **Kwestya wschodnia w XVIII wieku** (La question d'oriens, au XVIII siècle). Paryż, 1889, str. 288.

Nowa praca zasłużonego historyka francuskiego, któréj tytuł podaliśmy na czele, zajmuje się głównie pierwszym podziałem Polski i traktatem w Kuczuk-Kajnardżi. Jakkolwiek posiadamy już w powyższym przedmiocie bardzo interesujące studyum Janssena *„Zur Genesis der ersten Theilung Polens“*, nie mniéj jednak monografia Sorela może być odczytaną z istotnym pożytkiem.

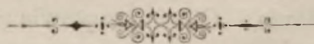
Sorel starał się zapoznać z bardzo poważnemi źródłami dziejowemi, lecz razić musi pominięcie milczeniem téj pracy Janssena, oraz dzieła Roepella „*Polen um die Mitte der XVIII Jdert*“, która pozostaje w ścisłym związku z monografią Sorela.

Kwestya wschodnia obfituje mimo to w wiele interesujących szczegółów a przedewszystkiém odznacza się starannością opracowania. Opowieść dziejowa jest jasna i przejrzysta. Negocyacye dyplomatyczne, zawiłe a skryte, odtworzył autor z precyzyą i w powabnéj formie. Portrety Kaunitza, Józefa II i Fryderyka II pruskiego, skréślił Sorel z prawdziwie artystyczném poczuciem a wzajemne spotkanie się tych mężów politycznych, ich usiłowania podejścia się za pomocą pochlebstw i wyrafinowanéj obłudy, czytają się z prawdziwém zajęciem.

Sorel dochodzi do przekonania, że Kaunitz starał się wymówić od udziału w podziałach, pomimo, że Józef II przejął zasady prawa międzynarodowego od Fryderyka II. Dla niego mała część Szląska, lub Belgrad z częścią Bośnii byłyby kompensatą wystarczającą. Tymczasem Fryderyk II przeniknął najskrytsze myśli Kaunitza i zapobiegł planom z szatańskiém mistrzostwem. Fryderyk II przewidywał wybornie, że Austrya usunąwszy się od udziału w podziałach, całe *odium* czynu zwali na Prusy i stanie się wkrótce protektorem rzeczypospolitéj. Téj konsekwencyi groźnéj w przyszłości chciał uniknąć i jak wiadomo uniknął.

Fryderykowi II przy podziałowém zadaniu przewodniczyła myśl wyrażona w zdaniu „*que j'obtienne la continuité de mes pessessions*“. Pokazuje się więc, że słynna broszura generała Gramanna, dowodząca, że Poznańskie za blisko leży Berlina, a więc musi być pruskiém, nie zawiéra nic oryginalnego, albowiem jest tylko spóźnionym aktem fryderycyańskiéj polityki. Zresztą Sorel dowodzi, że ówczesna kwestya wschodnia polegała na podziale Polski lub Turcyi i długo wątpliwém było na które z tych państw padnie złowróżbne przeznaczenie. Przedstawienie dyplomatycznych kombinacyi i zabiegów w tym celu, jest także barwne i niezmiernie ciekawe.

Jednem słowém, jakkolwiek monografia kwestyi wschodniéj poświęcona, nie wyczerpała przedmiotu, ani zdołała zebrać pełny materyał dziejowy, to jednakże przedstawia się poważnie i zajmie odpowiednie miejsce w literaturze historycznéj. *A. R.*





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Karnawałowa epidemia.—Ewolucya w opinii w kierunku balów. — Zasada jezuicka w krytyce i w praktyce.—Wpływ balów dobroczynnych na ofiarność ogółu.—Obrona hulanek.—Otwarcie sal zarobkowych. — Epoka Staszyca i rok 1890-ty. — Nowa ochronka przyczyną cudu.—Niepojęte lekceważenie Łodzi.—Katolicy i ewangielicy, —polacy i niemcy.—Żydzi, wpływy jakim ulegają. — Istotny powód naszéj obecności w Łodzi—w charakterze wołów roboczych.—Siła życiowa polaków i niemców.—Obojętność przemysłu warszawskiego względem Łodzi. — P. Wisnowska pionierką cywilizacyjnego wpływu Warszawy na Łódź. — Szkoła łódzka. — Urzędowe cyfry o urodzajach zeszłorocznych. — Atak na „Przegląd Pedagogiczny." — „Ateneum" w charakterze spólnika napastowanéj.—Pyłki plew w garści ziarna.—Wpływ utarczek ze służbą na wychowanie. — Zgroza z powodu mycia podłóg. — Postępowość, czy konserwatyzm?

Trzeba byłoby mieć chyba bardzo szczelnie pozatykane wszystkie zmysły, ażeby się w Warszawie uchronić od wrażeń karnawałowych. Pisma, przeznaczone do codziennego użytku mieszkańców miasta, widocznie za wypadek najważniejszy życia naszego uważają bale publiczne, pół-publiczne i prywatne, naturalnie jeżeli miały zaszczyt odbyć się w salonach osób, posiadających dużo pieniędzy, to téż kroniki balowe przypominają natrętne muchy, opędzić się od nich niepodobna: jakkolwiek obrócę dziennik, trafiam zawsze na jakiś szczegół karnawałowy. Karnawał widzę w podsiniałych oczach panien, słyszę w ochrypłym głosie tancerzy, ocieram się o wir usposobienia balowego, gdziekolwiek stąpię. Okazuje się, żeśmy nie tacy skłonni do zastoju, do bezwładności, jak nieraz twierdzą pesymiści. Owszem, dokonywują się ewolucye. Trzy lata temu wiele pism naszych wystąpiło zgodnym chórem przeciwko hulaszczemu uniesieniu w długie noce karnawału, mniéj więcéj wszędzie znalazło to poklask. Tymczasem dzisiaj jesteśmy widocznie innego zdania. Ci sami mężowie pióra, którzy wówczas

gromy ciskali, obecnie przyozdabiają „karneciki“ balowe natchnieniem swéj muzy. Na usprawiedliwienie ich to tylko chyba przytoczyć można, że wiersze były bardzo... nieudatne.

Trzy lata temu zwracano uwagę, że bale publiczne pochłaniają zbyt wiele pieniędzy. Argument — silny i bardzo stosowny do okoliczności. Możeby też w końcu oddziałał, gdyby balów nie osłoniła niedotykalną opieką filantropia. Nie trudno znaleźć ludzi, których nadmierna liczba zabaw nie cieszy, ale którzy jednocześnie rozwijają wielką energię w celu organizowania balu, sprzedania biletów i t. d., to jest podniecają i potęgują zjawisko ujemne, dlatego że je osłania cel sympatyczny, pomoc biédnym matkom i dzieciom, szwalniom i t. d. Okazuje się, że łatwiéj urągać jezuitom za zasadę: cel uświęca środki, niż ustrzedz się jéj praktykowania.

Złe nie ogranicza się na tém. Dzięki balom dobroczynnym zaniknąć może zupełnie wśród społeczeństwa, przynajmniéj w Warszawie, ofiarność. Przyzwyczailiśmy się, że najłatwiéj zdobyć pieniądze od ogółu na rzecz potrzebną, urządziwszy balik, zabawę, loteryę, i w ten sposób wszelkie niemal potrzeby zaspakajamy. Nie przeczę, że to droga najłatwiejsza, że prędzéj sprzedać można bilet za dwa ruble, niż dostać wprost pół rubla, ale czyż to racya wystarczająca? czy zawsze trzymać się należy dróg najłatwiejszych? Oczywiście, każdy kupuje bilet albo dlatego, że go jakaś nadobna gospodyni zmusi swą prośbą natrętną, albo dlatego, że się chce wytańczyć i wcale nie ma w pamięci, że dał jakiś grosz nie na osobistą potrzebę—ofiarności w tém wcale się niema. A jednak ona dla zdrowia publicznego istniéć musi. Porzuciwszy wątpliwéj wartości moralnéj zwyczaj balów dobroczynnych, osoby, zajęte załatwianiem potrzeb ogółu, kołatałyby do jego kieszeni w sposób inny: perswazyą, naciskiem opinii, może nawet wymyślaniem, a z czasem ludzie przyzwyczailiby się dawać pewną kwotę nie na przybranie własnéj postaci i nie na zadowolenie własnego żołądka.

Pogląd mój na bale publiczne wyłuszczałem przed pewnym mężem statecznym w nadziei, że mi potakiwać będzie. Okazało się, żem trafił na obrońcę hulanek. Cytował mi Mantegazzę i jakiegoś filozofa niemieckiego, którego nazwiska nie pomnę, na dowód, że wesołość i zabawa potrzebne są do szczęścia. Nie potrafił mi tylko zacytować, w jakim tomie i w jakim rozdziale praw natury, czy ustaw społecznych, napisano, żeśmy powinni w tym roku starać się o szczęście.

Słyszałem dowodzenia, iż nie ma co powstawać na szał karnawałowy w Warszawie, gdyż w Paryżu, w Wiedniu i tak daléj, balów jest nie mniéj. Przypomina mi to bajkę o żabie nastawiającéj nogę kowalowi. To nie mniéj właśnie nas potępia.

Znowu pewien bardzo szanowny dziennikarz zgodził się na moje uwagi, zgodził się, że dzienniki brukowe wiadomościami pustemi o balach podniecają niepożądane słabostki, szerzą zarazę moralną, ale jednocześnie jako *ultima ratio* przytoczył wymagania ogółu. Zapewne: *omne animal id agit ut se conservet*, pomimo to stanął mi na myśli proces wadowicki, gdzie ostatecznie dochodzono tylko faktu korzystania z istniejących prądów i słabostek wśród szerokiego ogółu.

Po wieloletnich oczekiwaniach dożyliśmy nareszcie chwili otworzenia Sal zarobkowych imienia i z zapisu Stanisława Staszyca. Sale otworzono przy szpitalu wolskim. Mają one na celu dać przytułek i zarobek 30 mężczyznom i 30 kobiétom, którzy wskutek bądź czasowego osłabienia po chorobie, bądź stałéj słabości, kalectwa i t. d. stanąć do konkurencyi z silnymi i zdrowymi rzemieślnikami nie są zdolni, ale którzy pracować chcą i mogą, a do żebractwa wstręt czują. Instytucya ta udzieli mieszkania, pożywienia i nawet, w razie potrzeby, ubrania; wyroby sprzedawać będzie, płacąc za nie sumę umówioną.

Byłoby, myślę, stratą czasu wykazywać, że instytucya taka jest bardzo potrzebną, że ujmie trochę demoralizacyi, że umniejszy nieco próżniactwa przymusowego, łzę niejedną otrze, podtrzyma może i od wieloletniéj nędzy uchroni jaką rodzinę. Jeżeli kto, to przecie chyba ludzie pozbawieni sił nie przez własne winy, mogący pracować i nawet do sił normalnych powrócić, przedewszystkiém znaleźć powinni w chwili zachwiania się ramię społeczeństwa. To pewnik. Znał go Staszyc tyle lat temu, blisko trzy ćwierci wieku, gdyż w 1824 roku fundusz na sale zarobkowe złożył. We wszystkich krajach istnieją takie zaradcze instytucye. Myśmy tymczasem przez lat 70 blisko byli cierpliwi i nie pozbawiliśmy czcigodnego kapłana zaszczytu nietylko dania pomysłu i pieniędzy, lecz nawet założenia w r. 1890 *pierwszego* przytułku. Możnaby może wysnuć stąd pytanie, a właściwie zadanie na regułę trzech prostą: jeżeli po latach 65 uszliśmy tak daleko, że straciliśmy już z oczu potrzeby widziane przez Staszyca, to do jakiego plemienia afrykańskiego podobni będziemy za lat 100 (jeżeli nb. plemiona te nie postąpią w cywilizacyi pomimo opieki niemieckiéj)?

Dręczy mię nieco obawa pomyłki: może nie dlatego Staszyc wyścignął wnuków swego pokolenia, że my nie troszczymy się o potrzeby społeczne, ale dlatego, że nikt nie wpadł na myśl urządzenia kilku balów na sale zarobkowe i pieniędzy nie było. Bardzo być może.

To też trochę mnie niepokoi przyszłość projektowanéj ochronki przy ulicy Mazowieckiéj. Nie było takiego balu. Sprawa ochronki stoi co prawda lepiéj, niż sale zarobkowe, bo wymaga mniéj pieniędzy, a przedtém już dano dowód zrozumienia potrzeby i nawet podobno pa-

rę lat temu były pieniądze, było wszystko przygotowane, ale nie było... kierowniczki. Trochę to, co prawda niewiarogodne; sam bym też może nie wierzył, gdyby nie to, że mnie upewniły usta, nie pozwalające na wątpliwość. Wygląda to na cud, t. j. na zjawisko przeciwne znanym i niewątpliwym prawom przyrody. Gdyby się zdarzył taki wypadek: wlewamy wszystkie pierwiastki przez chemię wskazane i nie otrzymujemy połączenia przepowiedzianego, które tąż samą drogą otrzymywano już tysiące razy. Gdybyśmy nie chcieli uciekać się do wiary w cuda, musielibyśmy chyba przypuścić, że materyały przez nas użyte udają tylko czyste pierwiastki, w istocie zaś są falsyfikatami. Z ochronką zupełnie rzecz stoi tak samo. Mamy już w Warszawie ochronek kilkanaście, jest więc gdzie się nauczyć sztuki kierowania taką instytucyą. Posiadamy wiele panien, wdów a nawet mężatek, które upewniają nas, że goreją żądzą p r a c y dla społeczeństwa, ba, dają dowody, jadą na uniwersytety, szukają tych pól, które leżą odłogiem; wreszcie wśród takich osób współczucie dla klas ubogich jest obowiązujące, jak paragraf kodeksu. Wszelkie kręcenie osóbek w sprawach społecznych tém jest usprawiedliwiane, i oto, mając wszystkie pierwiastki... nie otrzymujemy kierowniczki dla ochronki na ulicy Mazowieckiéj, więc... albo cud, albo materyał sfałszowany, innego wyjścia niestety nie ma.

Obecnie kierownictwo powierzono pannie Maryi Weryho, znanéj pionierce metody froeblowskiéj w Warszawie. Ale znowu potrzeba pieniędzy, a balu, jak powiadam, nie urządzono. Teraz wypompowano kieszenie na zabawy, potém pójdą kwesty wielkanocne, czyli rozrywki postne, i kiedyż tu i od kogo dostać grosz jaki na ochronkę! Dziwna niepraktyczność. Bodaj czy nie wypadnie czekać jeszcze parę lat, wtedy będzie może kierowniczka, będą pieniądze, ale nie będzie czego innego. Z wielką też niewiarą w dobry skutek powtarzam tu adres, pod którym składki przesyłać lub zanosić należy: p. Szymon Krzeczkowski, opiekun ochronek, ul. Smolna nr. 6.

Można nawet przypuszczać, że Warszawa, a może kraj cały, nie wierzy, aby się coś wielkiego bez udziału balów dobroczynnych stać mogło. Bodaj nawet czy nie stąd pochodzi lekceważenie Łodzi. Nie pracowały na nią nogi nasze, więc co tam nadzwyczajnego być może! Jakże bo inaczéj wytłómaczyć taki dziwny wypadek, że np. „Encyklopedya Powszechna“ w r. 1884 poświęca miastu temu zaledwie kilkanaście wierszy i szacuje je na 36,000 mieszkańców. Tymczasem—wedle obrachunku, opartego na księgach urzędowych, wraz z kilku okolicznemi wioskami, które niezadługo zostaną pochłonięte, przez rozrastające się po amerykańsku miasto, a dziś już stanowią z niém jeden nie-

podzielny organizm przemysłowy—Łódź liczy 200,000 mieszkańców, a może i więcéj. Jestto więc kolos, na który należy mieć zwróconą baczną uwagę. Taka wielka masa posiada zawsze dużą moc przyciągającą, mrowisko ludzkie łatwo przetworzy się w ognisko wpływu cywilizacyjnego, jaki miasta wogóle wywierają. Obok Warszawy stanie konkurentka, a co z sobą przyniesie? Naturalnie wiedzieć nie możemy, bo widocznie po za epokę Staszyca nie uda nam się posunąć, wtedy liczba 36,000 była może bliższą prawdy.

Cyfrę 200,000 zaczerpnąłem z „Dziennika Łódzkiego“ z bardzo ciekawego artykułu w n-rze 32 r. b. Omawia on ruch ludności w tém mieście w latach od 1865—1889. Ponieważ jednodniowego spisu ludności w Łodzi nigdy nie było, więc do rezultatów liczbowych dochodzić można tylko ubocznemi drogami. Autor artykułu wydostał od urzędników stanu cywilnego liczbę urodzeń, zejść i małżeństw dla trzech najliczniejszych wyznań: katolickiego, ewangelickiego i żydowskiego; prócz tego obliczył ilość śmierci w każdym roku, przypadającą na 100 urodzeń. Mamy więc dla każdego wyznania 4 rubryki, pozwalające dosyć wyraźnie wnioskować o przyroście i o zmianie stosunku różnych części ludności.

W r. 1865 liczba katolików musiała być mniéj więcéj taka sama jak ewangelików, gdyż wszystkie trzy pozycye — urodzenia, zejścia i małżeństwa — wykazują prawie też same cyfry. Żydów znowu musiało być trzy razy mniéj, niż tych i tamtych, bo taki prawie iloraz otrzymujemy w każdéj rubryce, czyli stanowili oni ⅙ część ludności (ściśle 17,3%). Liczby, podane w r. 1876 (potém idą już lata bez opuszczeń aż do roku zeszłego), dla katolików we wszystkich trzech rubrykach są 2 razy większe niż w r. poprzedzającym (1865), powiększenie zaś ewangelików daje liczbę 1 ½. Odrzuciwszy drobne wahania, powiedzieć można, że przyrost z roku na rok dla obu wyznań jest stały: u katolików zawsze większy, u ewangelików—mniejszy; gdy porównamy rok 1865-ty z 1889-ym, to się okaże, że i liczba urodzeń i zejść i małżeństw jest wśród katolików 5 razy większą, czyli liczba katolików w ciągu lat 24 wzrosła 5 razy. U ewangelików znowu trzy razy otrzymujemy mnożnik 3, czyli liczba ewangelików w Łodzi wzrosła 3 razy.

Do obliczenia ogółu ludności autor artykułu bierze zasadę podaną w „Ateneum“ przez p. Kłobukowskiego, że wśród ludności mieszanéj, polskiéj z niemiecką, 45 urodzeń przypada na 1,000 mieszkańców. Ponieważ zaś liczba urodzeń katolików i ewangelików razem doszła do 8,262, więc ogólna liczba chrześcian tych dwu wyznań wyniesie 183,000 przeszło, zaś katolików przypadnie na to 109,000 (wedle mego

obrachunku, biorąc stosunek katolików do ewangielików 5 : 3, wypadnie 115,000 przeszło). Ponieważ zaś wedle danych z parafii wśród katolików Polacy stanowią 80%, zaś 4 do 5% ewangielików należy do narodowości naszéj, więc Polaków-chrześcian liczy Łódź przeszło 90 tysięcy, co z Polakami-żydami utworzy nieco tylko mniéj niż połowę mieszkańców. Autor, świadomy warunków miejscowych, stwierdza, że żydzi tamtejsi coraz bardziéj wyłamują się z pod wpływu niemieckiego, nie dodaje tylko pod czyj się dostają.

Co do stosunku procentowego żydów, to w rubrykach, im poświęconych, nie ma już téj prawidłowości, jaką spotykaliśmy u chrześcian. Zestawiając dwa skrajne lata, okaże się, że procent ich z 17% spadł do 11%. Czy to jednak na prawdę—nie wiadomo. Autor z „Dziennika Łódzkiego“ również za to nie ręczy.

Szybszy przyrost ludności polskiéj niż niemieckiéj pochodzi stąd, że w r. 1865 przemysł łódzki był warsztatowy i wymagał majstrów-rzemieślników, których naturalnie (bo w znacznéj części z konieczności) sprowadzano z Niemiec. W miarę rozwoju przemysłu fabryczno-maszynowego potrzebny był robotnik w wielkiéj liczbie bez kwalifikacyi—napłynęła téż ludność okoliczna krajowa. Czyli, zmiany w sferach górnych, wśród przedstawicieli kapitałów i wogóle własności z liczb tych wcale nie widać, tu stosunek mógł nie uledz żadnéj zmianie i zdaje się rzeczywiście nie uległ. Okoliczność ta oczywiście bardzo osłabia uciechę z polonizacyi czysto liczebnéj Łodzi. Powołano nas tam jako wołów roboczych, których praca tuczy chrześcian i nie-chrześcian. Pomimo to jednak obecność nasza w Łodzi w jakimkolwiek charakterze jest bardzo pocieszającą.

Zwrócę jeszcze uwagę, że liczba śmierci na sto urodzeń wśród katolików i ewangielików jest niemal jedna i taż sama, i wyjąwszy lata epidemii, stała prawie (56 — 61). Co więcéj, mała różnica w ciągu ostatnich lat 5-ciu wypada na korzyść katolików. Okoliczność ta nabierze tém większéj wagi, gdy się przypomni, iż katolicy stanowią ludność uboższą. Jeżeli nie działają tu jakieś okoliczności szczególne, to objaw taki ma doniosłe znaczenie, Świadczyłby o przewadze życiowéj z naszéj strony. Coś podobnego wykazuje nam również statystyka pruska w Poznaniu.

Stosunek zejść do urodzeń wśród żydów jest bardzo niestały, waha się między 29 — 93 i nie jest bynajmniéj równoległy do zmian wśród chrześcian, co najlepiéj wykazuje, że liczbom tym niepodobna w żaden sposób ufać.

Myślę, że czytelnik nie weźmie mi za złe przydługiego zatrzymania się na Łodzi, zważywszy z jednéj strony na znaczenie tego mia-

sta w teraźniejszości i w przyszłości dla kraju naszego, i na lekceważenie niesłuszne, jakie Warszawa okazuje względem niego. Nietylko lekceważą ją źródła naszéj wiedzy krajoznawczéj, toby było jeszcze mniejsza, ale Warszawa jako siła wytwórcza niezadzierżgnęła węzła, jaki łączyć winien dwa te ogniska. Niedawno osoba, przybyła tylko co z Łodzi, opowiadała mi, że fabryka wyrobów platerowanych Fraget'a, która rozrzuciła sklepy swoje po wszystkich znaczniejszych miastach wschodu, dotarła po za Kaukaz do Tyflisu, w Łodzi nie ma lub do ostatnich dni nie miała składu wyrobów swoich. Opowiadający upewniał mnie, że wcale nie dzieje się to wskutek braku popytu na wyroby warszawskie, gdyż o ile one tam przychodzą, znajdują dobre przyjęcie. Tak się stało nawet z fabrykami żelaza, nigdy nie próbowano zaopatrywać Łódź w maszyny warszawskie parowe; dopiéro teraz któraś fabryka zrobiła krok pierwszy, i ten się powiódł całkowicie i t. d. i t. d.

Toż samo w sferach innych. Nie widać żadnego usiłowania ze strony Warszawy rozciągnięcia wpływu nad Łodzią. Piśmiennictwo polskie nie interesuje się zbiorowiskiem 100,000 Polaków, obrazy obwożone gdzieindziéj, rzeźby i t. d. Łódź omijają; nie słychać o prelekcyach polskich, koncertanci téż nie tłumnie ją odwiedzają. Istnieje teatr polski—łatwo zrozumiéć, że pożądaném jest bardzo, aby się tam utrwalił, rozwinął, doszedł do doskonałości, któraby pozwoliła z Niemcami konkurować. Aktorzy warszawscy, nie jeździli tam na gościnne występy, nie pospolitowali się na scenie z młodszą bracią prowincyonalną, coby scenę podniosło; jeżeli nawet który raczył pokazać się w Łodzi, występował *solo* z porankami, koncertami i t. d. Dopiéro panna Wisnowska dała dobry początek, grała w Łodzi w teatrze, zapełniała sale po brzegi, zbierała tryumfy. Przykład poskutkował, zaraz po niéj udała się panna Marczello. Wszelki węzeł pomiędzy Warszawą a Łodzią jest wielce pożądany.

Jeszcze jedna uwaga. Łódź posiada jedyną w kraju szkołę techniczną ogólną. I dodać trzeba, że szkoła ta jest bardzo dobra. Gdyby o niéj ludzie wiedzieli, nie jednemu ojcu spadłby może kłopot z głowy, co zrobić z synem, a z drugiéj strony, krajowy pierwiastek w téj szkole zdecydowałby może o narodowości i kierunku przyszłéj działalności niejednego zdolnego przemysłowca.

Dla zrównoważenia tylu wierszy poświęconych ognisku przemysłowemu — parę słów o rolnictwie. Centralny komitet statystyczny w Nr. 15 „Wremiennika" podaje urzędowe cyfry co do urodzaju w roku zeszłym. Wiele z cyfr, co najważniejsze, powtórzył „Prawitelstwiennyj wiestnik", z którego, bliżéj nas obchodzące, przytoczymy.

W 50 gub. Cesarstwa zebrano około 250 milionów czetwierti zboża, co daje w porównaniu z urodzajem średnim za lata 1883—1887 mniéj blisko o 42 miliony czetwierti, w porównaniu zaś z r. 1888 mniéj o 68 milionów czetwierti. Albo procentowo: urodzaj roku zeszłego stanowi 88,6% urodzaju przeciętnego i 78,5% urodzaju roku pozaprzeszłego.

W gub. Królestwa Polskiego zebrano 14,079,200 czetwierti, czyli mniéj, niż w r. 1888 o 5,518,000, procentowo urodzaj taki stanowi 71,3% poprzedniego. Czyli u nas urodzaj był gorszy, niż przeciętnie w całém państwie. Znalazły się jednak okolice jeszcze mniéj szczęśliwe. Np. gubernie nazwane w urzędowym organie noworuskiemi, miały tylko 64,9%, południowo-zachodnie (wołyńska, podolska, kijowska) 68,1%, małoruskie — 70,1%. Zbliżony do urodzaju r. 1888 miały urodzaj gub. białoruskie (zapewne mińska, mohylewska, witebska, smoleńska) 99,1%; litewskie zaś (zapewne kowieńska, grodzieńska, wileńska) 87,4%. Dodać jednak trzeba, iż nieurodzaj w gub. noworuskich daje rezultat pomyślniejszy niż urodzaj na biednéj Białorusi. Tam pozostałość czysta zboża na jedną osobę wynosi 20½ czetwierti, tu zaledwie 16½ (w Królestwie 13½, tak samo w gub. litewskich).

Urodzaj kartofli lepszy był, niż w roku zaprzeszłym, z jarzyn dopisała dobrze tylko gryka.

W piśmiennictwie, zazwyczaj ratującém się od suchot polemiką, czasy ostatnie były bardziéj jeszcze wojownicze niż zwykle. Wymyślano sobie o byle co. Powodu do dosyć zabawnych pretensyi dostarczył artykuł „Przeglądu pedagogicznego“ „Dzieci i służba“. Fakt już i przez to godzien zaznaczenia, że od lat 8, jak pismo to wychodzi, po raz pierwszy podniosło kwestyę, którą się prasa zajęła. Powtóre, autorka, pani Dawid, pociągnęła wraz z sobą i nas do odpowiedzialności, solidaryzując się i powołując na artykuł p. K. w sierpniowym zeszycie „Ateneum“ p. t. „Służba i państwo“.

Wiadomo, że pisma nasze łatwo się gorszą czynami swoich bliźnich-antagonistów, byle o co rwą szaty na sobie, biją w wielki dzwon i wołają ratunku dla napastowanéj cnoty i bezpieczeństwa społecznego. Tak się też tu stało, wyplatano Bóg wié nie jakie zarzuty, rzucano insynuacye, wywleczono nawet oskarżenia o „socyalizm“, a wszystkiemu nietyle był winien artykuł, ile nerwy i kłótliwość dziennikarska.

Artykuł pani Dawid był może niedość zręcznie napisany, to prawda. Ludzi, którzy z autorką chociaż trochę się nie zgadzają, musiał zrazić i odepchnąć, zamiast żeby takich właśnie przekonać do reszty. Mówiąc o rzeczach bardzo znanych, trącił nieco pretensyą do apostolstwa i odkrywania światów nikomu nieznanych, to też dobrze czytelnika

usposobić nie był w stanie. Nareszcie dyktował zbyt ogólne i zbyt teoretyczne przepisy dla postępowania ze służbą.

Takie były, niestety, wady formy jego. Taż sama treść, ujęta w inne słowa, byłaby się podobała wszystkim. Zadaniem kolegów z prasy było tę słabą stronę, całkiem drugorzędną, poprawić; boć dziwić się nie mogę zwyczajnemu czytelnikowi, jeżeli go tok zrazi do myśli słusznéj, ale od fachowego dziennikarza wymagać można jakiéjkolwiek wytrawności sądu. Wyszukiwać w garści ziarna kilku pyłków plew, niegodzi się; tymczasem z tych pyłków cieszono się, jak z wynalezienia kamienia filozoficznego.

Pani Dawid chce, żeby ze służbą obchodzono się lepiéj, niż dotąd, żeby niezapominano, że służba nie jest ani rondlem, ani manekinem drucianym do upinania sukien. Żądanie chyba całkowicie słuszne. A tymczasem zarzutów posypało się co niemiara: jedni odpowiadają, że już ze służbą tak wszędzie postępują, inni, że p. Dawid sięga zadaleko, dąży do socyalizmu. Nie wchodzę w istotę samą rzeczy, ale jeżeli autorka zachęca nas do tego, co robimy, to grzechu nie popełnia żadnego, a dobrze czasem i znaną rzecz „przepowiedziéć“ sobie. Jeżeli zaś ideał pokazała zadaleki czy za wysoki, ale we właściwéj stronie, to téż nie ma ani nieszczęścia ani powodu do oburzenia. Oto wcale obawy miéć nie trzeba, iżby panie nasze zepsuły pieszczotami służbę, a wszelkie zachęcanie do obchodzenia się z ludźmi po ludzku może się nam bardzo jeszcze przydać. Temwięcéj, że p. Dawid rzecz wzięła ze strony poważnéj a doniosłéj, a mianowicie: złe obchodzenie się ze służbą jest szkodliwe, ze względu na wychowanie dzieci. Nie wdając się w wysoką filozofię, ani w socyologią — trzeba uznać ten pewnik, dobrze wszystkim w praktyce życiowéj znany, że jeżeli dwie osoby robią razem rzecz jedną, muszą przynajmniéj od czasu do czasu wywoływać niezadowolenie wspólne; jeżeli to pani i służąca — zaczyna się łajanie, krzyki, wśród których o niesprawiedliwość nie trudno. Z równymi sobie niezawsze właściwie wychodzić umiemy, cóż dopiéro z zależnymi od nas. Twierdzić, że panie nasze są tu wcale bez grzechu, znaczyłoby uważać je za anioły, nie znające zgryzot, kłopotów, zdenerwowania. Zajścia ze służbą są nieuniknione.

A tymczasem ta strona stosunków domowych na dzieci wpływa bardzo i bardzo, może nauczyć wielu wad, może poważnie wykoślawić charakter, może stępić uczucia ludzkie. Dla dobra dzieci naszych gotowiśmy (szczególniéj matki) skrzywdzić dziesiątki osób, cóż więc mówić o jakiéjś jednéj biednéj dziewczynie, która nas dziesięć razy na dzień zmartwi! Dla charakteru dzieci stanowi to niebezpieczeństwo nielada. Taka jest istotna myśl p. Dawid, myśl całkiem słuszna, rzecz w najwyższym stopniu doniosła. Nieporuszenie jéj w „Przeglą-

dzie pedagogicznym“ mogłoby stać się tylko wskutek przeoczenia. O formę tu mniejsza, daleko trudniéj rzucić myśl słuszną. Kto założenie to lepiéj rozwinąć potrafi, niech bierze pióro i pisze.

Następnie autorka zaleca, ażeby dzieci zapędzać do pewnych robót w domu, jak czyszczenie butów, słanie łóżek, zamiatanie i t. d. W tém znowu upatrzono przesadę i urągano szczegółom, jak np. o myciu podłóg. A że u nas łatwo ludzi przestraszyć dźwiękiem, więc zgorszenie nie małe; jakto, żeby panienki podłogi myły! Znowu pominięto istotę rzeczy. Ani pani Dawid, ani „Przegląd“ spewnością o jedno zajęcie targować się nie będą, bo usunięcie jednego szczegółu nie osłabi słuszności, ani dodanie nie wzmocni założenia. A co prawda, obawiać się nie potrzeba, ażeby mamunie pod wpływem pisma zapędziły córuchny do prac zbyt trudnych. Prędzéj należy rachować, że przez zbytnie wymagania da się cokolwiek utargować.

Pomysł wykonywania pewnych prac domowych przez dzieci nie należy bynajmniéj do autorki, wymagania podobne stawiało wielu pedagogów, a bodaj czy choć jeden z surowych oponentów zastanowił się nad znaczeniem moralném i praktyczném tego środka. Braku zupełnego zastanowienia się dowodzi zarzut, iż to strasznie postępowe, kiedy w istocie, gdyby koniecznie chodziło o nazwę (niewłaściwą) tego rodzaju, żądania p. Dawid nazwaćby należało konserwatywnemi. Straszny postęp, jak wiadomo, pragnie uszczuplić znaczenie i zadanie moralne rodziny i czuje wyraźny pociąg do wychowania hurtownego w zakładach publicznych. Tymczasem spełnianie pewnych czynności w domu za pierwsze zadanie, za pierwszy cel ma rozwinięcie uczuć altruistycznych w najbliższym kółku przez praktykę oddawania i przyjmowania posług. Kto więc pragnie wzmocnić moralną siłę i wpływ rodziny, twierdzeniom powtórzonym przez p. Dawid, przyklasnąć z całego serca powinien.

Inna strona tych wymagań jest bardziéj jeszcze konserwatywna, bo godzi w emancypacyą. Przeciwnicy emancypacyi wymagają od kobiéty ograniczenia się do spraw gospodarstwa domowego. Jakże się niemi zająć potrafi, jeżeli nie nauczy się ich od młodu. Dobra gospodyni powinna umiéć pokazać służącéj, jak należy wyczyścić rondel i jak na angielce zapalić, aby węgla mało wyszło. A żadnéj rzeczy nauczyć się nie można wedle téj metody, z jakiéj drwi sobie powieść ludowa, opowiadając o terminatorze, pragnącym zostać kowalem przez przypatrywanie się pracy innych z kosza na ścianie. Jeżeli kobiéta ma być gospodynią, trzeba koniecznie, aby wciąż postępowała zgodnie z radami pani Dawid, tą tylko drogą nabrać może zamiłowania do zajęć domowych.

Powtarzam raz jeszcze, że zarzut postępowości lub konserwatyzmu jest niewłaściwy, czczy, nic nie mówiący, a wprowadza do dyskusyi ferment niepotrzebny; ponieważ jednak w téj kwestyi ważnéj został użyty, więc go odpieram jedynie w celu wykazania braku zastanowienia, a więc zasadności ze strony oponentów.

Lus.

NEKROLOGIA.

† **Władysław Taczanowski,** urodzony r. 1819 w Jabłonnie, w gub. lubelskiéj, wykształcenie średnie odebrał w Lublinie. Od młodu miał wielkie zamiłowanie do natury, rozwijając w sobie dar bystréj obserwacyi. Po ukończeniu gimnazyum w 1838 r. oddał się przeważnie badaniu ptaków krajowych, odbywając wycieczki w różne okolice kraju, gromadząc zbiory i opisując je. W 1854 r. objął urząd konserwatora zbioru ornitologicznego, jaki istniał przy sekcyi leśnéj rządu gubernialnego radomskiego, przyczém poruczono mu też nadzór nad podobnym zbiorem przy rządzie gub. lubelskiéj. W rok potém wezwano go do Warszawy na adjunkta gabinetu zoologicznego w Warszawie, którego od r. 1862 zostawał aż do śmierci kustoszem, i ciągle pracując w raz obranym kierunku, i odbywając podróże w różne strony świata, został znanym i cenionym w Europie specyalistą ornitologiem. Zmarł w Warszawie 17 stycznia r. b. Prace jego główniejsze są: „Spis ptaków gub. lubelskiéj“ 1851 w „Bibl. Warsz.“; „Ptaki drapieżne Król. Polskiego“ (1860); „Ptaki krajowe“ 1882 (2 tomy), „Ornithologie de Perou“ 1884—6 (4 tomy); prócz tego wiele rozprawek w pismach peryodycznych, jak w „Przyrodzie i Przemyśle“, we „Wszechświecie“ i t. p.



Wydawcy **W. Spasowicz** i **Adolf Pawiński.**—Redaktor **P. Chmielowski.**